

ZIMNY DZIEŃ W RAJU STEVE HAMILTON

Przekład
SŁAWOMIR KĘDZIERSKI



AMBER



Redakcja stylistyczna
Elżbieta Novak

Korekta
Katarzyna Pietruszka
Anna Tenerowicz

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce
© Thomas Winz/Getty Images

Opracowanie graficzne okładki
Wydawnictwo Amber

Skład
Wydawnictwo Amber

Druk
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału
A Cold Day in Paradise

ISBN 978-83-241-3186-0

Warszawa 2008. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40 13, 620 8162

www.wydawnictwoamber.pl

Julii i Nicholasowi

Spis treści

Rozdział 1.....	5
Rozdział 2	13
Rozdział 3	23
Rozdział 4	33
Rozdział 5	44
Rozdział 6	56
Rozdział 7	65
Rozdział 8	77
Rozdział 9	90
Rozdział 10	97
Rozdział 11	107
Rozdział 12.....	115
Rozdział 13.....	122
Rozdział 14.....	129
Rozdział 15.....	140
Rozdział 16.....	152
Rozdział 17.....	159
Rozdział 18.....	172
Rozdział 19.....	181
Rozdział 20	189
Rozdział 21.....	197
Rozdział 22	206
Podziękowania.....	217

Rozdział 1

JEST TAM. KULA W MOJEJ PIERSI, NIECAŁY CENTYMETR OD SERCA. Właściwie już o niej nie myślę. Jest teraz po prostu częścią mnie. Ale raz na jakiś czas, w te szczególne noce, przypominam sobie o niej. Czuję w sobie jej ciężar. Czuję jej metaliczną twardość. I chociaż kula ogrzewa się w moim ciele od czternastu lat, w noce takie jak ta, kiedy jest ciemno i wieje wiatr, wydaje się zimna, jak sama noc.

Było Halloween, które zawsze przypomina mi o czasach, kiedy pracowałem w policji. Być policjantem w Detroit w noc Halloween - tego nie da się z niczym porównać. Dzieciaki noszą maski, ale zamiast wymuszać smakołyki, palą domy. Następnego dnia ze czterdzieści, pięćdziesiąt budynków może stać się czarnymi, dymiącymi jeszcze szkieletami. Każdy gliniarz jest wtedy na ulicach, wypatruje dzieciaków z kanistrami benzyny i wzywa do pożarów, zanim wyrwą się spod kontroli. Gorzej od policjanta z Detroit w noc Halloween ma tylko strażak z Detroit.

Ale to było bardzo dawno temu. Czternaście lat od kiedy zarobiłem tę kulę - czternaście lat i dobrych pięćset kilometrów na południe stąd. Równie dobrze mogło to być na innej planecie, albo w innym życiu.

Jestem teraz w Raju. Bo tak nazywa się małe miasteczko na Upper Peninsula, nad brzegiem jeziora Górnego w stanie Michigan. W Raju w Halloween można zobaczyć na drzewach papierowe duchy szarpane wiatrem od jeziora. Albo samochód pełen poprzebieranych dzieciaków jadących na przyjęcie, czarownice i piratów patrzących na ciebie przez tylne okno, kiedy czekasz przed czerwonymi światłami w centrum miasta. Może Jackie będzie stał za barem w swojej masce goryla. Krąży dowcip, że zaczniesz wrzeszczeć, dopiero kiedy zdejmie maskę.

Poza tym noc Halloween nie różni się niczym szczególnym od każdej innej październikowej nocy w Raju. Najczęściej to tylko sosny, chmury i wyczuwalna w powietrzu pierwsza zapowiedź śniegu. I największe, najzimniejsze i najgłębsze jezioro świata, które czeka, by zmienić się w listopadowego potwora.

Zatrzymałem półciężarówkę na parkingu Glasgow Inn. Wszyscy stali klienci powinni już tam być. Dziś był pokerowy wieczór. Spóźniłem się dobre dwie godziny,

więc byłem pewien, że zaczęli beze mnie. Spędziłem długie godziny na parkingu przyczep kempingowych w Rosedale, chodząc od drzwi do drzwi. Miejscowy wykonawca ustawiał nowy dom na kołach, który przewrócił się i zmiądzzył nogi jednemu z pracowników. Był w szpitalu ledwie godzinę, kiedy u jego boku pojawił się jaśnie pan prawnik pan Lane Uttley, oferując najlepsze usługi, jakie można otrzymać za pięćdziesiąt procent odszkodowania. Powiedział mi przez telefon, że pewnie sprawa skończy się szybką ugodą, ale zawsze dobrze mieć świadka na wypadek, gdyby zamierzali podważać powództwo. Kogoś, kto zezna, że nie, facet nie był pijany jak bela i nie popisywał się, próbując balansować pięciotonową przyczepą.

Zacząłem od miejsca wypadku. Widok był dziwny, przyczepa wciąż leżała przewrócona, a jeden narożnik zgniótł się od uderzenia. Słońce zachodziło za drzewami, a ja wędrowałem od przyczepy do przyczepy. Nie miałem zbyt wiele szczęścia - parę razy zatrzaśnięto mi drzwi przed nosem, a raz pies pobrał ładną próbkę materiału z nogawki moich spodni. Od jakichś sześciu miesięcy próbowałem swoich sił jako prywatny detektyw. Nie szło mi najlepiej.

W końcu znalazłem kobietę, która mogłaby potwierdzić, że widziała, co się stało. Kiedy już mi opowiedziała, czego była świadkiem, zapytała, czy dostanie za to parę zielonych. Odparłem, że musi obgadać to z panem Uttleyem. Zostawiłem jej jego wizytówkę. „Lane Uttley, adwokat. Specjalność: obrażenia ciała, odszkodowania pracownicze, wypadki samochodowe, błędy w sztuce lekarskiej, wadliwe produkty, wypadki pod wpływem alkoholu, obrona w sprawach karnych”. Był tam też jego adres w Soo i numer telefonu. Zerknęła na drobniutkie literki - tak wiele słów na maleńkim bilecie wizytowym. Zadzwońię do niego z samego rana, oświadczyła. Nie chciało mi się jechać do biura Lane'a, aby przekazać raport, więc pewnie kiedy kobieta zadzwoni, on nie od razu zorientuje się, o co chodzi. Oczywiście, cholernie mu to zamąci w głowie, ale byłem zziębnięty i zmęczony, musiałem się napić, a i tak się już spóźniłem na moją partyjkę pokera.

Glasgow Inn słynęła z podobno szkockiego nastroju. Dlatego zamiast tkwić na stołku i gapić się na własną twarz w lustrze za barem, siedziało się na wyściełanych fotelach przed kominkiem. Jeżeli tak to wygląda w Szkocji, chciałbym się tam przenieść, kiedy przejdę na emeryturę. Na razie poprzestaję na Glasgow Inn. Jest dla mnie jak drugi dom.

Kiedy wszedłem do środka, chłopaki siedzieli przy stole i - jak przypuszczałem - już grali. Jackie, właściciel gospody, tkwił na tym samym krześle co zawsze i grzał

stopy przy ogniu. Skinął głową najpierw mnie, a potem w stronę baru. Stał tam Leon Prudell, z jedną ręką opartą na blacie i z drugą zaciśniętą na szklaneczce. Sądząc z jego wyglądu, nie była to jego pierwsza.

- No, no, no - odezwał się. - Czyż to nie pan Alex McKnight?

Prudell był wielkim facetem, ważył co najmniej sto dziesięć kilo. Większość z nich znajdowała się w okolicach pasa. Włosy miał jaskraworude i zawsze sterczące. Wystarczyło na niego spojrzeć, na flanelową koszulę w szkocką kratę i buty myśliwskie za sto dolarów, i od razu było wiadomo, że całe życie mieszkał na Upper Peninsula.

Pięciu mężczyzn przy stole do pokera przerwało grę w połowie i patrzyło na nas.

- Pan McKnight, prywatny detektyw - mówił dalej - Pan Gruba Ryba we własnej osobie, co? - Charakterystyczne „yooperskie”^{*} brzmienie, nieco wyższy tembr głosu sprawiały, że mówił prawie jak Kanadyjczyk.

Poza graczami przy stole w lokalu było kilkanaście innych osób. W sali zapadła cisza, gdy wszyscy po kolei zaczęli patrzeć na nas, jakbyśmy byli parą rewolwerowców gotowych sięgnąć po spluwy.

- Co cię sprowadza aż do Raju, Prudell? - spytałem.

Gapił się na mnie długo. Polano w ogniu nagle trzasnęło i zabrzmiało to jak wystrzał. Wypił drinka do końca i postawił szklankę na barze.

- Może porozmawiamy o tym na zewnątrz? - zaproponował.

- Posłuchaj, Prudell. Na zewnątrz jest zimno. Miałem ciężki dzień.

- Naprawdę uważam, że powinniśmy pogadać na dworze, McKnight.

- Postawię ci drinka, dobrze? Chyba mogę ci kupić drinka, a potem porozmawiamy o tym tutaj?

- No jasne - odpowiedział. - Możesz postawić mi drinka. A nawet dwa. Możesz wejść za bar i samemu je przygotować.

- Na litość boską. - Zupełnie nie było mi to potrzebne. Nie tej nocy.

- Przynajmniej tyle możesz zrobić dla człowieka, któremu zabrałeś pracę.

- Prudell, daj spokój.

- Masz - burknął. Wsunął wielką łapę do kieszeni i wyciągnął kluczyki do samochodu. - Zapomniałeś wziąć i to.

* Yooper - mieszkaniec Upper Peninsula, UP - wym. Jupi (przyp. tłum.).

- Prudell... - Nie spodziewałem się, że ciśnie we mnie kluczami tak szybko i tak zabójczo celnie. Zanim zdążyłem choćby drgnąć, trafiły mnie tuż nad lewym okiem.

Cała piątka wstała natychmiast zza stołu.

- Nie trzeba, chłopaki - oznajmiłem. - Siadajcie. - Schyliłem się po kluczyki, czując strumyczek krwi w kąciuku oka. - Nie myślałem, Prudell, że tak dobrze celujesz. Mogliśmy cię wykorzystać, kiedy grałem w piłkę w Columbus. - Odrzuciłem mu kluczyki. - Oczywiście, musiałbym wtedy nosić maskę. - Otarłem krew grzbietem dłoni.

- Na zewnątrz.

- Idź pierwszy - odpowiedziałem.

Wyszliśmy na parking i stanęliśmy naprzeciwko siebie w kiepskim świetle. Byliśmy sami. Wiatr wzmagął się i sosny kołysały się wokół nas. Powietrze było ciężkie od wilgoci znad jeziora. Zamachnął się kilka razy w moją stronę, nie dotykając mnie.

- Prudell, nie jesteśmy na to za starzy?

- Zamknij się i walcz - warknął.

Zamachnął się z całej siły. Nie umiał się bić, ale jeżeli nie byłbym ostrożny, mimo wszystko mógł mi zrobić krzywdę. I niestety, chyba nie był tak pijany, jak miałem nadzieję.

- Prudell, całkiem chybiłeś - powiedziałem. - Może powinieneś zostać przy rzucaniu kluczami. - Rozwściecz go, myślałem. Nie pozwól mu się uspokoić i wyczuć odległość.

- Wiesz, że mam żonę i dwoje dzieciaków. - Wciąż zadawał zamachowe ciosy prawą ręką. - A teraz moja żona nie dostanie nowego samochodu. I dzieciaki nie pojedą do Disney World, chociaż im obiecałem.

Zrobiłem unik w prawo, potem znowu w prawo i jeszcze raz. No, pokaż mi lewy, pomyślałem. Chcę widzieć fajny, leniwy, pijacki lewy, Prudell.

- Ten facet dla mnie pracował, pomagał mi, kiedy jeszcze miałem robotę - gadał. - Przysięgam na Boga, McKnight, tylko to go trzymało przy życiu. Jeżeli coś się z nim teraz stanie, będziesz go miał na sumieniu.

Jeszcze kilka razy próbował trafić mnie prawym sierpowym, aż wreszcie w jego mózgu przez wściekłość i whisky przebił się pomysł uderzenia lewym prostym. Zadał cios, długi i wolny jak lawina błotna. Skróciłem dystans i prawym hakiem trafiłem go

w sam czubek brody, kierując uderzenie nieco w dół, tak jak uczył mnie kiedyś trener drużyny bejsbolowej. Prudell upadł ciężko i już tak został.

Stałem nad nim, rozcierając prawe ramię.

- Wstawaj, Prudell - powiedziałem. - Nie uderzyłem cię aż tak mocno.

Właśnie miałem zacząć się martwić, kiedy wreszcie podniósł się ze żwiru.

- Dorwę cię, McKnight - burknął. - Masz to u mnie jak w banku.

- Jestem tu prawie każdej sobotniej nocy - odparłem. - Do diabła, prawie każdej nocy. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- I znajdę.

Kręcił się, potykając, po parkingu całą minutę, zanim przypomniał sobie, jak wygląda jego samochód. Z oddali dobiegał mnie odgłos fal rozbijanych o skały.

Wróciłem do baru. Chłopaki spojrzeli na mnie, a potem na drzwi. Wyciągnęli wnioski, i grali dalej. Ta sama paczka co zawsze, faceci, którym nie musisz mówić „cześć”, nawet jeżeli nie widziałeś się z nimi przez cały tydzień. Po prostu siadasz i patrzysz w karty. Przyciskałem serwetkę do brwi, żeby powstrzymać krwawienie.

- Ten błazen stał tu dwie godziny i czekał na ciebie - poinformował mnie Jackie. - Co miał do ciebie?

- Uważa, że odebrałem mu robotę. Trochę pracował dla Uttleya.

- Prywatny detektyw? On?

- Lubi tak o sobie myśleć.

- Nie zapłaciłbym mu dwóch centów, żeby znalazł własnego fiuta.

- Dlaczego miałbyś facetowi płacić, żeby znalazł swojego fiuta? - wtrącił się Rudy.

- Nie zamierzałem mu płacić - odparł Jackie. - To tylko takie powiedzonko.

- To nie jest powiedzonko - zaprotestował Rudy. - Gdyby było, słyszałbym je wcześniej.

- To jest powiedzonko - upierał się Jackie. - Alex, powiedz mu to.

- Rozdawaj karty - poleciłem.

Pograłem trochę w pokera i wypilem kilka browarów. Jackie co tydzień przejeżdżał przez most, aby przywieźć dobre piwo z Kanady, i był to kolejny powód, żeby lubić ten lokal. Zapomniałem na jakiś czas o parkingach dla przyczep i wkurzonych byłych prywatnych detektywach. Doszedłem do wniosku, że wystarczy dramatycznych wydarzeń jak na jedną noc. Uznałem, że wolno mi się trochę zrelaksować, a może nawet zacząć się znowu czuć człowiekiem.

Ale noc miała wobec mnie inne plany. Do lokalu wszedł Edwin Fulton. Przepraszam, Edwin J. Fulton Trzeci. I jego żona Sylvia. Musieli wybrać właśnie tę noc, by tu wpaść.

Najwyraźniej zaliczyli właśnie jakąś wieczorną imprezę towarzyską. Bóg raczy wiedzieć, gdzie na całym Upper Peninsula można w ogóle znaleźć imprezę towarzyską, ale zostawcie to Edwinowi. Był w swoim najlepszym, szarym garniturze, czarnym płaszczu i czerwonym szalu zawiązanym idealnie na kołnierzu. Garnitur niewątpliwie skrojono tak, by Edwin wydawał się wyższy - ale z marnym skutkiem. Nadał był dobre piętnaście centymetrów niższy od żony.

Sylvia miała na sobie futro do kostek. Chyba z lisów. Na takie futerko musiało pójść jakieś dwadzieścia sztuk. Ciemne włosy upięła wysoko, a kiedy zdjęła futro, wszyscy zobaczyliśmy jej małą czarną odsłaniającą nogi i idealne ramiona. Niech to diabli, co za ramiona! I nawet w zimną noc musiała wyjść ubrana w coś takiego. Wiedziała, że każdy mężczyzna w lokalu na nią patrzy, ale miałem paskudne wrażenie, że nie zdjęłaby futra, gdyby mnie tu nie było. Rzuciła mi krótkie spojrzenie - sprawiło mi większy ból niż klucze Prudella.

Zamawiając drinki, Edwin pomachał mi, z tym swoim śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy, jaki przybierał zawsze, gdy był w publicznym miejscu ze swoją żoną.

- Wytlumaczcie mi coś - odezwał się Jackie, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Jakim cudem taka kobieta dostaje się takiej dupie wołowej jak Edwin Fulton?

- Sądzę, że ma to coś wspólnego z mnóstwem forsy? - odparł Rudy.

- Chcesz powiedzieć, że gdybym miał milion dolarów, siedziałaby teraz na moich kolanach?

- No nie wiem. Facet tak paskudny jak ty pewnie potrzebowałby pięciu milionów - mruknął Rudy.

Fultonowie nie zostali długo. Wypili drinka i wyszli - krótki przystanek, żeby olśnić miejscowych. Jeszcze raz zerknęła na mnie, kiedy Edwin pomagał jej włożyć futro. Jeśli chciała coś w ten sposób przekazać, udało jej się.

Grając w pokera, wciąż o niej myślałem. Nie pomagało mi to skoncentrować się na kartach, nie poprawiło też mojego nastroju. Na dworze wiatr coraz bardziej się wzmacniał. Słyszeliśmy, jak szarpie oknami.

- Listopadowe wiatry się pospieszyły - zauważył Jackie.

- Już po północy - powiedział Rudy. - Mamy pierwszego listopada. Zaczęły się w samą porę.

- Słusznie.

Mniej więcej godzinę później Edwin znów przyszedł do lokalu. Tym razem sam. Stał jakiś czas przy barze, z tą swoją miną winowajcy, w nadziei że zwrócić na niego uwagę. Byłem zadowolony, że nie próbował podejść do naszego stolika. Kiedyś zagrał z nami i grając o małe stawki, błyskawicznie tracił pieniądze. Ale to żadna frajda zabierać forszę facetowi, o którym się wie, że nic dla niego nie znaczą. To oraz sposób, w jaki ciągle nawijał, jakby nagle został jednym z naszej paczki, sprawiło, że nigdy więcej nie zaprosiliśmy go do gry.

Prawie w każdy inny wieczór podszedłbym do niego na chwilę, żeby zapytać, co u niego. Nie wiem, czy było mi po prostu żal tego faceta, czy też czułem się winny z powodu sprawy z Sylwią. A może rzeczywiście go lubiłem. Może uważałem go za przyjaciela, choć oczywiście nim nie był. Ale jakoś tej nocy nie miałem ochoty na rozmowę. Pozwoliłem, żeby sterczał tam przy barze. Wreszcie zrezygnował i wyszedł.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, poczułem się paskudnie.

- Kończę na dziś, chłopaki - oświadczyłem. Miałem nadzieję, że złapię go na parkingu, ale kiedy wybiegłem, już odjechał.

W drodze do domu pokonywałem odcinek szosy, gdzie drzewa rozstępują się i rozpościera się wspaniały widok na jezioro. Przez chmury przebijało słabe światło księżycy, ale wystarczało go, by dostrzec, że fale robią się coraz wyższe i osiągają już metr albo półtora. Czułem, jak półciężarówka kołysze się pod uderzeniami wiatru. Dwadzieścia lat po zatonięciu „Edmunda Fitzgeralda” gdzieś tam, dobre trzysta metrów pod wodą, wciąż wiecznym snem spało dwudziestu dziewięciu ludzi. Dzisiejsza noc na pewno przypominała tamtą.

Wiało przez cały czas, kiedy jechałem do domu, i nawet w chacie czułem, jak podmuchy przeciskają się szczelinami. Wyłączyłem światła i wczółgałem się pod najgrubszą kołdrę. W całkowitej ciemności słyszałem, jak noc szepce do mnie.

Spałem. Nie wiem jak długo. Nagle hałas. Telefon.

Zanim wygrzebałem się spod kołdry, zadzwonił kilka razy. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem:

- Alex.

- Halo?

- Alex, to ja, Edwin.

- Edwin? Na litość boską, która godzina?
- Nie wiem. Chyba koło drugiej w nocy.
- Druga w... Święci pańscy, Edwin, o co chodzi?
- Hm..., mam mały problem, Alex.
- Jaki problem?
- Wiem, że jest naprawdę późno, ale czy mógłbyś tu przyjechać?
- Gdzie? Do twojego domu?
- Nie, jestem w Soo.
- Co takiego? Parę godzin temu widziałem cię w barze.
- Tak, wiem. Właśnie tu jechałem.
- Edwin, co się, u diabła, dzieje?

Stałem, dygocąc przez długą chwilę, słuchając wiatru na dworze i mrużenia linii telefonicznej.

- Alex, proszę - odezwał się wreszcie. Głos zaczął mu się łamać. - Proszę, przyjedź. Wydaje mi się, że on nie żyje.

- Kto nie żyje? O czym ty mówisz?
- Naprawdę myślę, że on nie żyje. Alex, krew...
- Edwin, gdzie jesteś?
- Krew, Alex. - Prawie go nie słyszałem. - Nigdy nie widziałem tyle krwi.

Rozdział 2

O 2.30 STAŁEM W POKOJU MOTELU NA OBRZEŻACH Soo, miasteczka położonego na drugim brzegu jeziora, i patrzyłem na człowieka, który zmarł tej nocy i sprawiał wrażenie, jakby wykrwawił się na śmierć.

Krew była wszędzie. Lśniła jaskrawą czerwienią na białej podłodze łazienki, a tam gdzie wsiąkła w dywan, była niemal czarna. Jej wielkie rozbryzgi na ścianach spływały smugami aż do samej podłogi. I pokrywała całego leżącego mężczyznę. Wyglądał, jakby zanurzono go w niej niczym pisanekę.

Widok krwi przywołał na nowo strach. Wiedziałem wszystko o strachu, skąd przychodzi, dlaczego się go czuje. Ale ta wiedza wcale nie pomagała się z nim uporać. Czulem, jak wzbiera we mnie, z dna żołądka podchodzi aż do głowy. Nie mogłem go powstrzymać.

- O mój Boże - powiedziałem ciszej niż szeptem. - O mój Boże.

Zamordowany był potężnym mężczyzną. Nie mogłem się zorientować, czy go wcześniej widziałem. Nie potrafiłem się skupić. Gardło miał podcięte od ucha do ucha. Strzelono mu też w twarz. Nie mogłem ustalić, czy najpierw został postrzelony, czy poderżnięto mu gardło. Nie mogłem nawet próbować zgadnąć. Później doszedłem do wniosku, że najpierw wpakowano mu kulę, a po szyi ciachnięto, gdy padał na podłogę, ale wtedy myślałem tylko o krwi i o tym, jak jej widok mnie paraliżuje.

Drzwi do łazienki - otwarte. Leżał zwinięty na podłodze, twarzą do góry. W spodniach i podkoszulku. Bez butów. Oczy wciąż otwarte. Części twarzy nie ma. W pokoju włączone wszystkie światła. Telewizor przy łóżku także. Jakiś stary, czarno-biały film, dźwięk wyłączony. Oba łóżka nieposłane, prześcieradła skotłowane na podłodze. Krew właśnie do nich dopłynęła. Jeden róg zabarwił się na czerwono.

Nie wiem, jak długo tam stałem. Nie mogłem się ruszyć. W końcu podniosłem wzrok i zobaczyłem swoje odbicie w lustrze.

Nie dotykaj niczego. Wyjdź z pokoju. Nie dotykaj niczego. Wyjdź stąd, i to zaraz.

Wyszedłem i zamknąłem drzwi. Czuję, że zaraz zwymiotuję. Otrząsnąłem się, gdy podmuch listopadowego powietrza znad jeziora smagnął pazurami moją twarz. Edwin stał pod tanią jarzeniówką i dygotał. W jej przyćmionym, okrutnym świetle sprawiał wrażenie bezbronny i zagubiony.

Wciąż był ubrany wieczorowo, tak jak wtedy gdy widziałem go w barze. Teraz mimo woli zauważyłem, że jego szalik jest dokładnie w kolorze krwi.

- Nie żyje?

- Słucham? - zapytałem.

- Czy on nie żyje?

- Czy nie żyje? Pytasz mnie, czy nie żyje?

Edwin otulił się mocniej płaszczem.

- O Boże - jęknął.

- Co się stało?

- Nie wiem.

- Na litość boską, Edwin...

- Nie wiem, co się stało, Alex. Przysięgam.

- Wezwałeś policję?

- Nie, jeszcze nie.

- Co takiego? - Nie mogłem w to uwierzyć. - Co się z tobą dzieje? Obudziłeś tu kogoś? Gdzie jest biuro? - Motel był niewielki, zaledwie osiem czy dziewięć pokoi w jednym rzędzie. Nazywał się Riverside, chociaż do St. Mary's River były przynajmniej trzy kilometry.

- Chyba tam na końcu - odparł. - Ale poczekaj chwilę, Alex. Przemyślmy to dokładnie.

- O czym ty mówisz?

- Chcę, żebyśmy pomyśleli, jak odpowiednio to zrobić.

- Wsiadaj do mojego samochodu - poleciłem.

- Nie możemy stąd odjechać - zaprotestował.

- Mam w wozie telefon. Wsiadaj.

Moja półciężarówka była zaparkowana koło jego srebrnego mercedesa. Na parkingu stał tylko jeszcze jeden samochód. Właściciel motelu bez wątplenia wciąż spał w najlepsze, nieświadomy, że w pokoju numer 6 ktoś został zaszlachtowany. Albo miał dar najmocniejszego snu na świecie, albo zabójca użył pistoletu z tłumikiem.

Kiedy znaleźliśmy się już w kabinie półciężarówki, odpaliłem silnik i włączyłem ogrzewanie. Potem wyjąłem spod fotela telefon komórkowy.

- Dobra, najpierw wezwiemy policję - oznajmiłem. - Kto zadzwoni, ty czy ja?

- Szeryf hrabstwa jest twoim dobrym kumplem, prawda, Alex?

- Znam go. A jaki ma to związek z tym wszystkim?

- Pomyślałem tylko, że gdybyś zadzwonił...

- Edwin, widziałeś ten napis: „Witamy w Sault Ste. Marie”?

- Tak.

- A wiesz, co to oznacza?

- Że jesteśmy w Sault Ste. Marie.

- A to oznacza?

- Nie rozumiem.

- Oznacza, że musimy wezwać policję z Soo. Hrabstwo się w takie sprawy nie miesza.

- Jasna cholera.

- Masz problemy z miejską policją?

- Nie - odparł. - Żadnych problemów. Nie mam żadnych problemów z policją w Soo.

- Dzień dobry - powiedziałem do telefonu. - Mówi Alex McKnight. Jestem prywatnym detektywem i chcę zgłosić morderstwo. Tak, jestem w motelu Riverside. Tak, przy Three Miles Road. Tak, będę...

- Nie mogę w to uwierzyć - wymamrotał Edwin.

W kabinie półciężarówki nadal było tak chłodno, że widziałem obłoczek jego oddechu. Zacierał dłonie i na nie dmuchał.

Porywisty wiatr zakołysał samochodem. Trzymając telefon przy uchu, spojrzałem na motel. W ciągu roku przez hrabstwo Chippewa przejeżdżało mnóstwo turystów, ale to miejsce sprawiało wrażenie odludnego i zapomnianego. Na wywieszce obok nazwy motelu namalowany był jakiś ptak. Nie wiedziałem, czy pelikan, mewa, czy Bóg raczy wiedzieć co.

- Tak, dzień dobry panu - powiedziałem.

Połączyli mnie z jakimś innym funkcjonariuszem. Powtórzyłem informację i obiecałem, że poczekamy na radiowóz. Soo to małe miasto i byłem pewien, że nie mają żadnego wydziału zabójstw: pewnie zaledwie kilku pełnoetatowych detektywów zajmuje się wszystkimi poważniejszymi przestępstwami. Przypomniałem sobie, że

przez ostatnich pięć lat czytałem raptem o jednym morderstwie. A więc, kimkolwiek był facet zalewający pokój swoją krwią, dokonał się wielki skok w tej kategorii przestępstw. Wyślą paru mundurowych z nocnej zmiany i prawdopodobnie obudzą Roya Mavena, szefa policji. Znałem go tylko ze słyszenia i po tym, co szeryf hrabstwa opowiedział mi o nim pewnego dnia przy piwie, wcale nie tęskniłem, żeby go poznać o drugiej trzydziści w nocy.

- Co teraz? - zapytał Edwin.

- Już tu jadą.

- Super.

- Powiesz mi w końcu, co się tu stało?

Kiwnął głową.

- Od czego zacząć?

- Od wyjaśnienia, kto to taki.

- Nazywa się Tony Bing. Jest bukmacherem. Był bukmacherem.

- No i?

- Przyjechałem oddać dług.

- O tej porze?

- Zadzwoił do mnie wcześniej. Chciał pieniędzy.

- Co robił w motelu?

- Mieszkał tutaj. Przypuszczam, że podobnie jak inni. Niektórzy mieszkają w motelu.

- Też tak słyszałem - odparłem. - Ile byłeś mu winien?

- Pięć tysięcy dolarów.

- Masz je przy sobie?

- Tak, tutaj. - Poklepał po kieszeni płaszcza.

- A więc przyjechałeś tu, żeby mu oddać pieniądze. I co dalej?

- Zastukałem do drzwi, ale nikt nie odpowiedział.

- Wtedy wszedłeś do środka.

- Przyjechałem aż tutaj tylko po to, żeby mu oddać pieniądze. Nie chciałem odjeżdżać, nie zwróciwszy długu.

- Okej. A więc wszedłeś do środka i go zobaczyłeś.

- Tak.

- I potem zadzwoniłeś do mnie.

- Tak. Ja też mam komórkę. W samochodzie. - Wskazał ręką mercedesa.

- Zobaczyłeś zwłoki i zadzwoniłeś do mnie.

- No właśnie. Boże, widziałeś kiedyś coś podobnego?

- Tak - odparłem. - Widziałem.

- No jasne. Przecież byłeś gliniarzem. Pewnie napatrzyłeś się na takie rzeczy w Detroit.

- Nieraz widziałem coś takiego dwa, trzy razy jednej nocy - powiedziałem. - Człowiek się przyzwyczaja.

- Dwa, trzy razy jednej nocy? Naprawdę? Tak często?

Za pięćdziesiąt centów mógłbym dać mu w gębę tutaj, w samochodzie.

- Edwin, mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie?

- Jasne.

- Czemu, na litość boską, zadzwoniłeś do mnie, a nie po policję?

- Nie wiem, Alex. Domyślasz się, w jakim byłem wówczas stanie. Wszedłem do pokoju, zobaczyłem tego faceta i chyba wpadłem w panikę. Nie wiedziałem, co robić. Dlatego zadzwoniłem do ciebie. A potem do Uttleya.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Zadzwoniłeś do Uttleya? Nie powiedziałeś mi o tym.

- Tak, przecież jest moim prawnikiem. Uznałem, że powinienem zadzwonić także do niego.

- Co ci powiedział?

- Że zaraz tu będzie. Dziwię się, że jeszcze go nie ma.

- Mieszka z drugiej strony miasta. Ja musiałem przyjechać aż z Raju.

- Pewnie ubiera się w swój prawniczy garnitur. W każdym razie, Alex, byłeś pierwszą osobą, o której pomyślałem. Mam nadzieję, że potraktujesz to jako komplement.

- Przypomnij mi, żebym ci przysłał kwiaty, Edwin.

- No i dlatego, że jesteś prywatnym detektywem i pracujesz dla Uttleya.

- Aha.

- Żeby wszystko było jasne: nie uważam, że skoro pracujesz dla Uttleya, pracujesz także dla mnie, Alex. Nie miałem tego na myśli.

- Uhm.

Mógłbym być teraz w domu. Leżeć sobie w łóżku pod kocem, pomyślałem.

- Poza tym jesteś blisko z szeryfem hrabstwa, a to można by wykorzystać. Chociaż, jak powiedziałeś, to nie jest sprawa hrabstwa, bo zdarzyła się w mieście. O tym nie pomyślałem. Przepraszam, Alex, ale mam mętlik w głowie.

Radiowóz z Soo wjechał na parking, koguty błyskały bezgłośnie.

- Zaczyna się - mruknąłem.

Przyjechało dwóch młodych, nie więcej niż dwudziestopięcioletnich gliniarzy. Pamiętam, że ja sam przez pierwszych parę lat w Detroit pracowałem na nocnych zmianach. Na nich młodzi gliniarze wdrażają się do roboty, a starzy nabijają nadgodziny przed przejściem na emeryturę.

- Dzień dobry panom - powiedziałem. - To jest Edwin Fulton. On znalazł denata. - Wskazałem go ruchem głowy. Wyglądał żałośnie, kiedy tak stał przy półciężarówce z rękami wciśniętymi w kieszenie. - Ja nazywam się Alex McKnight.

- Gdzie są zwłoki? - spytał jeden z policjantów.

- W pokoju numer 6 - odparłem.

Miałem ochotę powiedzieć im, żeby tam nie wchodzili, ale wiedziałem, że w końcu i tak będą musieli to zrobić. Nic, czego nauczyli się w akademii, nie było w stanie przygotować ich na ten widok.

- Słodki Panie Jezu - usłyszałem, jak któryś z nich jęknął, gdy zajrzeli do pokoju.

Zamknęli drzwi i nie otworzyli ich więcej. Jeden z funkcjonariuszy podszedł do mnie.

- Szef Maven przyjedzie za parę minut - oznajmił.

- Tak myślałem. Pański partner dobrze się czuje? - Drugi policjant zniknął za radiowozem. Wiadomo po co.

- Nie wiem. Obudzę właściciela motelu.

Maven przyjechał kilka minut później. Wysiadł z samochodu - wyglądał jak facet, którego wyciągnęli w środku nocy z łóżka, żeby obejrzał sobie miejsce zbrodni. Wyciągnął z kieszeni płaszcz notatnik i przez chwilę rozmawiał z policjantami. Potem spojrzął na drzwi pokoju numer 6 i na nas dwóch.

- McKnight - mruknął, podchodząc do nas. - Alex McKnight. - Miał zimne, niebieskie oczy gliniarza, wąsy wymagające przystrzyżenia, pobrużdżoną upływem czasu twarz i głos, którego stary gliniarz używa tak jak dentysta wiertarki.

- To ja.

- Pan nas wezwał?

- Tak.

- Proszę zacząć od początku.

- Ja go znalazłem, sir - wtrącił się Edwin.

Maven spojrział na niego wzrokiem, który zdarłby rdzę z wiatrowskazu.

- Na razie nie rozmawiam z panem - syknął.

Edwin zamilkł i wbił oczy w ziemię.

- To Edwin Fulton - wyjaśniłem. - Znalazł go, zadzwonił do mnie, przyjechałem i wezwałem policję. To wszystko.

- Podobno jest pan PD.

- Tak.

- Ma pan wizytówkę?

- Jeszcze nie. Otrzymałem licencję dopiero parę miesięcy temu.

Wyrwał kartkę z notesu.

- Może więc zapisze pan na tym kawałku papieru swój adres i numer telefonu i będziemy udawali, że to wizytówka.

Patrzyłem na niego przez chwilę, po czym wziąłem kartkę.

- Okej, a teraz mówię do pana, panie Fulton.

- Słucham, sir? - Starał się nie trząść. Naprawdę bardzo się starał.

- To pan znalazł denata w tym pokoju?

- Tak, sir.

- I natychmiast zadzwonił pan do pana McKnighta?

- Tak, sir.

- A co zrobił pan potem?

- Zadzwoniłem do mojego prawnika, sir.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na parking wjechało małe, czerwone bmw Uttleya.

Maven zamknął oczy i ścisnął grzbiet nosa.

- A później, panie Fulton? Co pan zrobił później?

- Czekałem tu, sir. Aż do przyjazdu Alexa.

- Czy nie przyszło panu do głowy, żeby zadzwonić na 911?

- Bardzo mi przykro, sir, nie. - Spojrzał na mnie, szukając pomocy, ale jej nie otrzymał.

- Rozumiem.

- Dzień dobry panom! - Lane Uttley podszedł do nas. Edwin miał rację, był w swoim garniturze prawnika. Wyglądał tak, jakby wziął prysznic, ogolił się, a po drodze zatrzymał u swojego fryzjera i obudził go na szybkie strzyżenie. - Alex! - rzucił

oficjalnie. - Dzięki Bogu, że tu jesteś. Edwin, wyglądasz koszmarnie. Szeffie Maven, Roy, proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

Maven patrzył na adwokata przez chwilę.

- Poczekajcie tu - nakazał. - Wszyscy.

Podszedł do drzwi pokoju i je otworzył. Obserwowaliśmy go, jak wetknął głowę do środka. Stał tak przez całą minutę, bez ruchu. W końcu zamknął drzwi i znowu porozmawiał z policjantami. Zdążyli już obudzić właściciela motelu, starego mężczyznę, który, oszołomiony, stał teraz między nimi w butach i płaszczu narzuconym na pizamę.

- Jak wygląda ten facet? - zapytał mnie Uttley.

- Strzelono mu w twarz i poderżnięto gardło. Poza tym, wygląda doskonale.

Maven dołączył do nas.

- Panowie, wszystko wskazuje na to, że Soo właśnie straciło bukmachera - oznajmił.

- To Tony Bing - wyjaśnił Edwin. - Przyjechałem oddać mu pieniądze.

- Wiem, kim on jest, panie Fulton. Porozmawiamy w komisariacie, tymczasem moi ludzie zabiorą się tu do pracy.

- Oczywiście, Roy - wtrącił się Uttley. - Zrobimy co w naszej mocy, by pomóc.

- Wielkie dzięki - odparł Maven. - A teraz, panie Fulton, czy może mi pan podać swój lewy but?

- Słucham?

- Pański lewy but, panie Fulton. Jeżeli obejrzy pan podeszwę, pewnie znajdzie pan na niej trochę krwi.

Edwin położył mi rękę na ramieniu i uniósł lewą stopę.

- O Boże - jęknął.

- Proszę go zdjąć - polecił Maven.

- Teraz zaraz?

- Roy, daj spokój - interweniował Uttley. - Przecież możesz...

- Zmienił pan wygląd miejsca przestępstwa, panie Fulton. Proszę dać mi but.

Edwin ściągnął but i mu go podał. Pantofel, z miękkiej szarej skóry, musiał kosztować więcej niż moja półciężarówka. Maven wyciągnął z kieszeni płaszcza plastikową torebkę i włożył do niej but.

- Dziękuję - powiedział. - A teraz jeżeli pan i pański prawnik zechcą towarzyszyć mi na komisariat...

- Roy, na litość boską - zaprotestował Uttley. - Zabrałeś człowiekowi but.

- Panie Uttley - odparł Maven. - Powinien pan chyba poradzić swojemu klientowi, aby poskakał na prawej nodze. O tak. - Uniósł lewą nogę i zademonstrował to, pobrzękując kluczami w kieszeni. - Widzi pan? To łatwe. Niemal tak łatwe, jak wystukanie numeru 911.

Pojechałem z powrotem do Raju. Jazda zajmuje trzydzieści minut, kiedy wdepnie się gaz, a czterdzieści pięć, jeżeli przestrzega się dozwolonej prędkości. Nie bardzo zależało mi na tym, by dotrzeć szybko do domu.

Wstawało słońce, wiatr ucichł. Droga 23 oddala się od jeziora i prowadzi do skrzyżowania. Tu rodzi się pokusa: zahaczyć o kasyno Bay Mills albo o King's Club? Jeżeli pojedziesz prosto, wkrótce znajdziesz się w puszczy Hiawatha, a potem dotrzesz do małych miasteczek Raco i Strongs. Gdy skręcisz w prawo, na drogę 123, po chwili znowu pojawi się jezioro. Miniesz Park Stanowy Taquamenon i już jesteś w Raju. Wita cię napis: „Wjeżdżasz do Raju! Cieszymy się, że ci się udało!”

Usiłowałem nie myśleć. To się nie stało. To był zły sen.

Uttley, który mi dziękuje. Mówi, żebym jechał do domu i trochę się przespał. Edwin, który stoi z tym swoim zagubionym wzrokiem. Tym razem żadne pieniądze świata mu nie pomogą. Szef Maven odgrywa przed nami twardziela. Już ja znam takich gliniarzy jak on.

To już było, Alex. Dawno temu w Detroit.

Przerwij to tu. Nie myśl o tym dalej. Wcale nie wszedłeś do tego pokoju w motelu. Wcale tego nie widziałeś. Czerwone, czerwone, wszystko czerwone.

Usiłowałem nie wpuścić następnego obrazu, ale nie mogłem. Znowu widziałem krew. Wielkie, drżące jezioro krwi.

Tamten dzień w Detroit. Znów tam jestem. Krew, taka jak dziś w nocy. Taki sam kolor. Tak samo krwawa. Krew jest zawsze taka sama.

Franklin leży. Mój partner leży. I krwawi. Zrób coś. Za dużo krwi. Wstań. Wstań i mu pomóż.

Czyja też krwawie? Czy to moja krew? Czy ma to jakieś znaczenie? Krew jest taka sama. Zawsze taka sama.

Do diabła. Myślałem, że się z tym uporałem. Myślałem, że to już zniknęło.

Skrećając na mój podjazd, próbowałem sobie przypomnieć, gdzie położyłem tabletki. Od dawna ich nie brałem, a jeśli już, to tylko wtedy, gdy miałem złe noce. Po prostu, żeby przetrwać złe noce.

Muszę znaleźć pastylki. Tylko ten jeden raz. Jeszcze jeden raz. Muszę się przespać, chociaż kilka godzin. Muszę zamknąć oczy i nie widzieć Franklina leżącego obok mnie na podłodze.

Znalazłem pigułki głęboko w apteczce. Nie patrząc na swoje odbicie w lustrze, połknąłem jedną, a potem drugą.

Pigułki mi pomogą jeszcze jeden raz. Jak przyjaciel. Sprawią, że wszystko stanie się białe. Nie będzie więcej krwi. Czerwień spłowieje. W miarę jak będę odlatywał coraz wyżej i wyżej, czerwień przejdzie w róż. A potem róż zblednie, przechodząc w czystą biel, i dotrę do chmur.

Rozdział 3

KIEDY SIĘ OBUDZIŁEM, głowa zwisała mi poza krawędź łóżka. Otworzyłem oczy i wpatrywałem się w drewnianą podłogę. Długo mój umysł był idealnie pusty. Potem wszystko wróciło.

Wyskoczyłem z łóżka i poszedłem do łazienki, wciąż ubrany w to, co miałem na sobie ubiegłej nocy. Oczy, które patrzyły na mnie z lustra, były podkrążone, a nad lewą brwią, tam gdzie trafiły mnie klucze Prudella, widniał sympatyczny, nieduży siniak. Pomimo listopadowego chłodu pocilem się. Przyglądałem się swojemu odbiciu w lustrze, pozwalając, by wzbierała we mnie wściekłość. Kiedy uznałem, że nagromadziło się jej już dosyć, wyszedłem na dwór.

Koło chaty leżała sterta bierwion. Chwyciłem siekierę i ruszyłem do ataku. Rozszczepiałem każde polano na połowy, a połowy na ćwiartki, najpierw trzymałem siekierę tylko w lewej dłoni, a potem oburącz robiłem zamach i wznosiłem ją nad głowę, po czym opuszczałem, rozszczepiając polana. Każdym uderzeniem rozbijałem bierwiono i przełamywałem ból narastający w moim ramieniu, z którego wyłuskano trzy kule.

Musiałem poczuć rytm, taki sam jak kiedyś podczas gry w bejsbol, gdy nie istniało nic poza regularną serią piłek rzucanych prosto we mnie po to, abym mógł raz za razem wybijać je daleko poza boisko albo w miejsca dla publiczności.

Kiedy rozprawiłem się z bierwionami, wyprowadziłem półciężarówkę, czując mrowienie w dłoniach. W moim ciele nadal czaiły się echa strachu, mięśnie były obolałe, jak po długim biegu.

Pojechałem leśną drogą do pierwszej wynajmowanej chaty i wyładowałem z metr sześcienny drewna tuż przy drzwiach frontowych, aby lokatorzy nie musieli daleko chodzić. Powtórzyłem to przy następnej chacie, wróciłem po kolejny ładunek i zawiozłem drewno do trzeciej, czwartej i piątej chaty, zagłębiając się coraz bardziej w las. Był późny ranek, dlatego nie spotkałem nikogo. Wszyscy już dawno wyruszyli na polowanie.

Trwał sezon polowań z łukiem na jelenie. Tak przynajmniej myślałem. Trudno śledzić na bieżąco wszystkie okresy łowieckie. Wiedziałem, że wkrótce zacznie się pora polowań z bronią palną, a parę tygodni później - polowań z bronią ładowaną od przodu. Sezon na niedźwiedzie właśnie się skończył, ale co z polowaniami na dzikie indyki? Pamiętałem, że sezon na szare i rude lisy trwał przez całą zimę, podobnie jak na rysie rude, szopy, kojoty, króliki, wiewiórki, bażanty, kuropatwy i słonki. Sezon na łosie się skończył, ale rozpocznie się znów w grudniu.

Teraz większość myśliwych, stali goście, jak co roku przyjeżdżała w tym samym tygodniu z południowych stanów. Podobały im się chaty i fakt, że wystarczyło przejść kilkadziesiąt metrów, by znaleźć się na terenach łowieckich. Odpowiadało im też, że dostarczałem im drewno pod same drzwi.

Wróciłem do chaty i rozpałem w piecu, aby trochę ogrzać wnętrze. Rozebrałem się do bokserów i wykonałem kilka pompek i brzusków. Drewniana podłoga pod moimi nagimi plecami była chłodna, ale ćwiczyłem, aż oblałem się dobrym, zdrowym potem. Próbowałem wypłukać toksyny z mojego systemu, usunąć je z mięśni i krwi.

Wziąłem gorący prysznic - po prostu stałem pod nim, pozwalając, by woda smagała moje ciało przez pełne dwadzieścia minut. Potem ubrałem się i wstawiłem kilka jajek oraz wodę na kawę. Kiedy czekałem, aż będą gotowe, wcisnąłem guzik odtwarzania automatycznej sekretarki. Usłyszałem charakterystyczny głos Uttleya, melodyjny i nastrojony jak koncertowe skrzypce. Prawnik musiał dzwonić, kiedy wozilem drewno. „Jak się masz, Alex? Mówi Lane. Dziś niedziela. Dochodzi dwunasta trzydzieści. Dzwonię, aby się upewnić, że ubiegłej nocy dotarłeś do domu. I podziękować ci za pomoc. Nie wiem, co Edwin by bez ciebie zrobił. Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego mógłby mieć facet. Naprawdę tak myślę. Jeżeli chciałbyś do mnie zatelefonować, będę w domu przez cały dzień. Jeśli nie, po prostu spotkamy się jutro w biurze. Mam nadzieję, że wpadniesz. Ale jeżeli chcesz wziąć kilka dni wolnego, nie ma sprawy. Porozmawiamy później. No to na razie!”

Jakoś nie chciało mi się rozmawiać z Uttleyem, i w ogóle z nikim. Narzuciłem płaszcz i wyszedłem na dwór. Słońce wyjrzało zza chmur, może po raz ostatni przed nastaniem zimy. Podążyłem drogą dojazdową, potem przez szosę i dalej w las. Niezbyt to mądre w samym środku sezonu na jelenie. Prawo wymaga, aby polując w stanie Michigan, nosić jaskrawopomarańczową kurtkę, ale nawet kiedy nie polujesz, dureń z ciebie, jeśli nie włożysz jej przed wejściem do lasu. Bóg mi świadkiem, że po tych

lasach pęta się dość nawalonych facetów z południowych stanów, gotowych strzelać do wszystkiego, co się rusza. Ale nie dbałem o to. Nie dzisiaj.

Poszedłem ścieżką do jeziora, między modrzewiami amerykańskimi i sosnami Banksa, i dalej, wzdłuż brzegu, o który biły fale. Na tym odcinku nie było piaszczystych plaż, nic, co zapraszałoby do łatwego wypoczynku. Sterczały tu skały, więcej skał niż gwiazd na niebie, echo epoki lodowcowej. Po nocnych wiatrach wśród głazów tkwiło mnóstwo śmieci, kawałki drewna i odłamki łodzi. Woda wydawała się dość spokojna, ale już czuło się, że, jak to w listopadzie, w każdej chwili może stać się groźna.

Szedłem na północ z godzinę, obok ostatnich pochylni do wodowania łodzi, ku dzikiemu brzegowi, na którym nie było śladu obecności człowieka. Rosło tu więcej brzoź, a także trochę świerków czarnych i balsamicznych. Teraz, w tym odosobnieniu, mogłem pomyśleć o ubiegłej nocy. No dobra, a więc ktoś zabił bukmachera. W Detroit znałem ich wielu. Pamiętam, że dwóch nawet aresztowałem. Nie przejęli się. Ot, ryzyko zawodowe. Zwijają cię, płacisz grzywnę i wracasz do interesów. Zasadniczo to dość monotonna praca - siedzisz godzinami przy telefonie i przyjmujesz zakłady. Większość klientów bukmacherów obstawia u nich regularnie. Nawet gliniarze. Jeżeli chodzi o przestępczość, bukmacher jest właściwie szanowanym członkiem społeczeństwa. Dlaczego więc zamordowano tego faceta w motelu?

Nie zapłacił komuś. Gdzieś, w całym tym łańcuszku, ktoś stwierdził, że facet za dużo sobie pozwala. A więc go usunięto. Jestem pewien, że takie rzeczy się zdarzają. Nie codziennie, ale się zdarzają.

Kimkolwiek był zabójca, najwyraźniej zaplanował wszystko wcześniej. Przecież prawdopodobnie użył tłumika. Dlaczego więc poderżnął bukmacherowi gardło? Wystarczyło strzelić mu w twarz. Gdyby nie zginął natychmiast, śmierć nastąpiłaby w czasie dwóch minut. I po co tak upaprać cały pokój? Ktoś, kto zarabia w ten sposób na życie, tak nie postępuje, chyba że ma to być jakiś komunikat. Dla innych bukmacherów, którzy mogliby popełnić podobny błąd? Niewykluczone. A może to po prostu porachunki osobiste?

Rzucałem kamieniami w wodę, dopóki się nie zmęczyłem. Słońce skryło się za chmurami, wiatr znowu się wzmógł. Fale coraz mocniej uderzały w skały. Zmarzłem.

Postanowiłem więc wracać; wziąłem otoczek petoskey* i schowałem go do kieszeni - na szczęście.

Szedłem z powrotem o wiele szybciej. Przemyślałem wszystko, zdystansowałem się od tego aktu przemocy, który nie miał ze mną nic wspólnego, i poczułem się lepiej.

Tym razem, idąc przez las, uważałem na myśliwych. Sześć należących do mnie chat stało przy dawnej drodze, wzdłuż której dokonywano wyrębu. Mój staruszek kupił tę ziemię na początku lat sześćdziesiątych, przyjeżdżał tu co weekend, oczyszczał teren z drzew i planował, gdzie staną chaty. Budował je w staroświecki, „prawidłowy sposób”. Bierze się kawał dobrej, solidnej sosny i rozpiłowuje wzdłuż piłą łańcuchową, dzięki czemu bale pasują do siebie idealnie. Nie robił żadnych wyłobień.

Pomagałem mu tamtego lata. Był to rok 1968, rok w którym Tigersi wygrali World Series. Miałem przed sobą jeszcze rok liceum, a potem zamiast do college'u chciałem wstąpić do Minor League*. Nie był tym zachwycony. Ale prawie o tym nie mówił. Pewnego popołudnia czubek piły łańcuchowej odbił mi się od bierwiona i niemal obciąłem sobie ucho. Wiózł mnie do szpitala w Soo, a ja przyciskałem szmatę do głowy. „Lubisz uczyć się wszystkiego w trudniejszy sposób, prawda? - powiedział. - Chciałbym znowu być młody i głupi”. A potem zaczął mi tłumaczyć, że nie utrzymam się nawet jednego dnia w Minor League, jeżeli moje rzuty na drugiej bazie nie będą celne. Sam złapał kiedyś parę piłek. Znowu opowiadał mi o technikach rzutu, chociaż słyszałem to już setki razy. „Kiedy byłem w twoim wieku, w każdej wolnej chwili miałem w ręku piłkę do bejsbola. Łapałem ją i obracałem, żeby czuć pod palcami jej cztery szwy. Łapać i obracać, raz za razem, aż piłka stanie się częścią ciebie. A wtedy twoje rzuty nie trafią Panu Bogu w okno”.

Kiedy to było, trzydzieści lat temu? Zmarł parę lat po tym, jak przestałem pracować w policji. Wciąż próbowałem dojść do ładu z tym, co się stało, z powodu niepełnosprawności otrzymywałem trzy czwarte pensji. Przyjechałem tu z zamiarem sprzedaży ziemi i chat. Ojciec zbudował sam jeden jeszcze pięć, każda kolejna była większa i solidniejsza od poprzedniej. Gdy postanowiłem zostać tu jakiś czas, wprowadziłem się do pierwszej, chociaż była najmniejsza i przez szczeliny między

* Petoskey - skamieniały koral *Hexagonaria percarinata* o charakterystycznym, plamiastym wzorze, spotykany na plażach w stanie Michigan (przyp. tłum.).

* Minor League - organizacja drużyn bejsbolowych współzawodniczących na niższych poziomach niż najwyższa liga, Major League Baseball (przyp. tłum.).

balami dostawało się zimno. Jestem pewien, że to ja obrabiałem te bale wtedy, kiedy byłem młody i głupi.

Potem spędziłem leniwy sobotni wieczór w Glasgow Inn, czytając gazetę przy stole i zimnym kanadyjskim piwie. Morderstwa dokonano zbyt późno, by napisano o nim w niedzielnym wydaniu, dlatego mieszkańcy hrabstwa Chippawa będą musieli poczekać do poniedziałku, żeby się o nim dowiedzieć. Nagła śmierć nie jest tu niczym niezwykłym, ale zazwyczaj ofiary pochłania jezioro - cztery, pięć osób rocznie ginie, kiedy zaskoczy je sztorm. Morderstwo to jednak coś innego. Będzie bulwersować wszystkich mniej więcej przez dwa tygodnie, a potem o nim zapomną.

- Dobry wieczór, Alex.

Podniosłem wzrok znad gazety Edwin stał przy krześle z drugiej strony stolika.

- Siadaj - powiedziałem.

Usiadł.

- Coś ciekawego w prasie? - zapytał. Spojrzałem na niego i odwróciłem stronę.

- Nie w dzisiejszej. Jutro wybuchnie bomba.

- Tak, wiem. Dziennikarz już dziś do mnie dzwonił. Możesz w to uwierzyć?

- Dziennikarz dzwonił do ciebie? Skąd wziął twoje nazwisko?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Sam wiesz, jacy są dziennikarze.

- Aha.

- Nie podałem mu twojego nazwiska - oznajmił. - Nie powiedziałem, że przyjechałeś, by mi pomóc. Uznałem, że przynajmniej to mogę zrobić.

- Hm...

- Naprawdę mi przykro, Alex. Nie powinienem zwracać ci tym głowy.

- Edwin, mogę cię o coś zapytać? - Odłożyłem gazetę i popatrzyłem mu w oczy. Miał na sobie czerwoną flanelową koszulę; najwyraźniej chciał wyglądać jak jeden z miejscowych. Nie udało mu się.

- Jasne, pytaj.

- Przede wszystkim, dlaczego zadawałeś się z tym facetem? Czy nie powiedziałeś mi, że nie będziesz już więcej grać?

- Tak - przyznał. - Powiedziałem.

- Siedziałeś przy tym stoliku naprzeciwko mnie, tak jak teraz. - Rozejrzałem się po sali. - Nie, przy tamtym, pod oknem. Pamiętasz? „Ja, Edwin J. Fulton Trzeci

postanawiam, że nigdy więcej nie będę grał, że stanę się dobrym mężem dla Sylvii, a Alex nigdy nie będzie musiał przychodzić do kasyna i wlec mojego tyłka do domu, bo zniknąłem na dwa dni”. Pamiętasz te słowa?

- Tak. Pamiętam bardzo dobrze.

- No i co?

- Sam nie wiem. To było pod koniec marca. Zaraz po tym ostatnim drobnym incydencie.

- Tak..., drobnym incydencie. - Czułem, jak wzbiera we mnie złość, i nie tylko dlatego, że Edwin znowu grał. Jeżeli ktoś wyrzuca pieniądze, to jego sprawa. Ale to draństwo, jeżeli zostawia na wiele dni żonę samą w wielkim domu na cyplu. Kobiętę taką jak Sylvia, w której jest tak wiele tego, czego mi bardzo brakuje. Zimy są tu za długie. Miałem aż nadto czasu, by o tym myśleć, wiedząc, że jest sama w domu i czeka na mnie.

- Alex, to nie tak jak myślisz.

- Nie, oczywiście że nie tak. Zawiozłeś pięć tysięcy dolarów do jego pokoju w motelu, w samym środku nocy, ale nie dlatego, że grałeś.

- Alex...

- Jak się okazuje, facet sprzedawał na boku ciasteczka, a ty kupiłeś dwa tysiące pudełek.

- Nie rozumiesz - powiedział.

- Owszem, rozumiem. W tym cały problem. Doskonale rozumiem.

Edwin wstał. Pomyślałem, że sobie pójdzie, ale on podreptał do baru i zamówił manhattan. Wrócił z koktajlem i znowu usiadł.

- Alex - powiedział. - Mam problem. Wiem o tym. Wydawało mi się, że go rozwiązałem. Ze się z nim uporałem. Ale nie. Przyznaję. Okej? Myliłem się. Wciąż go mam.

- Aha.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek byłeś w takiej sytuacji. Nie sprawiasz na mnie wrażenia faceta, który miał jakieś problemy z hazardem. Pewnie nie możesz w ogóle tego zrozumieć. Ale w rzeczywistości to się nie różni od żadnej innej formy wewnętrznego przymusu, nałogu, czy jak chcesz to określić. Obojętne, czy to hazard, alkohol czy narkotyki, na dobrą sprawę mechanizm jest ten sam. Czy kiedykolwiek miałeś podobny problem?

- Załóżmy teoretycznie, że tak.

- Okej, cokolwiek to jest, nieważne, picie, prochy czy gra, coś ci daje. Zapewnia ci specyficzne doznania. Wiesz, o co mi chodzi? Doznania, jakich nie doświadczysz w żaden inny sposób. I w końcu dochodzisz do momentu, w którym wiesz, że zaczynasz robić sobie krzywdę, ale nadal w tym trwasz. Mnie pociąga ryzyko. Kulka podskakuje na kole ruletki. Krupier pokazuje szóstkę, a ja mam jedenaście. Alex, przeżywam wtedy coś w rodzaju elektrowstrząsu. I uwierz mi, nic innego tak na mnie nie działa. Nic tego nie zastąpi.

- Rozumiem, Edwin. Wiem, że to nałóg jak każdy inny.

- Okej, założmy, że jesteś alkoholikiem i zamiast od razu rozpocząć program dwunastu kroków, próbujesz najpierw czegoś innego; nie odstawisz całkowicie alkoholu, tylko próbujesz go ograniczyć, no wiesz, zapanować nad nim. Na przykład zamiast pić whisky, pijesz piwo.

- To tak, jakbyś oszukiwał sam siebie.

- Na to wygląda. Ale taki miałem pomysł, rozumiesz? Pomyślałem, że jeżeli zdołam ograniczyć granie, zdołam nad tym zapanować.

- Nie nadążam.

- Alex, to nie wygrana wciąga. Ale oczekiwanie. Niepewność: wygrasz czy przegrasz. To właśnie budzi emocje. Pomyślałem więc sobie, że jeżeli będę obstawiał rozgrywki futbolowe, uda mi się wydłużyć okres oczekiwania. Zamiast utrzymywać napięcie, rozgrywając kolejne partie blackjacka, muszę jedynie obstawić jeden mecz futbolowy, a potem czekać cały tydzień. Zupełnie jakbym sączył jedno piwo przez kilka dni.

- Edwin, na litość boską.

- Tłumaczę ci, jak to sobie wyobrażałem, Alex. Zakłady przyjmowane są od poniedziałku rano. Od razu obstawiałem i to było, jakbym otrzymał tego maleńkiego kopa. Oczywiście musiała to być znacząca suma. Zazwyczaj pięćset dolarów. Może tysiąc. Potrzebowałem tylko tyle. I mogłem się relaksować przez cały tydzień.

- I jak długo to trwało?

- Parę miesięcy. Od rozpoczęcia sezonu rozgrywek futbolowych. Zupełnie nieźle mi szło. Aż do tego kretyńskiego meczu drużyny Brigham Young. Nie uwierzysz, ale na dwie minuty przed końcem prowadzili dwudziestoma punktami. Dwudziestoma punktami! A potem kretyńsko oddali dwa proste przyłożenia. Obstawiałem do siedmiu i przegrałem jednym punktem. Ci mormoni nie potrafią grać w obronie, i to jest mój problem.

- Mormońska drużyna futbolowa nie potrafi grać w obronie, a ty uważasz, że na tym polega twój problem?

- Żartowałem, Alex. Wiem, w czym rzecz. Widok tego martwego faceta był dla mnie jak sygnał alarmowy. Uświadomił mi, że jeżeli nie zacznę postępować jak należy, któregoś dnia mogę tak właśnie skończyć. - Pociągnął długi łyk koktajlu i usiadł wygodniej.

- I co chcesz mi powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że kończę z hazardem. Na zawsze. Tym razem mówię serio.

- Założysz się? - spytałem. Roześmiał się.

- Anonimowi Hazardziści - oznajmiłem. - Są w książce telefonicznej.

- Masz rację. Zadzwoń do nich jutro.

- Okej.

- Nie żartuję. Naprawdę zamierzam do nich zadzwonić.

- Okej.

- A teraz wróć do domu, Alex. Do domu, do mojej żony.

- Słuchaj, Edwin. Jeżeli wyjdiesz przez te drzwi i pójdziesz do kasyna, znajdę cię tam i uduszę gołymi rękami.

- Jadę do domu, Alex. Obiecuję.

- No to już idź.

- Dziękuję, Alex. Pozwól, że zapłacę twój rachunek.

- Nie trzeba.

- Ale chcę.

- Po prostu idź już.

- Chcę ci postawić kolację.

- Wynocha!

- Zdecydowałem, że postawię ci obiad. A ty nie możesz mnie powstrzymać.

Podszedł do baru i wskazując na mnie, wsunął Jackiemu do ręki kilka banknotów. A potem pomachał mi i zniknął za drzwiami.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. W Edwinie było coś takiego, co nie pozwalało mi go znienawidzić. Przypominał mojego dawnego partnera, Franklina. Edwin miał zaledwie sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, figurę baryłki, był tak biały, jak to tylko możliwe, bogaty jak diabli, a do tego kochał hazard. Natomiast Franklin miał dobry metr dziewięćdziesiąt pięć, ważył przynajmniej sto dziesięć kilo, grał dawniej w futbol, był czarny i jak każdemu gliniarzowi w Detroit zawsze

brakowało mu pieniędzy. Nie dołożyłby nawet pięciu zielonych do tygodniowego wspólnego totka. Ale na swój sposób, w moim odczuciu, byli bardzo do siebie podobni.

„Alex, jesteś moim najlepszym przyjacielem”, powiedział mi pewnego wieczoru w tym właśnie barze. Co prawda skończył właśnie trzeciego manhattana, ale wiedziałem, że to nie alkohol przez niego przemawia. Powiedział to tak, jakby te słowa miały dla niego wielkie znaczenie, zupełnie jakby myślał o tym bardzo długo i wreszcie zdobył się na odwagę, by mi to wyznać.

Franklin nie miał takiej szansy. W każdym razie nigdy tego od niego nie usłyszałem. Dowiedziałem się z drugiej ręki, po jego śmierci, od wdowy po nim: „Ciągle mówił o panu. O waszych dyskusjach o sporcie. I o sytuacjach, w których mu pan pomógł. Naprawdę wysoko pana cenił, panie McKnight. Nigdy by tego nie powiedział, ale powinien pan wiedzieć, że uważał pana za swojego najlepszego przyjaciela”.

Myśl o Franklinie i o tym, co się z nim stało, natychmiast starła uśmiech z mojej twarzy

Wróciłem do domu. Tej nocy znowu bardzo wiało. Zanim położyłem się do łóżka, stałem w łazience i patrzyłem na fiolkę z pastylkami. Nie potrzebujesz ich, powiedziałem. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Nie potrzebujesz ich. Potarłem blizny na ramieniu. Już tak bardzo nie bolały. Nie musisz brać prochów, żeby zasnąć.

I jeżeli przyśni ci się Franklin, cóż, potrafisz dać sobie z tym radę. To było czternaście lat temu.

Słyszałem wiatr wciskający się szczelinami do chaty.

Nie potrzebujesz ich. Jesteś już wystarczająco silny.

Otworzyłem fiolkę. A potem zatkałem ją wacikiem, wstawiłem z powrotem do apteczki i wyłączyłem światło.

Zasnąłem. I znowu - jak wczoraj - obudził mnie telefon. Spojrzałem na zegarek. Trzecia.

Podniosłem słuchawkę.

- Do diabła, Edwin - burknąłem. - Co tym razem?

- Dobry wieczór, Alex - usłyszałem. Na pewno nie był to Edwin. Mężczyzna mówił stłumionym głosem, właściwie syczał jak wąż.

- Kto mówi?

- To ja, Alex. Nie wiesz, kto dzwoni?

- Kim jesteś i dlaczego dzwonisz do mnie o pierdolonej trzeciej w nocy?

- Podobało ci się, Alex?

- Co mi się podobało? O czym ty gadasz?

- Wiedziałem, że ci o tym opowie, ale nie mogłem uwierzyć, że obudzi cię i namówi, abys pojechał taki kawał drogi i to obejrzał.

Czułem palenie w żołądku. Skup się na jego głosie. Zbierz myśli. Niech pojawi się twarz.

- Nie umiem wyrazić, jak jestem szczęśliwy, Alex. Czuję się tak, jakbyśmy zostali połączeni. Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek do tego dojdzie.

Nie mogłem powiązać głosu z twarzą. Nie miałem pojęcia, kto to może być.

- Co myślisz, Alex? Co myślisz o moim dziele?

- Chodzi ci o to morderstwo wczoraj?

- Nie nazwałbym tego morderstwem. Nikomu nie będzie go brakowało. Wiesz, widziałem, jak rozmawiał z twoim przyjacielem. Oni mnie nie widzieli, ale tam byłem. Nie podobało mi się, co mówił Edwinowi. To był bardzo zły człowiek, Alex. Uznałem więc, że skoro nie mogę zrobić czegoś dobrego dla ciebie, to przynajmniej zrobię coś dobrego dla twojego przyjaciela.

- Kim jesteś?

- Edwin sprawia wrażenie czarującego człowieczka, Alex. Obserwowałem go. Muszę przyznać, że początkowo byłem trochę zazdrosny.

- Do diabła, kim jesteś?

- Jeszcze pogadamy, Alex. Śpij dobrze. To już nie potrwa długo. Tak się cieszę, że wreszcie będziemy razem.

Rozdział 4

RANEK WSTAWAŁ POWOLI, ciemność ustępowała przed przyćmionym listopadowym brzaskiem, który sączył się spomiędzy wiecznie szarych chmur, tłumiony przez sosny za oknem. Siedziałem na łóżku z przymkniętymi oczami, oparty o nierówną ścianę z bali.

Po tym telefonie już nie zasnąłem. Gdy tylko serce przestało mi łomotać, usiadłem na łóżku i zacząłem przypominać sobie każde wypowiedziane przez niego słowo, każdy niuans głosu, i mimo wszystko wciąż nie mogłem skojarzyć go z twarzą czy nazwiskiem. W końcu z wyczerpania wpadłem w jakiś trans i po prostu siedziałem, tępo wpatrując się w telefon.

I nagle znów zadzwonił. Nigdy w życiu nie słyszałem tak głośnego dźwięku. Zanim złapałem oddech, telefon zadzwonił po raz drugi, a potem trzeci. Wstałem z łóżka, podniosłem słuchawkę, ale się nie odezwałem.

- Halo?

To chyba nie był ten sam głos. Czekałem.

- Halo, Alex? - Przypominał... Uttleya?

- Lane, to ty?

- Tak, Alex. Dobrze się czujesz? Nie obudziłem cię?

- Nie. Wszystko w porządku. Ja tylko... Naprawdę, wszystko w porządku.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie.

- Już nie spałem. Naprawdę.

- To dobrze, dobrze. Posłuchaj, wiem, że to zabrzmiało dziwnie. Właśnie przyszedłem do biura i odsłuchałem wiadomość z sekretarki. Ten facet mówi, że zamierza mnie zabić...

- Poczekaj, Lane - przerwałem mu. - To bardzo ważne. Powtórz mi dokładnie, co mówił.

- Niech sobie przypomnę. Powiedział, że ma moją wizytówkę i nie życzy sobie, żebym rozmawiał z jego żoną, a jeżeli kiedykolwiek mnie zobaczy, zabije mnie.

- Co? Twoją wizytówkę?

- Tak powiedział.

- Nie chciał, żebyś rozmawiał z jego... och, chwileczkę. Wydaje mi się, że wiem, o co tu chodzi. Kiedy zostawił informację?

- Chyba w piątkową noc.

- Aha, okej. - Zrobiłem głęboki wydech. - No właśnie. Pamiętasz? Miałem podjechać na parking przyczep, żeby spróbować zdobyć zeznania na temat tamtego wypadku.

- Tak, w sprawie Barnhardta. Chodziło o nogi. Jezu, w tym całym zamieszaniu poprzedniej nocy zupełnie o tym zapomniałem. Powinienem był zajrzeć do szpitala. Sprawdzić, jak ten biedak się czuje. Niech to diabli.

- Rozmawiałem z kobietą, która widziała wypadek. Zostawiłem jej twoją wizytówkę. To jej mąż musiał do ciebie dzwonić.

- Wspaniale - burknął. - Chce mnie zabić zazdrosny mąż, a ja tej babki nawet na oczy nie widziałem.

- Pewnie tylko pręży mięśnie. Gdyby naprawdę zamierzał cię zabić, po prostu przyszedłby do twojego biura. Przecież zna adres.

- Jezu - jęknął. - Po co w ogóle zostałem prawnikiem?

- Nie przejmuj się. Rozejdzie się po kościach.

- Czy naprawdę dobrze się czujesz? Twój głos nie brzmi najlepiej.

- Nic mi nie jest - odparłem. - Po prostu... - Przerwałem.

- Co takiego? Co się stało?

- Opowiem ci później. Posłuchaj, zahaczę o parking przyczep, jadąc do ciebie. Na pewno uda mi się załagodzić sprawę.

- Przyjedziesz do biura?

- Uznałem, że powinienem. - Nie mogłem znieść myśli o siedzeniu dziś samemu w domu. Tylko ja i telefon.

Rozłączyłem się, po czym zadzwoniłem do Edwina.

- Edwin. Tu Alex. U ciebie wszystko w porządku?

- Alex? Która godzina? Co się dzieje?

- Po prostu chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku.

- Alex, powiedziałem ci wieczorem, że jadę prosto do domu. I przysięgam, że tak zrobiłem.

- Wierzę ci, Edwin. Nie o to mi chodziło. Byłem tylko ciekaw, czy dzwonił ktoś do ciebie w środku nocy.

- Nie, nie dzwonił. Co się stało?

- Prawdopodobnie nic. - Nie było sensu go straszyć. - A teraz chciałbym się czegoś dowiedzieć o tym bukmacherze. Nazywał się Tony Bing, prawda?

- Tak, ale dlaczego to cię interesuje?

- Proszę cię, Edwin, po prostu mi zaufaj. Kiedy się z nim spotykałeś, to zawsze w jakimś konkretnym miejscu?

- Tak. W Soo jest bar Tawerna Marynarza. Bing przychodził tam, kiedy musiałem się z nim zobaczyć. Zazwyczaj jednak rozmawialiśmy tylko przez telefon.

- Rozumiem. Ale jeśli się z nim spotykałeś, to zawsze w tym lokalu?

- Tak, o ile dobrze pamiętam.

- Kiedy widziałeś się z nim po raz ostatni?

- Niech sobie przypomnę... chyba w ubiegły poniedziałek wieczorem. Wpadłem tam, żeby dać mu pieniądze.

- Edwin, skoro zapłaciłeś mu w poniedziałek, dlaczego musiałeś mu płacić znowu w sobotę w nocy? I dlaczego pojechałeś do niego do motelu? Przed chwilą powiedziałeś, że spotykałeś się z nim tylko w barze.

- Na rany Chrystusa, Alex, po co to przesłuchanie? Jeszcze nie wstałem z łóżka. Pojechałem spotkać się z nim w sobotę, bo znów przegrałem, okej? Przegrałem zakład na czwartkową noc. Colorado miało właśnie zdobyć punkty, fantastyczna sytuacja, a wtedy ten idiota spaprał przechwycenie.

- Oszczędź sobie, Edwin.

- Tak, wiem. Lepiej nie zaczynaj ze mną tego tematu.

- Ale dlaczego pojechałeś do niego do motelu?

- Alex, zadzwonił do mnie w sobotę. Do domu. Powiedział, że chce pieniądze, i to zaraz. Wyjaśniłem, że muszę być na przyjęciu i nie uda mi się wyrwać. A on na to, żebym przyjechał do motelu po przyjęciu albo nigdy więcej nie przyjmie moich zakładów. Co mogłem zrobić?

- Zaraz, zaraz, chyba mówiłeś, że stawiałeś za każdym razem pięćset albo tysiąc. A z tego wynika, że straciłeś pięć tysięcy na jednym zakładzie.

- Wiercisz mi dziurę w brzuchu, Alex.

- Przykro mi, Edwin. Nic na to nie poradzę.

- A w ogóle, o co ci chodzi? Czemu zadajesz mi te wszystkie pytania? Jesteś gorszy niż Maven.

- Nie martw się nim. Będę się z nim dzisiaj widział i powiem o tobie dobre słowo - obiecałem.

- O Boże. Chce się z tobą zobaczyć?

- Tak, i chyba nie zaprosi mnie na bal.

W tle usłyszałem głos Sylvii, pożegnałem się więc i rozłączyłem. Budziłem się każdego ranka z myślą, że wciąż coś do niej czuję. Nie chciałem wyobrazić sobie, jak leży obok niego. Albo stoi przy łóżku i się ubiera.

Wziąłem się w garść i wyszedłem. W czasie jazdy znowu zacząłem wspominać nocną rozmowę. Nieznajomy powiedział, że widział Edwina i bukmachera w barze. Może więc warto zajrzeć do Tawerny Marynarza i sprawdzić, czy ktoś nie zauważył czegoś podejrzanego. Mało prawdopodobne, ale nigdy nie wiadomo. Poza tym, co powinienem teraz zrobić? Powiadomić o tym policję? Nie mogłem sobie wyobrazić, jak opowiadam całą tę historię Mavenowi, tak jednak nakazywała logika.

Najpierw jednak miałem inną głupią sprawę do załatwienia. Skręciłem do miasteczka Rosedale i zajęchałem na parking. Przewrócona przyczepa wciąż tam leżała. Parę tamtejszych kobiet stało na drodze z parującymi kubkami w dłoniach. Patrzyły na przyczepę, a kiedy przejeżdżałem obok, spojrzały na mnie. Najpierw przewraca się przyczepa, a teraz przejeżdża obcy facet. To miejsce schodzi na psy.

Kobieta, z którą rozmawiałem, mieszkała kawałek dalej. Zatrzymałem się na niewielkim podjeździe, wysiadłem z półciężarówki i pomachałem plotkującym przy drodze. Odwróciły głowy. Zastukałem do drzwi. Nic. Zastukałem jeszcze raz, mocniej.

- Kto tam? - Z wnętrza przyczepy dobiegł męski głos.

- Nazywam się Alex McNight. Jestem prywatnym detektywem.

- Czego chcesz?

- Pracuję dla Lane'a Uttleya. Byłem tu w sobotę. Rozmawiałem z pańską żoną.

- Czemu się jej naprzykrzasz?

- Po prostu zadałem jej parę pytań, chciałem dowiedzieć się czegoś o wypadku przyczepy. Zechce pan łaskawie otworzyć drzwi i porozmawiać ze mną?

W drzwiach było małe, prostokątne okienko. Mężczyzna zerkał przez nie na mnie, a potem zniknął. Słyszałem, jak żona wrzeszczy na niego, a potem on wrzeszczy na nią. To na pewno nie on dzwonił do mnie w nocy. Tak jak powiedziałem Uttleyowi, był nieszkodliwym głupkiem, zgrywającym nadmiernie opiekuńczego męża. Miałem właśnie zastukać znowu do drzwi, gdy nagle się otworzyły.

Facet trzymał strzelbę. Wycelował ją prosto w moją pierś.

- Spierdalaj stąd zaraz albo cię podziurawię.

To wróciło. Równie silnie jak poprzedniej nocy, kiedy stałem w motelowym pokoju. Tamten dzień w Detroit. Wycelowany we mnie pistolet. Zastrzeli nas, najpierw Franklina, potem mnie.

Robię krok do tyłu i padam. Schody. Lecę w dół. Leżę na ziemi. Wstawaj i zwiewaj stąd. Nie mogę się ruszyć. Czuję się tak, jakbym tkwił po szyję w mokrym cemencie.

Franklin obok mnie na podłodze. Umiera. Morze krwi.

- Wynoś się! - krzyczy mężczyzna. - Jeżeli znowu się tu pokażesz i będziesz zawracał głowę mojej żonie, zabiję cię. Masz to jak w banku!

Wsiąść do samochodu. Podniosłem się, przypomniałem sobie, jak się chodzi. Wsiąść do samochodu. Szarpałem się z drzwiami, w końcu je otworzyłem. Kluczyki, gdzie są kluczyki?! Przecież trzymam je w ręku. Który kluczyk jest do stacyjki? Próbuję jeden, drugi.

Wreszcie wsuwam właściwy, uruchamiam silnik. Wrzucam wsteczny, naciskam mocno pedał i prawie zderzam się z przyczepą po drugiej stronie ulicy. Staram się przestawić skrzynię biegów na jazdę, ale silnik tylko wyje. Jest na luzie. Nie mogę oddychać. Włącz na jazdę. Dlaczego nie mogę oddychać? Kobiety na drodze pierzchają jak gołębie, kiedy wreszcie udaje mi się wrzucić bieg i przemknąć obok nich.

Odjechałem kilka kilometrów i zatrzymałem półciężarówkę na poboczu. Siedziałem, ściskając obydwoma dłońmi kierownicę. Co się z tobą dzieje, na litość boską? Uspokój się. Po prostu się uspokój. Udało mi się zrobić jeden głęboki wdech, a potem drugi.

Tylko spokojnie. Już wszystko w porządku. Ten dupek po prostu chciał cię przestraszyć. I wybrał na to cholernie dobry dzień. Na chwilę straciłeś głowę. Po ostatnim weekendzie to zrozumiałe.

A poza tym, po raz pierwszy od tamtego dnia w Detroit, ktoś mierzył do ciebie z broni.

Pamiętam, jak siedziałem w gabinecie psychiatry. Po strzelaninie wydział polecił mi się z nim spotkać. Uważałem, że to strata czasu. Nie bardzo słuchałem tego, co mówił, ale zapamiętałem jedno zdanie. Powiedział, że zawsze będę miał w głowie ten bardzo czuły włącznik. Jakiś drobiazg - i znowu będę leżał w tamtym pokoju z

tkwiącymi we mnie trzema kulami. Na przykład przypominający wystrzał głośny huk lub choćby źle działający gaźnik samochodu. A może jakiś zapach.

Albo widok krwi.

Tawerna Marynarza wyglądała dokładnie tak, jak można było się spodziewać. Z sufitu zwisały sieci z muszlami i rozgwiazdami, w belce tkwił stary harpun wielorybnika. Znajdowała się na Water Street, obok Locks Park. W lecie można tu było siedzieć i przez wielkie okna w północnej ścianie przyglądać się, jak co godzina jeden lub dwa frachtowce przechodzą przez śluzę i w zależności od kierunku, w którym płyną, są podnoszone lub opuszczane o siedem metrów. Teraz, w listopadzie, sezon żeglugowy właściwie się skończył.

Zamierzałem tylko zajrzeć tam i zamienić kilka słów z barmanem, ale ostatecznie usiadłem na chwilę przy stoliku, jako jedyny klient, i patrzyłem przez okno na St. Mary's River i kanadyjskie Soo po drugiej stronie rzeki. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni piłem drinka przed południem, ale miałem wrażenie, że teraz go potrzebuję.

Wzniosłem toast na swoją cześć. Za moją wspaniałą decyzję, by zostać prywatnym detektywem.

Pewnej nocy ubiegłego lata Lane Uttley znalazł mnie w Glasgow Inn. Wyjaśnił mi, że Edwin jest jednym z jego klientów i opowiedział mu o mnie - że byłem gliniarzem w Detroit, a nawet że zostałem postrzelony.

- Facet, który zalicza trzy kulki, musi być twardym sukinsynem - stwierdził. - Edwin mówił mi, że jedna wciąż tkwi panu w piersi. Czy kiedyś uruchomił pan wykrywacz metalu na lotnisku?

- Zdarzało się.

- I jak reagują, kiedy wyjaśnia im pan, że to kula?

- Zazwyczaj mruczą: „Uaa”.

- Ha. Wyobrażam to sobie. W każdym razie, panie McKnight, nie chcę marnować pańskiego czasu. Jestem tu dlatego, że mam poważny problem i zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc go rozwiązać. Widzi pan, pracuje dla mnie prywatny detektyw Leon Prudell. Zna go pan?

- Chyba gdzieś go już widziałem.

- Aha. No cóż, może nie będę zbyt fair, ale muszę stwierdzić, że współpraca z panem Prudellem się nie sprawdza. Chyba orientuje się pan, czym rzeczywiście zajmuje się prywatny detektyw?

- Według mnie, przede wszystkim zbieraniem informacji: rozmowy, obserwacja.

- No właśnie. Jak pewnie pan się domyśla, to bardzo ważne, aby mieć kogoś inteligentnego i godnego zaufania. Czasem zajmuję się obroną w sprawach karnych. Mam też kilku stałych klientów, takich jak Edwin; prowadzę ich sprawy spadkowe, majątkowe i temu podobne. Ale przeważnie rozpracowuję zaniedbania, wypadki, błędy w sztuce... Dlatego naprawdę potrzebuję odpowiedniego człowieka do zbierania informacji.

- A co to ma wspólnego ze mną? - zapytałem. - Nie jestem prywatnym detektywem.

- Ale może pan nim zostać. Nigdy pan o tym nie myślał?

- Raczej nie.

- W tym stanie przepisy dotyczące prywatnych detektywów są dość liberalne. Trzeba mieć tylko trzyletni staż pracy jako funkcjonariusz policji i pięć tysięcy dolarów kaucji. Był pan policjantem osiem lat, prawda? Nieskazitelną opinią?

- Pan mnie pyta czy już mnie pan sprawdził?

- Proszę mi wybaczyć. Wspominałem, że cenię sobie rzetelną informację.

- Cóż, zastanowię się nad pańską propozycją. W każdym razie dziękuję.

- Oczywiście, musi pan to sobie przemyśleć. Jestem gotów dać wyraz temu, jak wysoko cenię sobie pański czas.

- W porządku. Zastanowię się.

Wrócił dwa wieczory później, tym razem z jednym z meldunków Prudella.

- Chciałbym, żeby pan to przeczytał - oświadczył. - Właśnie z czymś takim mam do czynienia każdego dnia.

Wysłał Prudella do ośrodka na Drummond Island po dokumentację przypadków niedbałości ratowników wodnych, potrzebną do pozwu w sprawie utonięcia. Raport? Same nieistotne uwagi, fatalna gramatyka i ortografia.

- Niech pan posłucha, Alex: „Dwunasta piętnaście. Osobnicy z powrotem na służbie po zjedzeniu lunchu pod drzewem średniej wielkości. Osobnicy stali się zdenerwowani po zaobserwowaniu mojego robienia zdjęć aparatem”. Zakładam, że

kiedy pisze „osobnicy”, ma na myśli ratowników. Dlaczego nie po prostu ratownicy? Alex, ten facet mnie dobija.

- A dlaczego uważa pan, że ja będę lepiej pracował? - spytałem.

- Alex, daj pan spokój. Niech mi pan nie każe błagać.

- Sam nie wiem, panie Uttley.

- Alex, pracuje pan, kiedy chce, i podaje swoją cenę. Nawet sam wpłacę za pana kaucję stanową. To propozycja nie do odrzucenia.

Prawdę mówiąc, myślałem o tym. Jako gliniarz zawsze byłem dobry w kontaktach z ludźmi, potrafiłem sprawić, że czuli się swobodnie i uważali, że mogą ze mną szczerze rozmawiać. Zapewne więc byłbym niezłym prywatnym detektywem. A poza tym, nie odpowiadało mi, że wypłacają mi trzy czwarte poborów jako rentę inwalidzką, a ja nie mam właściwie nic do roboty poza rąbaniem drewna i sprzątaniami po myśliwych.

- Tylko jeden warunek: żadnych spraw rozwodowych - oznajmiłem. - Nie zamierzam śledzić jakiegoś faceta i czekać, aż będę mógł zrobić mu zdjęcie z portkami wokół kostek.

- Zgoda. Nie prowadziłem sprawy rozwodowej od dziesięciu lat.

Miesiąc później miałem licencję. Najwyraźniej znał kogoś w Lansing, więc szybko przepchnął dokumenty. Pewnego dnia pod koniec sierpnia, wkrótce po tym jak otrzymałem licencję, dał mi kartkę z wypisanym na niej nazwiskiem i adresem.

- Kto to taki? - zapytałem.

- Diler w Soo. Zamówiłem u niego broń dla ciebie. Oczywiście musisz sam ją odebrać. Wypełnić papierki. Znasz paru ludzi w zarządzie hrabstwa, no nie? Musisz też wziąć pozwolenie.

- Chwileczkę. O jakiej broni mówimy?

- Służbowy rewolwer trzydziestkaósemka. Taki, jakiego używałeś, kiedy byłeś policjantem, prawda?

- Tak. Ale jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wołałbym nie nosić go znowu.

- Żaden problem. Po prostu trzymaj go w domu. Nigdy nic nie wiadomo.

Długo zastanawiałem się, dlaczego zamówił ten rewolwer. A potem mnie olśniło: chyba po prostu podobał mu się pomysł, że będę miał broń. Mogłem go sobie wyobrazić, jak siedzi przy biurku, naprzeciwko klienta, i mówi: „Tak jest, proszę pana. Teraz pracuje dla mnie supergość. Oczywiście, nosi spluwę. Żyjemy w brutalnym

świecie. Mój człowiek zarobił kiedyś trzy kule i wciąż jedna z nich tkwi w jego piersi. Właśnie kogoś takiego potrzebujemy.

Kiedy wreszcie odebrałem rewolwer, zawiozłem go do domu i schowałem głęboko w szafie. Od tej pory nawet go nie dotknąłem.

Barman nic mi nie pomógł. Zapytałem, czy był tu w ubiegły poniedziałek. Długo zastanawiał się nad odpowiedzią, stwierdziłem więc, że nie przypomni sobie, czy tamtego wieczoru były tu jakieś podejrzane osoby. Zapłaciłem mu i poszedłem do biura Uttleya, tuż koło sądu, za rogiem, między bankiem a sklepem z upominkami. Dzięki kasynom całe śródmieście znowu pachniało forszą. Uttleyowi dobrze się powodziło, podobnie jak wielu innym miejscowym biznesmenom. Co dziwne, najpierw Indianie Chippewa brali kasę, a pieniądze później przepływały dalej. Znałem tu mnóstwo ludzi, którzy musieli bardzo się natrudzić, by się z tym uporać.

Gdy wszedłem, Uttley rozmawiał przez telefon. Pomachał mi i gestem zaprosił, żebym usiadł w wielkim, wyściełanym fotelu dla gości. Gabinet był dokładnie w stylu Uttleya: biurko, na którym mógłby wylądować samolot, obrazy w ramach przedstawiające ogary i jeźdźców szykujących się do polowania na lisa, dziesięć albo i więcej egzotycznych roślin doniczkowych, które zawsze opryskiwał wodą z maleńkiego rozpylacza. „Jerry, ten numer nie wyjdzie i dobrze o tym wiesz - mówił do telefonu. - Musisz solidnie nad tym popracować, dopiero potem pogadamy”. Zakrywając mikrofon dłonią, pokręcił teatralnie głową i uniósł wysoko brwi.

- Już kończę - szepnął.

Wziąłem leżącą na biurku piłkę do bejsbola i przeczytałem kilka autografów. Odruchowo obróciłem ją w palcach do chwytu „na cztery szwy”, przygotowując się do rzutu na drugą bazę.

- Okej. - Odłożył słuchawkę i zatarł dłonie. - Jak ci leci?

- Nie narzekam - odparłem.

- Niewiele by ci dało narzekanie, co?

- Tej nocy miałem ciekawy telefon.

Zdałem mu relację, a on gapił się na mnie z otwartymi ustami.

- Powiedziałeś o tym szefowi Mavenowi? - zapytał.

- Jeszcze się z nim nie widziałem. Postanowiłem najpierw wpaść do baru i sprawdzić, czy barman zapamiętał coś z poniedziałkowej nocy.

- Pewnie nie zapamiętał.

- No nie.

- Cóż. Nie wiem, co powiedzieć. Iść z tobą na posterunek?

- Nie musisz. Zaraz zajrzę do Mavena.

- On zachowuje się czasem... jak choleryk.

- Właściwe określenie.

- Och, a przy okazji, czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę?

- Jaką?

- Pani Fulton bardzo by chciała porozmawiać z tobą. Najszybciej jak to możliwe.

Udało mi się ukryć zdziwienie.

- Sylvia Fulton chce się ze mną widzieć?

- Nie, nie. Theodora Fulton, matka Edwina. Przyjechała wczoraj z Grosse Pointe. Zostanie u nich kilka dni.

- Dlaczego chce się ze mną zobaczyć?

- Martwi się o syna. Uważa, że potrafisz mu pomóc.

- Czego konkretnie ode mnie oczekuje?

- Pani Fulton to wspaniała, wiekowa dama, Alex. Może trochę ekscentryczna. No cóż, tylko bogaci ludzie są ekscentryczni, a wszyscy inni? Po prostu szajbnięci.

- Zauważyłem.

- W każdym razie jest bardzo opiekuńcza w stosunku do swojego syna. Przyjechała natychmiast, jak tylko dowiedziała się, co się stało. Chyba uważa, że Edwinowi coś może grozić.

- W takim razie nie powinienem jej mówić o naszym przyjacielu-zabójcy, co?

- Znajdę sposób, aby pominąć to w naszej rozmowie - obiecał. - Alex, muszę cię ostrzec. To bardzo wrażliwa osoba. Łatwo ulega emocjom. Zupełnie inaczej patrzy na świat niż my. Chce porozmawiać z tobą o swoim śnie.

- Jakim śnie?

- Śniło się jej to, co zdarzyło się w sobotnią noc. Bardzo się tym przejęła, Alex. Uważa, że Edwin jest następny na liście.

- Poważnie?

- Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Wiem tylko tyle, że kiedy staliśmy na tamtym parkingu, matka Edwina była w Grosse Pointe, czterysta kilometrów stąd. I to się jej przyśniło. Widziała to, Alex. Nie wie, kto to zrobił, ale widziała miejsce zbrodni.

- Co? Chcesz powiedzieć, że...

- Krew, Alex. Mówi, że widziała w swoim śnie krew.

Rozdział 5

NIE BYŁ TO NAJLEPSZY DZIEŃ NA SPACER NAD RZEKĄ, ale wolałem to niż spotkanie z Mavenem. Poszedłem alejką przez Locks Park, patrząc na pustą, zimną wodę. Żaden frachtowiec nie płynął w stronę śluz. Żadnych małych łódek. Żadnego znaku życia.

Alejką skręcała na wschód, prosto do wyjścia z parku i trawnika przed gmachem sądu. Stały na nim dwa posągi: wielkiego żurawia z legend Ojibwa, który wylądował nad rzeką i przyniósł tu Indian, i wilczycy, karmiącej Romulusa i Remusa. Jeżeli miała jakiś związek z miastem Sault Ste. Marie, ja nic o tym nie wiedziałem.

Budynek magistratu znajdował się bezpośrednio za sądem - brzydki, zwykły, wielki sześcian z cegły szarej jak listopadowe niebo. Swoją siedzibę miały w nim policja Soo i Biuro Szeryfa Hrabstwa, mieścił się tam też areszt z małym spacerownikiem dla więźniów. Ot, klatka o boku długości mniej więcej sześciu metrów, ze stołem piknikowym pośrodku, ogrodzona jeszcze jednym płotem z rozpiętym nad nim ostrym drutem.

Najpierw zatrzymałem się w biurze szeryfa i przywitałem się z jego zastępcą.

- Jest Bill? - spytałem.

- Nie, pojechał na jezioro Caribou. Coś mu przekazać?

- Nie, tak tylko zapytałem. Prawdę mówiąc, przyszedłem pogadać z Mavenem.

- To tam - odparł zastępca, wskazując korytarz.

- Wiem gdzie. Po prostu gram na zwłokę.

- Nie dziwię się. - Kiedy odszedłem, widziałem, że się uśmiecha i kręci głową.

Zgłosiłem się do recepcji magistratu i czekałem kilka minut: urzędniczka rozmawiała z nim przez telefon. Potem wstała i powiedziała, że mnie zaprowadzi. Jej mina wyraźnie świadczyła o tym, że nie chce, abym uznał, iż jest odpowiedzialna za to, co się za chwilę stanie.

Labiryntem korytarzy dotarliśmy w samo serce budynku - tu nigdy nie docierało światło słońca. Słyszeć było jedynie monotonne brzęczenie jarzeniówek. Wpuściła mnie do małej poczekalni z twardymi, plastikowymi krzesłami. Siedział w niej mężczyzna, przykuty kajdankami do klamry wmurowanej w betonową ścianę.

Wpatrywał się w podłogę. Usiadłem naprzeciwko niego. Na stole - ani popielniczki, ani czasopism.

- Masz pan papierosa? - zapytał.

- Niestety nie.

Znowu wbił wzrok w podłogę i więcej się nie odezwał.

Siedziałem tam i wydawało mi się, że mijają dni, tygodnie i miesiące i że jeżeli w ogóle stąd kiedyś wyjdę, na pewno będzie już wiosna. W końcu drzwi się otworzyły i szef policji Roy Maven gestem zaprosił mnie do środka. Cztery betonowe ściany gabinetu, i ani jednego okna.

- Miło, że pan wpadł, panie McKnight - powiedział, wskazując mi krzesło przed biurkiem. - Bardzo chciałem z panem porozmawiać.

- Domyślam się, bo natychmiast zaprosił mnie pan do gabinetu.

Puścił tę uwagę mimo uszu, wziął tekturową teczkę i włożył stare okulary do czytania - zupełnie nie pasowały do twarzy twardziela. Grzebał w teczce, aż w końcu znalazł to, czego szukał.

- Zobaczmy, co tu mamy - zaczął. - Alexander McKnight, urodzony w 1950 w Detroit. W 1969 ukończył Liceum imienia Henry'ego Forda w Dearborn. Podobno grał pan dwa lata w bejsbolowej Minor League. - Popatrzył na mnie. - I nie umiał trafić podkręcanej piłki. W dokumentach tego nie ma. Ale tak mi się wydaje.

- Wygląda na to, że dysponuje pan moimi dość kompletnymi aktami.

- To tylko pański wniosek o licencję prywatnego detektywa. Znajduje się w ogólnie dostępnych archiwach. - Wrócił do lektury. - Przez parę lat wykonywał kilka interesujących zawodów. Malarz pokojowy. Barman. Potem uczęszczał do college'u w Dearborn, gdzie studiował prawo karne. W 1975 wstąpił do policji w Detroit. Pełnił obowiązki przez osiem lat. Dwie pochwały za wzorową pracę. Nieźle. W 1984 ranny w czasie służby. Wkrótce przeszedł w stan spoczynku z powodu inwalidztwa. Trzy czwarte uposażenia do końca życia, nieźle, prawda? Oczywiście, to bardziej niż sprawiedliwe, jeżeli człowiek staje się kaleką. - Spojrzał na mnie znad okularów. - A w pańskim przypadku, co to za inwalidztwo?...

Patrzyłem na niego długą chwilę.

- Dostałem trzy kule.

Pokręcił głową.

- Cholerna sprawa. - Przypatrywał mi się, czekając, abym opowiedział mu całą historię. Nie zrobiłem tego, więc znowu zajął się dokumentami. - Przeprowadził się do

Raju. Kiedy? Aha, widzę, przeniósł się w te okolice w osiemdziesiątym piątym. Od tej pory mieszka tutaj. Ciekawe, ludzie, kiedy zostają inwalidami, na ogół przeprowadzają się na Florydę lub do Arizony, w sympatyczne, ciepłe miejsca. A pan wybrał północ.

Nic nie odpowiedziałem.

- Pańska decyzja - stwierdził. - W każdym razie popatrzmy: wypełnił pan formularz w lipcu, dostał licencję w sierpniu. Wygląda na to, że ktoś szybko przepchnął sprawę. Musi pan mieć wysoko postawionych przyjaciół.

Pozostawiłem to bez komentarza. Po prostu siedziałem i mu się przyglądałem. Powróciły wspomnienia. Dobra, stara policyjna arogancja, dobrze ją znam. Sam od czasu do czasu tak się zachowywałem. Przychodziło mi to łatwo. Kłopot w tym, że pod koniec służby coraz trudniej było się jej wyzbyć. A z czymś takim nie chcesz wracać do domu. Zapytajcie moją byłą żonę.

- No dobrze, panie McKnight - oznajmił, zdejmując okulary. - Widzę, że jest pan właściwie nowicjuszem w zawodzie prywatnego detektywa, więc chciałbym zdradzić panu parę tajemnic zawodowych. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Słucham.

- Świetnie. Otóż kiedy prywatny detektyw działa na terenie podlegającym jurysdykcji właściwej jednostki policji, zwykła uprzejmość nakazuje stawić się na posterunku policji i powiadomić, kim jest i co robi. Oczywiście, nie oznacza to, że przywiązuje znaczenie do takich formalności. Nic podobnego. Ale gdzieś, kiedyś trafi pan na takiego szefa policji, któremu bardzo się nie spodoba, że pracuje pan w jego mieście i nawet mu się nie przedstawił.

- Rozumiem.

- Po drugie, a to jeszcze ważniejsze, sugerowałbym coś takiego: kiedy następnym razem Edwin Fulton zadzwoni do pana w środku nocy i poprosi, aby przyjechał pan na miejsce poważnego przestępstwa, niech pan poświęci chwilę na ponowne skontaktowanie się z nim i upewnienie się, czy wezwał policję. Prawdę mówiąc, raczej zakładałbym, że nie. To do niego niepodobne. Ale pan, jako były policjant, który oczywiście wie, jak ważne jest, by funkcjonariusz przybył na miejsce przed przyjaciółmi i sąsiadami, sam powinien podjąć taką decyzję i zadzwonić. Dam więc panu mój domowy telefon, a kiedy pan Fulton zechce, aby przyjechał pan popatrzeć na denata, będzie pan mógł zadzwonić do mnie bezpośrednio, w dzień lub w nocy.

Siedzieliśmy, mierząc się wzrokiem.

- Nie chciałem niepokoić pana w domu - odezwałem się w końcu. -
Następnym razem po prostu zadzwonię na posterunek.

- Świetnie. - Wziął z biurka egzemplarz „Sault Star”, codziennej gazety wychodzącej w kanadyjskim Soo. - Widział to pan? Znaleźliśmy się na pierwszej stronie w Kanadzie.

- Jeszcze nie czytałem.

- „Miejscowy bukmacher zamordowany w pokoju motelowym w Soo, w stanie Michigan”. To nagłówek dla pana. Proszę zwrócić uwagę, jak dobitnie podkreślili, że zdarzyło się to po tej stronie rzeki. Wie pan, że oczyszczenie tego pokoju zajęło moim dwóm ludziom aż pięć godzin? Usuwał pan kiedyś tyle krwi?

- No nie.

- Kiedy obejrzeliliśmy dokładnie pokój i wywieźliśmy ciało, niemal cała krew zakrzepła. Oczywiście, gdy tylko poleje się ją wodą, znowu staje się płynna i się rozlewa. Gdy usiłuje się ją wytrzeć, jest jak farba i w rezultacie maluje się cały pokój na czerwono. Jeden z moich funkcjonariuszy co chwila stamtąd wybiegał, bo zbierało mu się na wymioty. Mam wrażenie, że właśnie przewartościowuje swoje plany zawodowe.

Ja też walczyłem z żołądkiem, który podchodził mi do gardła.

- W każdym razie, tak to wygląda. Rozmawiałem już z panem Fultonem. I zastanawiam się, czy mógłby mieć pan dla mnie jeszcze jakieś informacje. Znał pan denata?

- Nie.

- Nigdy go pan nie spotkał? Nigdy nie robił pan u niego zakładów?

- Nie gram.

- Czy przed tym, co się stało, słyszał pan, by pan Fulton kiedykolwiek o nim mówił?

- Wiedziałem, że umieszcza gdzieś swoje zakłady, ale nigdy nie wymienił nikogo z nazwiska.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni, zanim zadzwonił do pana w sobotnią noc?

- Widziałem go krótko w Glasgow Inn. Zajrzał tam razem z żoną. A potem przyszedł tam już sam.

- Jak się wtedy zachowywał? Powiedział coś niezwykłego?

- Nie rozmawialiśmy.

- Nie rozmawiał pan z nim? On twierdzi, że jesteście panowie dobrymi przyjaciółmi.

- Grałem w pokera.

- Przecież mówił pan, że pan nie gra.

- To nie jest granie. To tylko dwudziestopięcio- i dziesięciocentówki.

Kiwnął głową.

- No dobrze. - Zamknął moją teczkę i włożył ją do szuflady. - To na razie wszystko.

Chciałem natychmiast wyjść. Do diabła z tym facetem, nie miałem ochoty mówić mu o telefonie. Ale wiedziałem, że jeżeli to przemilczę, ta sprawa nie da mi spokoju.

- Prawdę mówiąc, szefie Maven, tak tu miło u pana, że chyba jeszcze pana nie opuszczę.

Z jego twarzy na ułamek sekundy zniknął uśmiezek twardziela.

- Wypiłbym filiżankę kawy z jedną kostką cukru - oświadczyłem. - A potem opowiem panu o mojej rozmowie ubiegłej nocy z mordercą.

Warto było to zrobić choćby po to, żeby zobaczyć jak przez chwilę wypada z roli twardziela. Zrelacjonowałem mu rozmowę telefoniczną, a on zapisał każde słowo. Ale kawy nie dostałem.

Zjadłem szybki lunch w Glasgow Inn i zasiadłem do lektury gazety. Na pierwszej stronie umieszczono zdjęcie motelu. Widać było policyjne taśmy i kilku funkcjonariuszy niosących coś, co wyglądało jak wielki worek z praniem. Jestem pewien, że pan Bing sporo ważył, nawet bez sześciu, siedmiu litrów krwi, które stracił.

Kilka akapitów poświęcono Edwinowi, „spadkobiercy fortuny Fultonów” - on pierwszy znalazł się na miejscu zbrodni. O mnie nie wspomniano.

Kiedy już wszystko przeczytałem, wybrałem się do Fultonów. To niedaleko Raju - trzeba jechać prosto Sheeheard Road, minąć Muzeum Wraków i dotrzeć do starej latarni morskiej na Whitefish Point. Skrzyłem na drogę prowadzącą wzdłuż wybrzeża na zachód i dojechałem do wielkiej posiadłości Fultonów.

Jakiś kilometr od domu zobaczyłem, że ktoś idzie drogą. Gdy zorientowałem się, kto to, miałem ochotę zawrócić i prysnąć. A jednak podjechałem do niej i otworzyłem okno.

- Ładny dzień na spacer - zagadnąłem. Sylvia szła, nie patrząc na mnie.

- Jeżeli ktoś lubi szarugę i zimno - odpowiedziała.

- Przyjechałem, żeby zobaczyć się z twoją teściową.

- Miło z twojej strony.

- Edwin jest w domu?

- Nie, w biurze.

- A co tam robi? - zdziwiłem się. - Po co mu w ogóle biuro?

- Liczy swoje pieniądze - odparła. - Dzwoni i gada przez telefon.

- Nie może z domu?

Wreszcie popatrzyła na mnie. Jej zielone oczy przeszły mnie na wylot.

- Woli spędzać czas poza domem - powiedziała.

- Nie rozumiem tego.

- Czego? - zapytała. Zatrzymałem samochód, a ona odwróciła się do mnie i oparła przedramionami o drzwi. - Czego nie rozumiesz?

- Sam nie wiem. Może tego, że nie spędza więcej czasu z tobą.

Pokręciła głową i spojrzała w niebo.

- Musisz być cholernie odważny, skoro poruszasz ten temat.

- Sylvio, czy tak to ma być? Już zawsze będziesz się tak zachowywać?

- Owszem, Alex. - Cofnęła się. - Lepiej więc do tego przywyknij.

- Chyba domyślam się, o co ci chodzi.

- Naprawdę? Coś podobnego.

- Po raz pierwszy w życiu nie dostałaś czegoś, czego chciałaś. W tym cały problem. Po prostu nienawidzisz samej myśli o tym, że to ja z tobą zerwałem.

- Alex, tylko dwóch rzeczy na tym świecie nienawidzę: że mieszkam na tym zapomnianym przez Boga i ludzi urwisku i że byłam tak głupia, by się z tobą związać. Tylko popatrz na siebie. Popatrz na to... coś, czym jeździsz.

- Sylvio, nie.

- Wyglądasz jak drwal czy ktoś taki.

- Ostrzegam cię.

- Nie, nawet nie drwal. Drwal to ktoś, kto ścina drzewa, prawda? Do tego trzeba trochę ikry. A ty wyglądasz... Wyglądasz jak facet, który dostarcza drewno na opał i układa je pod domem. Właśnie tak.

- Do widzenia, Sylvio. Jak zawsze miło się z tobą gawędziło. - Gdy odjeżdżałem, widziałem we wstecznym lusterku, jak jej postać staje się coraz mniejsza.

Do domu Fultonów dotarłem szybko. Zbudował go dziadek Edwina jeszcze w latach dwudziestych, i potem kilkakrotnie przerabiał go jego ojciec. Fultonowie od dawna zarabiali wielkie pieniądze; inwestowali w przemysł motoryzacyjny. Zapuscili korzenie w Grosse Point, eleganckim przedmieściu nad rzeką Detroit, a na Upper Peninsula mieli jedynie domek letniskowy. Ale w wydaniu Fultonów „domek” był liczącą czterysta sześćdziesiąt pięć metrów kwadratowych fortecą ze szkła, kamienia i potężnych drewnianych bali wyciętych w pobliskim lesie. Teraz Edwin mieszkał tu przez cały rok. Nie potrafiłem nawet sobie wyobrazić, ile pieniędzy musiał wydawać na odśnieżanie drogi zimą.

Theodora Fulton była sama w domu. Odniosłem wrażenie, że ucieszyła się na mój widok, kiedy wreszcie udało jej się otworzyć potężne, dębowe drzwi.

- Jak sądzę, pan McKnight.

- Tak, proszę pani. Miło mi panią poznać.

Wiedziałem, że ma dobrze po sześćdziesiątce, ale jej oczy patrzyły bystro i uścisnęła mi rękę zaskakująco mocno. Chociaż włosy upięła w kok, zauważyłem, że mniej w nich siwizny niż w moich.

Zaprosiła mnie do środka.

- Mogę zaproponować panu kawę? Właśnie zaparzyłam.

- Napiję się bardzo chętnie, proszę pani. Z przyjemnością. Zaprowadziła mnie do głównego salonu. Sufit był na wysokości dobrych siedmiu metrów, uwagę zwracały nieobrobione, masywne, okrągłe bale. Okna wychodziły na jezioro Górne. Imponujący widok.

- Był pan już w tym domu? - zapytała. - Urokliwy, prawda?

Rzeczywiście urokliwy. Gdybym oszczędził każdego zarobionego centa i przez jakieś dziesięć lat tyrał, mógłbym zbudować chatę mniej więcej w jednej trzeciej tak urokliwą jak ten dom.

- Raz czy dwa - odparłem.

- Niech się pan czuje jak u siebie. Przyniosę filiżankę.

Usiadłem na jednej z trzech sof kiedy wyszła w salonu, zapadła cisza. Zakłócały ją tylko tykanie zegara i szum wiatru znad jeziora. Pani Fulton po chwili wróciła.

- Proszę bardzo - powiedziała.

Wziąłem filiżankę z tacy i wrzuciłem małymi, srebrnymi szczypczykami kostkę cukru.

- Dziękuję pani.

- Proszę mówić mi Theodora. Albo Teddy. Moi przyjaciele nazywają mnie Teddy.

- A można pani Fulton?

- Jak pan sobie życzy. - Włożyła okulary. Nie mogłem nie zauważyć, że wyglądają dokładnie tak, jak okulary do czytania szefa policji Mavena. - Jest pan wspaniale zbudowany, panie McKnight. I ma pan też miłą twarz.

- Dziękuję.

- Edwin mówi o panu w samych superlatywach. Czy to prawda, że kula utkwiała panu koło serca?

- Tak, proszę pani. - Zastanawiałem się, czy w stanie Michigan ktoś jeszcze o tym nie wiedział.

- Wie pan, że Andrew Jackson przez cały czas swojej prezydentury także miał kulę koło serca?

- Nie, nie wiedziałem.

- Pojedykował się. Tamten człowiek trafił go w pierś, ale Jackson się nie poddał. Spokojnie wycelował i zastrzelił przeciwnika. A pan co by zrobił, panie McKnight?

- Chodzi pani o to, co bym zrobił, gdybym się pojedykował?

- Tak, gdyby pan się pojedykował, przeciwnik postrzeliłby pana, pan by się nie poddał.

- Chyba musiałbym go zastrzelić. Gdybym miał do tego istotny powód. W przeciwnym razie bym się nie pojedykował.

- No właśnie. W każdym razie nigdy nie udało im się wyjąć kuli z piersi Jacksona. Musiał żyć z nią do końca swoich dni. Przysparzało mu to na pewno mnóstwo kłopotów. A czy panu kula sprawia kłopot?

- Nie. Właściwie nie.

- To dobrze.

- Pani Fulton, jak mógłbym pani pomóc? - zapytałem.

Wbiła wzrok w filiżankę.

- Przepraszam. Bardzo się starałam nie poruszać tego tematu. Zakładam, że pan Uttley powiedział panu o mojej rozmowie z nim?

- Napomknął o niej.

Kiwnęła głową.

- Cóż, na pewno zdaje pan sobie sprawę, że martwię się o mojego syna Edwina. Jego ojciec zmarł wiele lat temu, a on bardzo to przeżył. Nie miał nikogo, kogo mógłby podziwiać. Dlatego tak się cieszę, że jest pan jego przyjacielem, panie McKnight.

- Och, no nie wiem, pani Fulton. Prawdę mówiąc, ostatnio nie spędzałem z nim zbyt wiele czasu.

Nie tak jak z jego żoną.

- Mimo wszystko uważam, że teraz jest pan jego najlepszym przyjacielem.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. A to dobre, najlepszy przyjaciel!

- Panie McKnight. Nie jestem naiwna i znam... problemy mojego syna. Ciągnie go hazard. Jaki miałby inny powód, żeby mieszkać tu przez cały rok? Kiedyś myślałam, że chce się odciąć ode mnie. To typowa reakcja matki. Albo że zmęczyły go te wszystkie zobowiązania towarzyskie w mieście. Lub że po prostu bardziej lubi prymitywne życie w lasach, bez służby. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to niemądrze. Oczywiście wiedziałam, że trzymają go tu indiańskie kasyna. Gdyby je zamknęli, natychmiast by wyjechał. A przy okazji, chciałam pana o coś zapytać. Skoro kasyna są tu legalne, dlaczego obstawiał zakłady u bukmachera?

- W kasynach można grać tylko przy stolikach albo maszynach. Nie ma zakładów sportowych. Aby je obstawiać, trzeba korzystać z pomocy bukmachera.

- Teraz rozumiem. Widzi pan, już mam powód, by być zadowolona, że mnie pan odwiedził. Edwin nie chce ze mną rozmawiać o tych sprawach.

- Pan Uttley wspomniał o pani śnie...

- Ten sen... Opowiem panu o nim, ale niech pan nie pomyśli, że to jakiś absurd.

- Nie pomyślę.

- W sobotę wieczorem... - Patrząc przez okno, zaczęła wolno i spokojnie opowiadać. - Była to noc, kiedy Edwin znalazł tego człowieka, chociaż wówczas na pewno o tym nie wiedziałam. We śnie widziałam krew, mnóstwo krwi. Byłam przerażona, bo muszę panu wyznać, że nie znoszę widoku krwi, nawet jeżeli to moja własna krew, kiedy ukłuję się w palec w ogrodzie. We śnie było jej morze... więcej niż w ludzkim ciele. Unosiłam się nad nią, no wie pan, jak to we śnie. I nagle odleciałam i znalazłam się w lesie. Szłam drogą między drzewami. Nie, raczej obserwowałam, jak coś porusza się tą drogą. Widziałam jadący wolno samochód. Widziałam go bardzo wyraźnie. Toczył się gładko po drodze. Było ciemno, ale nie miał włączonych świateł. Kierowcy wystarczała chyba poświata księżyca. Próbowałam zajrzeć przez szybę, aby

zorientować się, kto prowadzi. Ale w ciemnościach nic nie widziałam. I nagle uświadomiłam sobie, że szłam już tą drogą. Ze wiedzie ona do tego domu. Przerwała i popatrzyła na mnie.

- Panie McKnight. Kiedy Edwin zadzwonił do mnie i powiedział, co się stało, błagałam go, żeby stąd wyjechał. Ale nie chciał. Powiedział, że chyba zwariowałam. Dlatego postąpiłam tak, jak postąpiłam. Inaczej nie mogłam. Przyjechałam tutaj sama. Mieści się to panu w głowie? Mój szofer miał dzień wolny, więc wzięłam samochód i przyjechałam sama. Nie prowadziłam od dziesięciu lat. Nawet nie mam już prawa jazdy. Ale wiedziałam, że muszę przyjechać tutaj i spróbować skłonić Edwina i Sylwię, by opuścili ten dom.

- A oni pewnie się nie zgodzili. - Mogłem zrozumieć, że Edwin chciał tu zostać, ale Sylvia? Bóg jeden wie, jak bardzo nienawidzi tego miejsca.

- Nie, nie uwierzyli mi. I nie powinnam mieć do nich o to pretensji. Ale zeszłej nocy...

- Zeszłej nocy? Co się wtedy stało?

- Zająłam jeden z pokoi gościnnych; niestety nie mogłam zasnąć. Łaziłam, wyglądałam przez okno. Pamiętam jak przez mgłę, że w końcu zdrzemnęłam się na sofie, ale zaraz się obudziłam. Wydawało mi się, że coś słyszę. Podeszłam do tylnych drzwi, skąd widać drogę. I nie wiem, ale chyba coś zobaczyłam. Samochód.

- Jaki samochód?

- Och, nie potrafię powiedzieć. Nawet nie jestem pewna, że tam był. Może widziałam go tylko w wyobraźni?

- Pani Fulton, o której się to zdarzyło?

- Tuż po drugiej w nocy.

Ten człowiek dzwonił do mnie o trzeciej, pomyślałem. I powiedział, że obserwował Edwina.

- Co pani zrobiła? Wezwała pani policję?

- Nie. Kiedy znów spojrzałam na drogę, samochód zniknął. To znaczy, jeżeli w ogóle tam był.

- Powiedziała pani o tym Edwinowi?

- Tak. Stwierdził, że jeżeli długo wpatrujemy się w ciemność, zaczynamy widzieć to, czego nie chcemy zobaczyć, bo się boimy.

- A pani oczekiwanie wobec mnie?

- Chcę, żeby pan tu dziś przenocował. I może nie tylko dziś.

- Pani Fulton...

- Błagam pana, panie McKnight. Zapłacę, ile pan zażąda.

- Pani Fulton, jestem pewien, że szeryf może przysłać tu na kilka nocy swojego człowieka...

- Nie. - Ton jej głosu się zmienił. Teraz mówiła jak ktoś przyzwyczajony do tego, by wszystko podporządkowywano jego woli, zwłaszcza wtedy, kiedy chce za to zapłacić. - Nic z tego. Szeryf nie wyśle tu człowieka na całą noc tylko dlatego, że starej kobiecie coś się przyśniło. Chcę tylko, żeby ktoś był tu przez noc albo dwie. Abym poczuła się lepiej. I to ma być pan, panie McKnight. Jak już powiedziałam, hojnie pana wynagrodzę.

Nie mogłem znieść myśli o pozostaniu w tym domu, ale pani Fulton pracowała nade mną jak stary zawodowiec do momentu, aż wreszcie się zgodziłem. Zauważyłem, że bogaci ludzie mają pewną nieco irytującą cechę. Nawet nie oczekują, że zrobisz coś dla nich z dobroci serca. Od razu mówią o pieniądzach. Machają banknotem przed nosem jak cukierkiem przed oczami dziecka.

Kiedy wyjeżdżałem, Sylvia nadal przechadzała się drogą.

- Byłaś tu przez cały czas? - zapytałem, zatrzymując się przy niej. - Musisz mi wbić jeszcze jedną szpilę, co?

- Nie chciałam wracać do domu, dopóki ty w nim byłeś - odparła.

Jej policzki poczerwieniały, smagane wiatrem.

- To duży dom. Nie musiałybyś na mnie patrzeć.

- Ale podświadomie czułabym twoją obecność.

- No cóż, w takim razie dziś w nocy jeszcze tego doświadczysz. A przy okazji, co serwujecie na obiad?

- O czym ty mówisz?

- Chcę się upewnić, że przyniosę odpowiednie wino.

- To żart? Jeśli tak, mnie nie rozśmieszył.

- To nie żart, Sylvio. Twoja teściowa właśnie zaproponowała mi, żebym spędził tu noc. Dobrze zapłaci. A teraz powiesz mi, co jest na obiad, czy nie? Jeżeli przyniosę czerwone wino, a ty podasz rybę, przysięgam, że się załamię.

Pojechałem do chaty, by zabrać niezbędne rzeczy i upewnić się, że wszystko w porządku. Dalej przy drodze mieszkał mój przyjaciel Vinnie LeBlanc - przez kilka dni dopilnuje mojego domu. Vinnie to Indianin, Chippewa, z plemienia z Bay Mills.

Podobnie jak większość tutejszych Chippewa-mieszaniec: trochę krwi francuskiej, trochę włoskiej i nie wiadomo jakiej jeszcze. Pracuje jako krupier blackjacka w Bay Mills Casino, a w sezonie łowieckim czasem jako przewodnik - pomaga najemcom moich chat. Wie, jak zgrywać Indianina, prowadząc po lesie bandę żółtodzióbów z południa. I oczywiście wtedy używa swojego przezwiska w języku Ojibawa - Czerwone Niebo - bo, jak wielokrotnie powtarzał, kto wynająłby indiańskiego przewodnika o imieniu Vinnie?

Podjechałem do chaty i wysiadłem z półciężarówki. Podeszedłem do drzwi i zobaczyłem, że coś leży na schodach.

Róża. Krwistoczerwona róża.

Podniosłem ją. Rozejrzałem się: tylko sosny. Nikt by nie widział, że ktoś ją tu kładzie. Popatrzyłem na ziemię: żadnych śladów, żadnych odcisków opon.

Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Odetchnąłem głęboko: nikogo tu nie ma. Nie zauważyłem śladów włamania, ale nigdy nie wiadomo. Sprawdziłem telefon. Żadnych wiadomości.

A ta czerwona róża? Coś zaczęło mi świtać, ale nie byłem w stanie uchwycić, co to takiego.

A może nie chciałem się dowiedzieć? Może nie chciałem dostrzec żadnych związków?

Już miałem rozdeptać różę. Nie! To przynosi pecha. Ktoś mi to kiedyś powiedział.

Wstawiłem kwiat do szklanki z wodą, spakowałem torbę i zamknąłem drzwi.

- Dziś w nocy będzie mi brakowało telefonu od ciebie - rzuciłem na wiatr. - Kimkolwiek jesteś, jeżeli zadzwonisz do mnie w środku nocy, usłyszysz cztery razy sygnał, a potem odezwie się automatyczna sekretarka. Może powinienem zmienić słowa powitania. „Jeżeli jesteś maniakałnym mordercą i chcesz mi napieprzyć w głowie, wciśnij jeden, „wszyscy inni, proszę wcisnąć dwa”.

Wróciłem do samochodu; kilka minut siedziałem za kierownicą. W końcu wysiadłem i poszedłem do chaty.

Przekopałem całą szafkę, wyrzuciłem ubrania i buty; wreszcie znalazłem to, czego szukałem. Włożyłem naboje do wszystkich sześciu komór i wetknąłem rewolwer za pasek.

Rozdział 6

BOŻE, TO FANTASTYCZNE, ALEX! - zawołał Edwin. - Czuję się teraz jak wolny człowiek. - Siedział w miękkim fotelu przed kominkiem, stopy opierał o skórzany podnózek, w jednej ręce trzymał dużą koniakówkę, a w drugiej cygaro. Ja, rozparty w drugim fotelu, patrzyłem w ogień. Również popijałem brandy, ale odpuściłem sobie cygaro. - I trochę mnie to bawi - dodał.

- Co cię bawi?

- To, jak układają się sprawy. Jeden wielki koszmar i... Nic lepszego nie mogło mnie spotkać. Widziałeś kiedyś, jak bąk się obraca, a w pewnym momencie przestaje i traci stabilność?

- No i?

- Nagle na coś natrafia. Barn! I znowu wykonuje równe obroty. Tego właśnie ja doświadczyłem.

- Okej - powiedziałem. - Dobrze.

- Nie, ja naprawdę tak uważam. Już mnie nie ciągnie do grania. Zupełnie mi przeszło.

- Jeżeli tak, bardzo się z tego cieszę, Edwin.

- To prawda. - Wstał i położył kolejne polano na ogniu. Na ścianie nad kominkiem wisiała głowa jelenia. Zastanawiałem się, czy ktoś choć przez sekundę pomyślałby, że Edwin zastrzelił to zwierzę.

Usiadł i zapytał:

- A czy teraz wreszcie powiesz mi, co się dzieje? Dlaczego chciałeś wiedzieć, kiedy ostatni raz widziałem Tony'ego Binga?

- Edwin, pozwól, że najpierw ja cię o coś zapytam. Widziałeś ostatnio w okolicy kogoś, kto wyglądałby dziwnie albo zachowywał się podejrzanie? Kogoś, kto sprawiałby wrażenie, że cię obserwuje... albo śledzi?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie, raczej nie. Nie zauważyłem nikogo takiego. A powinienem mieć oczy szeroko otwarte?

- Może. Po prostu bądź czujny. I ostrożny.

- O co chodzi, Alex?

- Tak naprawdę jeszcze nie wiem, Edwin. Nie chcę cię niepokoić bardziej niż to konieczne. I na pewno nie chcę przestraszyć ani twojej żony, ani matki. Powiedzmy, że mam powody przypuszczać, że ktoś obserwuje ciebie albo mnie, albo nas obu. Ktoś zamieszany w to morderstwo.

- Maven o tym wie?

- Wie.

Przez chwilę patrzyliśmy w ogień.

- Czy moglibyście wynieść się na jakiś czas do Grosse Pointe? - zapytałem w końcu.

- A sądzisz, że powinniśmy?

- Uważam, że to dobry pomysł.

- Nie chcę wyjeżdżać.

- A co by było, Edwinie, gdybym naciskał?

Długa smuga dymu.

- Nie wyjedziemy, Alex.

- Okej.

Co jeszcze mógłbym powiedzieć?

I znów zapadła cisza. Polano trzasnęło i iskra poszybowała w głąb pokoju. Edwin patrzył, jak tli się na dywanie, wypalając małą, czarną dziurę. Nawet nie próbował jej zgasić. Następnego dnia po prostu kogoś wezwie i poleci zmienić wystrój pokoju.

- Cieszę się, że tu jesteś - szepnął. - Chciałem cię przeprosić za zachowanie mojej matki.

- Po prostu troszczy się o ciebie.

- Wiem. Ale zmuszanie cię, abyś dziś tu nocował, to głupota.

- Żaden problem.

- Chociaż muszę przyznać, że skoro dzięki temu w końcu przyszedłeś do nas na obiad...

- Był wspaniały. Twoja matka doskonale gotuje.

- Cóż, cieszę się też, że ty i Sylvia przez jakiś czas wytrzymałyście w swoim towarzystwie. Wiem, co jest między wami.

Serce mi zamarło.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Alex, jestem pewien, że sam zauważyłeś. Sylvia zachowuje się szorstko wobec ciebie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Proszę, nie bierz tego do siebie. Zawsze miała specyficzne podejście do pewnego typu mężczyzn. Takich, którzy robią wrażenie wielkich, twardych facetów. Właściwie nigdy nie czuła do ciebie sympatii i było mi z tego powodu przykro. Ale wydaje mi się, że dziś wieczorem lepiej cię poznała. I sądzę, że teraz naprawdę cię lubi.

W czasie całego obiadu Sylvia była absolutnie czarująca. Cóż za aktorka!

- A gdzie teraz uciekła? - zainteresował się. - Pewnie gdzieś z moją matką spiskuje przeciwko mnie. Wiesz, jakie są kobiety, co?

- Nigdzie nie uciekłam, kochanie - powiedziała, wchodząc do pokoju. Miała na sobie płaszcz kąpielowy. Ten sam, który nosiła tamtej pierwszej nocy, kiedy jej dotknąłem. Rozchyłał się na piersiach i przylegał do jej ciała tak, że miałem ochotę cisnąć w nią drinkiem.

- Idziesz do łóżka? - spytała, przesuwając dłońmi po karku Edwina.

- Ooo... Fantastycznie wyglądasz. Zaraz do ciebie dołączę.

Odwróciła się do mnie.

- Dobranoc, Alex. Mam nadzieję, że urządzisz się... wygodnie.

- O mnie się nie martw.

Kiedy wyszła, Edwin wstał i zgasił cygaro.

- Zanieczyściłem moją żonę - oświadczył. - Ale to się skończyło, Alex. Widzisz przed sobą nowego Edwina.

Tylko kiwnąłem głową.

- Na pewno nie chcesz spać w pokoju gościnnym?

- Nie. Dobrze mi tu, na sofie.

Dwa pokoje gościnne były na końcu domu, a ja wolałem być tu, w środkowej części, blisko drzwi.

- Jak chcesz. Idę do łóżka. Życz mi powodzenia. - Mrugnął do mnie i zasalutował dyskretnie.

Kiedy sobie poszedł, dopiłem brandy, zastanawiając się, jakim cudem się tu znalazłem. Cóż, jestem prywatnym detektywem, a oni płacą mi, żebym spał na sofie z rewolwerem pod poduszką.

Pomyślałem o telefonie i róży na ganku mojej chaty. Długo nad tym się zastanawiałem, ale nic sensownego nie przyszło mi do głowy.

Wreszcie do pokoju zajrzała pani Fulton.

Usiadła w fotelu Edwina.

- Coś ci przynieść, Alex?

- Nie, nic mi nie trzeba, proszę pani.

- Wiesz, ty i ja dobrze poznaliśmy pewne uczucie - oświadczyła.

Założyła nogę na nogę i spojrzała w ogień.

- Jakie uczucie?

- Strach - odparła. - Dobrze poznaliśmy strach. - Długą chwilę trwało, zanim dotarł do mnie sens jej słów. Ta kobieta ma dość pieniędzy, by zabezpieczyć się przed wszystkim. Co może wiedzieć o strachu?

Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem odbłask tańczących płomieni. Ale też coś jeszcze. Coś, co rozpoznałem.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Nie zwierzam się wielu osobom, Alex. Ale tobie chyba mogę opowiedzieć tę historię, bo wiesz, jakie to uczucie. Prawdziwy strach. Taki, który zmienia cię na zawsze.

- Tak - przyznałem. - Rzeczywiście wiem.

- Kiedy miałam szesnaście lat, porwano mnie. Na to narażone są dzieci z bardzo bogatych rodzin. Przetrzymany mnie kilka dni. W pewnym momencie zamierzali obciąć mi palec i wysłać go mojemu ojcu.

Nie odezwałem się. Słuchałem i tak jak ona patrzyłem w ogień.

- To byli trzej mężczyźni. Jeden z nich dbał, żeby pozostali nie zrobili mi krzywdy. Nawet kiedy ich herszt chciał mi obciąć palec, ten człowiek na to nie pozwolił. Pobili się. Zagroził hersztowi, że zabije go, jeżeli mnie tknie. I chociaż on też uczestniczył w porwaniu mnie, chyba zaczęłam się w nim zakochiwać. Dziwne, prawda? Przerazony człowiek wszystko przeżywa tak silnie. To, co słyszy albo widzi. Nawet kolory są bardziej intensywne. Rozumiesz, o czym mówię, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Rozumiesz, bo to przeżyłeś. Zorientowałam się, gdy tylko cię poznałam, Alex. I wtedy, kiedy zapytałam cię o kulę, którą w sobie nosisz. Przekonałam się, co nas łączy. Dlatego wiesz, przez co teraz przechodzę. Edwin to moje jedyne dziecko.

- Pani Fulton, wszystko będzie dobrze. Po prostu znalazł się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

- Cóż, cieszę się, że tu jesteś. Dzisiejszej nocy nawet chyba będę mogła pospać. - Życzyła mi dobrej nocy i wyszła.

Siedziałem i przyglądałem się, jak ogień przygasa. W końcu wstałem i obszedłem cały dom. Zgasilem światło, aby widzieć w ciemności, i wyjrzałem przez okno na podjazd. Nic.

Wymknąłem się na dwór. Przemaszerowałem jakieś pół kilometra. Noc była spokojna, bezwietrzna i dlatego nie zimna. Zawróciłem. Okrążyłem dom i stanąłem na ganku z widokiem na jezioro. Kiedy chmury rozproszyły się, księżyc w pierwszej kwadrze rzucił słabe światło na ogromną tafłę wody, tak tej nocy spokojną, że niemal można było sobie wyobrazić żeglowanie w poświęcie księżycy.

Wszedłem do swojego pokoju. Usiadłem na sofie, wyjąłem rewolwer z za paska i położyłem na niskim stoliku, na którym stało zdjęcie ślubne. Wziąłem je do ręki i spojrzałem na uwiecznione na nim dwie twarze - rozpromienioną Sylvii w białym welonie i Edwina z szerokim, głupkowskim uśmiechem. Mój ojciec miał takie swoje powiedzonko: „Śmieje się jak osioł z trzmielcem w pysku”. Edwin tak właśnie wyglądał w dniu ślubu. Odstawiłem zdjęcie na stół i położyłem głowę na oparciu sofy. W końcu zapadłem w otchłań między jawą a snem.

Nagle coś usłyszałem. Ocknąłem się, czujny. Skąd dobiegał ten dźwięk? Usiadłem i sięgnąłem po rewolwer.

Zniknął.

Sylvia stała przede mną z moim rewolwerem w dłoni. Celowała prosto w moją pierś.

- Sylvio, co u diabła...

- Mogłabym cię zabić - powiedziała. - Mogłabym cię teraz zabić. I dobrze bym się poczuła, Alex. - Jej płaszcz kąpielowy się rozchylił. W świetle księżycy widziałem piersi i jedwabiste włosy niknące w cieniach pomiędzy jej udami. Nie zamierzała się zasłonić.

- Sylvio...

Odłożyła rewolwer na stół.

- Niezły z ciebie pies obronny - zakpiła.

Wróciła po schodach na górę, a ja siedziałem w ciemności, próbując się opanować.

- Niech cię diabli - mruknąłem pod nosem. - Ty głupia, zwariowana suko.

Wstałem i ponownie obszedłem dom, wyglądając przez okna. Dotarłem do tej jego części, gdzie znajdowały się pokoje gościnne; przytknąłem ucho do drzwi pani Fulton. Usłyszałem, jak miarowo oddycha przez sen.

Położyłem się znowu na sofie. Wydawało mi się, że do końca życia nigdy już nie zasnę. A jednak się zdrzemnąłem. Nic nie mogłem na to poradzić. Po ostatnich dwóch nocach krwi i późnych telefonów, byłem wykończony. Przynajmniej dziś żaden telefon mnie nie obudzi, pomyślałem, ostatecznie poddając się senności.

Widziałem krew. To był sen pani Fulton. Unosiłem się nad krwią. Jej plama ciągnęła się na wszystkie strony tak daleko, jak sięgałem okiem.

A potem zobaczyłem samochód. Sunął gładko i bezszelestnie wśród sosen, ze zgaszonymi światłami. Nie mogłem dostrzec kierowcy.

Wtedy zadzwonił telefon.

Zerwałem się z sofy i przewróciłem stolik. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Telefon, gdzie ten telefon? Znowu zadzwonił. Przypomniałem sobie, gdzie jest. Chwyciłem rewolwer i pobiegłem na górę. Telefon zadzwonił po raz trzeci.

- Alex, jesteś tam? - zawołał Edwin z głównej sypialni.

Czwarty sygnał.

- Tak! - Zastukałem do nich i otworzyłem drzwi. Edwin włączył lampkę przy łóżku. Sylvia siedziała obok niego, mrugając. Telefon rozległ się po raz piąty.

- Odebrać?

- Ja to zrobię. - Podeszedłem do łóżka od jego strony i ukląknę na podłodze. Telefon zadzwonił po raz szósty.

Podniosłem słuchawkę. Jakiś czas nic nie było słychać, aż w końcu dobiegł mnie męski głos:

- Halo, halo?

- Kto mówi?

- A z kim rozmawiam? Jest tam Edwin Fulton? - Nie tego głosu się spodziewałem. Dzwonił ktoś inny, ktoś, kogo znałem.

- Tu Alex McKnight. Kto mówi?

- McKnight! Co pan tam robi? Tu Maven.

- Szef Maven - powiedziałem.

Edwin spojrzał na mnie zdziwiony.

- Do diabła, McKnight, jest pan teraz kamerdynerem Fultonów, czy co?

- Czemu pan dzwoni? - zapytałem. - Która godzina?

- Nie wiem. Chyba koło trzeciej? Trzecia trzydzieści? Zadzwoiłem do pana Fultona, żeby zapytać, czy wie, gdzie pan się podziewa. Co za zawód, McKnight. Tym razem nie czekał pan na mnie na miejscu zbrodni.

- Maven, co, do cholery, się dzieje?

- Kolejne morderstwo. Znów bukmacher. Tym razem faceta znaleziono za restauracją na Ashmun Street.

- Co się stało?

- Kucharz znalazł go, kiedy wynosił śmieci. Wygląda na to, że dostał trzy, cztery kule.

- Uważa pan, że był to ten sam morderca? - Popatrzyłem na Edwina i Sylwię. Oboje spoglądali na mnie szeroko otwartymi oczami. Sylvia zaczęła dygotać.

- Cóż, nie jestem jasnowidzem, ale mam przeczucie, że znajdziemy takie same kule z tej samej broni.

- Jak nazywa się ofiara?

- Vince Dorney. Zna go pan?

- Vince Dorney. Nie, nie znam. - Zerknąłem na Edwina. Pokręcił głową. - Edwin też nie.

- Jest blisko pana, co? Wygląda na to, że zadzwoniłem w samym środku pizamowego przyjęcia - zakpił Maven.

- Oszczędź sobie, Maven. No a... Czy jego też pokroił?

- Nie. Tym razem użył noża w innym celu.

- To znaczy?

- Lepiej będzie, jak pan tu przyjedzie, McKnight. Natychmiast.

- O czym pan mówi? Gdzie pan jest?

- Prawdę mówiąc, dzwonię z radiowozu, czekam przed pańską chatą.

Najpierw zobaczyłem światła radiowozów, skaczące szaleńczo niebieskie i czerwone błyski wśród sosen. Kiedy wyjechałem z zakrętu, ujrzałem przed swoją chatą cztery samochody: radiowóz hrabstwa, policji stanowej i dwa z Soo. Przy moich drzwiach stało ośmiu mężczyzn. Kiedy zatrzymałem półciężarówkę i wysiadłem, szybko zorientowałem się, kto reżyseruje to przedstawienie.

- Panie McKnight - odezwał się Maven. - Jak to miło, że zechciał pan do nas dołączyć.

Kiwnąłem głową dwóm zastępcom szeryfa hrabstwa. Widziałem ich parę razy w Glasgow Inn.

- Chłopcy z hrabstwa i stanu byli uprzejmi tu przyjechać - ciągnął Maven. - Jesteśmy przecież kilka kilometrów od Soo. Ale wiąże się to z morderstwem w Soo, dlatego ja poprowadzę sprawę. Właśnie wyjaśniałem to tym panom.

- Co się dzieje? - zapytałem. - Dlaczego pan tu na mnie czeka?

- Próbowałem dodzwonić się do pana, gdy tylko dowiedziałem się o morderstwie za restauracją. Nie zastałem pana w domu i zacząłem się niepokoić. Wysłałem radiowóz, aby upewnić się, że wszystko z panem w porządku. Taki już jestem.

- Dlaczego więc pan też tu przyjechał? I po co są tu ci wszyscy funkcjonariusze?

- Zadzwoiłem do hrabstwa i policji stanowej po prostu z kurtuazji - odparł. - Oczekiwałbym tego samego, gdyby oni mieli zamiar zająć się czymś w Soo. A teraz niech pan popatrzy na swoje drzwi frontowe.

Pomyślałem o róży na stopniach. Wzdrygnąłem się: co zostawił tym razem? Podszedłem do drzwi. Jeden z gliniarzy z Soo robił zdjęcia polaroidem. W nagłym rozbłysku białego światła zobaczyłem kawałek papieru przytwierdzony do framugi dużym nożem myśliwskim.

- Niech pan tego nie dotyka, McKnight - odezwał się za moimi plecami Maven.

Jeden z policjantów ostrożnie wyciągnął nóż i wrzucił go do plastikowej torby. W drugiej umieścił list.

- Straszne, co zrobił z pańskimi drzwiami. Zostanie paskudny ślad - stwierdził Maven.

- Co tam jest napisane? - zapytałem. - Proszę pozwolić mi przeczytać.

- Chwileczkę. - Maven wziął od policjanta torbę i poświecił do środka latarką. - Wygląda na to, że na nożu jest krew. Można tylko zgadywać, czy ją zidentyfikuje laboratorium. - Oddał torbę z nożem policjantowi, a potem rozpląszczył przezroczysty plastik na liście. - Słodki Jezu - mruknął po przeczytaniu kilku słów. Lektura zajęła mu sporo czasu. Widziałem, że na jednej stronie stłoczono bardzo wiele słów.

Kiedy skończył, bez słowa podał mi kartkę. Wyglądało na to, że list został napisany na starej maszynie do pisania, w której trzeba by wymienić taśmę.

ALEX

Wiesz kim jestem. Trudno chyba uwierzyć ale musisz mi uwierzyć bo jestem tu teraz i to pora dla nas obojga żeby być razem i skończyć dzieło które nam wyznaczono. Żelazne kraty nie mogły mnie zatrzymać. Latałem do ciebie przez cały ten czas. Tak wiesz kim jestem. Wiesz kim TY jesteś i znaczy to że wiesz że jesteś tym który zabierze nas do lepszego miejsca. Nie widziałem tego wcześniej bo oślepiła mnie moc zła ale teraz widzę że zostałeś wybrany żeby pokonać śmierć i pokazać innym drogę jaką mają kroczyć. Zło jest tutaj. Ono wie kim jesteś i musisz być bardzo ostrożny. Usunąłem jednego człowieka który zagrażał twojemu małemu przyjacielowi po prostu w geście mojej dobrej woli wobec ciebie ale wszędzie wokół nas są inni aby uczynić to odludne miejsce polem bitwy i dziś w nocy usunąłem innego człowieka który wysyłał mikrofalowe sygnały przywołując tu następnych. Użyłem innej techniki oczywiście żeby trzymać ich w niepewności. Zawsze musisz trzymać ich w niepewności a nie tak wiele krwi oznacza że trudniej będzie odkryć że zaginął, ale w swoim czasie znajdą nas. Nie dotrą do ciebie obiecuję. To tak cudowne uczucie pomagać ci po tych wszystkich latach. Kto by pomyślał że tak to się ułoży. Że kiedyś uważałem cię za jednego z nich w przebraniu. Czuwam nad tobą i nie mogę doczekać się dnia gdy wreszcie będziemy mogli być razem.

Twój na zawsze

ROSE

PS Dzwoniłem do ciebie dziś w nocy ale cię nie było i jestem z tego powodu bardzo smutny dlatego proszę nie rób tego więcej”.

Przeczytałem list dwa razy, a potem oddałem go Mavenowi. Wszyscy funkcjonariusze stali, przyglądając mi się.

- Powiem panu jedno - odezwał się wreszcie Maven. - Na pewno otrzymuje pan o wiele ciekawsze listy niż ja.

- To niemożliwe - powiedziałem. - Nie ma takiego sposobu, żeby się tu znalazł. Wykluczone, żeby to on napisał ten list.

- Zakładam, że wie pan, co to za Rose?

- Tak - odparłem. - Znam Rose'a. Imię kobiece, ale to mężczyzna.

- W porządku. Mężczyzna o imieniu Rose. Skąd go pan zna?

- To było czternaście lat temu. Właśnie on mnie postrzelił. Właśnie on zabił mojego partnera.

Rozdział 7

BYŁ ROK 1984, DŁUGIE UPALNE LATO W DETROIT. Tego lata wciąż królowała kokaina, kreski starego dobrego proszku ciągnęły się przez całe miasto. O cracku dopiero zaczynały krążyć plotki. Służyłem w policji jakieś osiem lat i wkrótce miałem zdawać egzamin na detektywa. Mój partner, Franklin, był żółtodziobem. Eks-futbolista, ofensywny gracz z pierwszej linii. Grał podczas studiów na Uniwersytecie Stanowym Michigan i na drugim roku dostał się do drugiego składu ligowej drużyny, a potem do klubu Lwów, ale w pierwszym tygodniu na obozie szkoleniowym strzaskał sobie kolano. Dwa lata później trafił do policji. Przydzielili go mnie, bo pomyśleli, że były futbolista i były bejsbolista dobrze się dogadają. Wielki błąd.

- Wiesz, co robi bejsbolista - mówił mi pewnego wieczoru w radiowozie. Klóciliśmy się cały dzień. - Po prostu stoi sobie na boisku. I czeka, aż przyleci do niego piłka. A jeśli nie leci prosto na niego, to bejsbolista czasami przesuwają się trochę w bok. Tak to wygląda. Od czasu do czasu musi przejść trochę w bok.

Pokręciłem głową. Jechaliśmy do szpitala. Jeden z lekarzy w izbie przyjęć zgłosił jakieś zamieszanie, a nasz radiowóz był najbliżej.

- A jak już się nastoi na boisku - ciągnął Franklin - to wraca na ławkę, żeby odpocząć. Przecież się napracował, stercząc na boisku, no nie? Więc musi schować się w cieniu i odpocząć. No i siedzi sobie chwilę, coś popija, a potem, kurczę, musi pograć jako wybijający! Zwleka więc dupsko z ławki i idzie na to pole wymalowane na piasku i robi zamach wielkim kijem. No i znów muszę przyznać, że z tym kijem trzeba się narobić. Bo przecież żeby spieprzyć ze dwie piłki, to musi się namachać z pięć czy sześć razy!

- Mów dalej, Franklin, grabisz sobie jak cholera - mruknąłem.

- No, ale zobacz, Alex. Powiedzmy, że bejsbolista trafi w piłkę. Co musi wtedy zrobić? Pędzić do pierwszej bazy. Ile to jest, dwadzieścia siedem metrów?

- Zgadza się, dwadzieścia siedem. Bardzo dobrze.

- Musi przebiec aż dwadzieścia siedem metrów! A jeśli chce zaliczyć drugą bazę, to już całe pięćdziesiąt cztery metry!

- Futbolista i do tego matematyk. Niesamowite - zakpiłem.

- Gdzie w ogóle jedziemy? - zapytał.

- Do szpitala Memoriał. To najlepsza droga.

Jechałem Brush Street na południe, do śródmieścia Detroit. Od nagranych ulic wciąż buchał żar, choć słońce dawno już zaszło.

- Najlepsza, jeśli ci się nie spieszy - powiedział. - Trzeba było skręcić w Saint Antoine Street i przejechać koło sądu.

- Nie, tędy jest szybciej - sprzeciwiłem się. - Gadasz bez sensu.

- Przyjacielu, to moje rodzinne miasto. Co ty możesz o nim wiedzieć?!

- No i proszę, jesteśmy na miejscu - powiedziałem. Objechałem budynek dookoła i zaparkowałem przed wejściem do izby przyjęć.

- Bylibyśmy wcześniej, gdybyś mnie posłuchał.

- Zaczę cię słuchać, kiedy pójde na emeryturę - odgryzłem się.

Weszliśmy do szpitala, spodziewając się jak zwykle chaosu. Ale wszędzie panowała cisza. W poczekalni siedziała kobieta i przyciskała do policzka woreczek z lodem. Naprzeciw niej zgięty w pół mężczyzna obejmował się rękoma i delikatnie kołysał na krześle. Przy biurku pielęgniarka przeglądała górę papierów. Zerknęła na nas, a po chwili na dłużej zatrzymała na nas spojrzenie. Albo ja jestem taki cholernie przystojny, albo Franklin taki wielki, pomyślałem.

- Jesteśmy z policji - odezwał się Franklin.

- To na wypadek, gdyby nigdy nie widziała pani munduru - zakpiłem. - Proszę nie zwracać uwagi na kolegę. To były futbolista.

Żaden z nas jakoś jej nie rozbawił.

- Chodzi wam o doktora Myersa - powiedziała. - Usiądźcie.

Usiedliśmy w poczekalni i patrzyliśmy, jak kobieta przesuwając woreczek z lodem po policzku. Ktoś nieźle jej przyłożył.

- Przepraszam - odezwałem się. - Dobrze się pani czuje?

Spojrzała na nas.

- A wyglądam, jakbym dobrze się czuła?

- Nie, raczej nie, proszę pani. Mogę jakoś pomóc?

Pokręciła głową.

- Czy to sprawka pani męża?

Znów pokręciła głową.

- Bo jeśli tak...

- Dajcie mi spokój!

- Chcę tylko powiedzieć, że...

- Nie mam ochoty tego słuchać, jasne? Nie mam ochoty i już.

Podniosłem ręce uspokajającym gestem i usiadłem z powrotem.

Długo czekaliśmy. Dochodziły nas odgłosy miasta - szczekanie psa, wycie syreny w oddali. Detroit latem zawsze jest nie do wytrzymania, ale tego dnia było naprawdę jak w piekle. Gorzej niż zwykle. Nadal strajkowali kierowcy autobusów. Nawet nie można było obejrzeć meczu Tygrysów, bo liga właśnie miała przerwę. Dziwiłem się, że w izbie przyjęć może być tak pusto. Tylko czekałem, kiedy przez wielkie drzwi zacznie się wlewać tłum ofiar.

- Powiedz mi, Franklin - odezwałem się. - Próbowales kiedyś złapać szybką piłkę?

Spojrzał na mnie i nie odpowiedział.

- Zdarzyło ci się kiedyś, że ktoś walnął prosto w ciebie piłką pędzącą sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę?

- Odpuść sobie, Alex.

- Mówię poważnie, Franklin. Próbuję cię oświecić. Najwyraźniej nie masz szacunku do innych dyscyplin. Ale chyba rozumiem dlaczego. No bo co tak naprawdę robiłeś jako futbolista? Byłeś napastnikiem, co? A więc pochylałeś się, z ręką ku boisku. A kiedy rozgrywający krzychał „Jazda!”, podrywałeś się i parłeś na zawodnika przed sobą. Zgadza się? Chociaż nie, przepraszam, to chyba trochę bardziej skomplikowane. Czasami rozgrywający krzyczy „Jazda! Jazda!” i wtedy trzeba być bystrzakiem, poderwać się i walnąć faceta przed sobą, przed drugim „Jazda!”.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo do poczekalni wszedł doktor Myers.

- Przepraszam panów, że tyle to trwało. Proszę tędy.

Kiedy wstawaliśmy, podrzuciłem kobiecie z woreczkiem lodu karteczkę. Były na niej nazwisko moje i Franklina, i numer telefonu na nasz posterunek. Nie spodziewałem się, że zadzwoni, ale przynajmniej tyle mogliśmy dla niej zrobić.

Lekarz poprowadził nas do małego pokoiku za recepcją. Był szczupłym Murzynem i budził zaufanie. Miał lekki karaibski akcent. zaproponował nam kawę i pączki, a kiedy odmówiliśmy, w końcu powiedział nam, dlaczego zadzwonił na policję.

- Przychodzi tu taki jeden facet - wyjaśnił. - Dość regularnie. Chociaż nigdy nie wiadomo, kiedy się zjawi. Przychodzi przez kilka nocy z rzędu, potem znika na kilka dni. I znów się pojawia. Wyraźnie jest chory prawdopodobnie to przypadek

schizofrenii paranoidalnej, ale nie wiem tego na pewno. Nie mam czasu, żeby z nim porozmawiać.

- Co robi, kiedy się zjawia? - zapytałem.

- Przeważnie... to zabrzmiał trochę dziwnie. Przeważnie się ukrywa.

- Ukrywa się?

- Kiedyś w poczekalni stała wielka roślina. Chyba palma. Zawsze chował się za nią. W końcu musieliśmy ją zabrać, bo straszył pacjentów.

- Chyba macie tu jakąś ochronę?

- Mamy. Ale ochroniarzy jest za mało. Wzywaliśmy ich, ale zawsze, kiedy się pojawiali, facet zniknął. Jakby miał jakiś szósty zmysł.

- Kiedy był tu ostatnio?

- Dzisiaj. Tym razem przyszedł w lekarskim kitlu. Chyba ukradł go z naszej szafki z praniem. Chodził po salach i udawał lekarza. Jedna z pielęgniarek go zatrzymała, a on powiedział do niej coś w rodzaju: „Proszę się zachowywać naturalnie, siostrzo. To tajna misja”.

Spojrzałem na Franklina i pokiwałem głową.

- Świetnie.

- Przywykliśmy już, że kręcą się tu różne dziwne typy - wyjaśnił lekarz. - Taka praca. Ale ten facet zaczyna nam już za bardzo przeszkadzać.

- Wie pan może, jak się nazywa? Albo gdzie mieszka?

- Nie znamy jego nazwiska. Ale chyba wiemy, gdzie mieszka. Kiedy tylko pielęgniarka wezwała ochronę, znów zniknął. Na szczęście jeden ze strażników zobaczył go na ulicy i poszedł za nim, do bloku jakieś osiem, dziewięć przecznic stąd, na rogu Columbii i Woodward, tuż przed autostradą. Widział, jak facet wchodzi do bloku, nie widział jednak, do którego mieszkania.

Zapisałem sobie adres w notesie.

- Jak wygląda? - zapytałem. - Jak mamy go rozpoznać?

- Z tym nie będziecie mieli problemu - odparł doktor Myers. - To na pewno jedyny biały w tym bloku. Poza tym rozglądajcie się za peruką.

- Peruką? Jaką znowu peruką?

- Facet nosi blond perukę. Dużą perukę z długimi włosami.

- Duża blond peruka - zapisałem w notesie. - Coś jeszcze?

- Stuknięty biały facet w dużej blond peruce - powtórzył lekarz zmęczonym głosem. - To za mało?

Znaleźliśmy blok na rogu Columbii i Woodward. W śródmieściu prowadzono wiele remontów, ale nie trzeba było daleko jechać, żeby zasmakować „prawdziwego” Detroit, takiego w którym Franklin i ja przez większość czasu interweniowaliśmy w domowych awanturach albo sprawdzaliśmy doniesienia o strzelaninie. Blok, pod który przyjechaliśmy, kiedyś musiał wyglądać ładnie, ale te czasy dawno już minęły.

- Co robimy? - zapytał Franklin.

- A jak myślisz? - odparłem. - Pukamy do drzwi.

- Tego się obawiałem.

Zaczęliśmy od parteru. Franklin sprawdzał jedną stronę korytarza, ja drugą. Jeśli w ogóle ktoś nam otwierał, to zwykle przerażone kobiety, zza pleców których wyglądało jedno, dwoje albo troje dzieci. W końcu na pierwszym piętrze jakaś pani postanowiła nam pomóc.

- Chodzi wam o tego białego chłopaka? Tego z peruką? Mieszka gdzieś na samej górze. Nie widziałam nikogo bardziej stukniętego niż on.

Podziękowaliśmy jej i wspięliśmy się na najwyższe piętro.

- Oszczędziła nam sporo szukania - stwierdziłem. - Powinniśmy coś dla niej zrobić.

- Nic nie możemy zrobić - burknął Franklin. Takie miejsca jak to zawsze bardziej przygnębiały jego niż mnie. Urodził się w Detroit. Ja tu tylko pracowałem.

Zapukaliśmy do pierwszych drzwi i od razu znaleźliśmy naszego człowieka. Uchylił je tylko trochę i spojrzał na nas. Blond włosy sterczały na wszystkie strony.

- Jesteśmy z policji - powiedziałem. - Możemy porozmawiać? Spojrzał na mnie, potem na Franklina, a potem znów na mnie i znów na niego. Mierzył nas tak wzrokiem kilka razy, ale się nie odezwał.

- Możemy wejść? - zapytałem.

- Po co? - odezwał się głosem zupełnie wypranym z emocji.

- Żeby porozmawiać - wyjaśniłem.

- Po co chcecie ze mną rozmawiać?

- Proszę otworzyć drzwi.

- On też musi wejść? - Kiwnął głową w stronę Franklina.

- To mój partner - powiedziałem. - Ma na imię Franklin. A ja nazywam się McKnight. Mogę poprosić pana o nazwisko?

- Ha! Bardzo sprytnie.

- Proszę otworzyć drzwi - huknął Franklin. Na dźwięk jego głosu mężczyzna aż podskoczył.

- Czego chcecie? Po co tu przyszliście?

- Byliśmy właśnie w szpitalu - wyjaśniłem. - Powiedziano nam, że nagabuje pan tam ludzi. Możemy wejść i porozmawiać o tym przez chwilę?

Powoli otworzył drzwi. Wchodząc do mieszkania, ukradkiem mu się przyjrzałem. Jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, lekka nadwaga. Miał na sobie niebieskie dżinsy, stare, ale czyste, sportową koszulkę i tenisówki. Nie nosił okularów, wąsów ani brody. Gdyby nie ta cholerna peruka wyglądałby zupełnie zwyczajnie.

- Nagabuję? Powiedzieli wam, że nagabuję ludzi? Naprawdę tak powiedzieli?

Mieszkanie było małe. Jeden pokój, stół, trzy krzesła i kanapa, pewnie rozkładana - aneks kuchenny i łazienka. Lampa w rogu pokoju rzucała ostry blask. Przez okno nie wpadało żadne światło. Nie byliśmy nawet pewni, czy w ogóle jest tu okno, bo wszystkie cztery ściany pokryto aluminiową folią.

Staliśmy i się rozglądaliśmy. W końcu ciszę przerwał Franklin:

- Kto panu zaprojektował wnętrze, Blaszyński Człowiek?

Mężczyzna rzucił Franklinowi spojrzenie pełne czystej nienawiści. W głowie rozległ mi się mały dzwonek alarmowy. Coś było nie tak, ale pomyślałem, że facet jest po prostu prostoduszny. Nie miałem pojęcia, co może mu się kotłować pod tą peruką.

- Ta folia aluminiowa jest tu nie bez powodu - oświadczył.

- No tak, kiedyś o tym słyszałem - odparł Franklin. - Chodzi o to, żeby zablokować fale radiowe, prawda?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Fale radiowe? Folia aluminiowa miałaby blokować fale radiowe? Chodzi o mikrofały.

- Mikrofały - powtórzył Franklin. - No jasne.

- Przedstawił się pan jako McKnight? - zwrócił się do mnie.

- Tak.

- Czy mógłby pan sprawić, żeby ten...- zmierzył Franklina wzrokiem od stóp do głów - ... osobnik wyszedł? Z chęcią porozmawiam z panem na osobności.

- Nie, to niemożliwe - odparłem.

Wiedziałem, że Franklin ciężko myśli, ale ja zaczynałem się już niepokoić. Gdybym był na jego miejscu, pewnie walczyłbym już z pokusą, żeby wykręcić facetowi ręce za plecy i skuć go kajdankami.

- Nie rozumiem. - Nieznajomy zaczął kołysać się, przenosząc ciężar z jednej stopy na drugą. - Wy dwaj naprawdę jesteście partnerami? Pracujecie na co dzień?

- Od rana do nocy - przytaknął Franklin. - Czasami nawet pijemy z jednego kranu.

- Bardzo interesujące. To może być cenna informacja - stwierdził mężczyzna.

- No dobrze - odezwałem się. - Ja siadam. - Odsunąłem jedno z trzech krzeseł i usiadłem przy stole. - Mój partner też usiadzie. - Franklin nie odrywał wzroku od blond peruki, ale w końcu usiadł obok mnie. - Proszę, niech pan też spocznie.

Mężczyzna usiadł.

- Jak się pan nazywa? - zapytałem.

- Rose. Tylko tyle wam powiem.

- Nie zdradzi pan imienia?

- Imię to rzecz osobista. Jeśli zna się czyjeś imię, ma się nad tym kimś władzę.

Nigdy więcej nie popełnię tego błędu.

Franklin skrzyżował ramiona na piersiach i spojrzał w sufit.

- Podobno spędza pan sporo czasu w izbie przyjęć w szpitalu Memoriał.

- Tak panu powiedzieli?

- Tak właśnie mi powiedzieli.

- Może i zdarzyło się, że tam wpadłem. Raz czy dwa.

- Mówili, że bywał pan tam dość często.

- I pan im wierzy.

- Nieważne - odparłem. - Był pan tam?

- Pewnie tak. Skoro tak panu powiedzieli.

- Panie Rose, nie ułatwia mi pan zadania.

- Naprawdę spędzacie we dwóch całe dni?

- O mój Boże - odezwał się Franklin. Po głosie poznałem, że ma już dość. - Co się u diabła z tobą dzieje, człowieku? Łazisz całymi dniami po szpitalu, straszysz ludzi i zachowujesz się, jakby ci odbiło. Jak masz ochotę być wariatem, proszę bardzo. Twoja sprawa. Idź do lekarza. Jak ćpasz, to zapisz się na detoks. Zrób coś ze sobą albo siedź w tym ofoliowanym pokoju, mnie to zwisa. Tylko nie zaczepiaj ludzi w szpitalu, dobrze? I bez ciebie mają tam dość problemów. A w ogóle, o co chodzi z tą peruką? Wyglądasz jak ten rockowy muzyk... Alex, jak on się nazywa? Ten z długimi włosami.

- Peter Frampton?

- Nie, ten drugi. Z Led Zeppelin.

- Robert Plant?

- O właśnie - odparł Franklin. - Ten tu wygląda dokładnie jak Plant.

- Mnie bardziej przypomina Petera Framptona - stwierdziłem.

- Skończyliście już, panowie? - zapytał Rose.

- Obawiam się, że nie, panie Rose - odparłem. - Chcemy powiedzieć panu coś bardzo ważnego i musi pan nas wysłuchać. Dobrze? Musi pan przestać chodzić do tego szpitala. Nie wolno panu się tam więcej pojawiać, okej?

- Niestety to niemożliwe.

- Dlaczego nie?

- Robię tam coś ważnego - wyjaśnił. - Nie mogę teraz przestać. Gracie w bilard?

- Panie Rose...

- Wiecie, co robi bila numer 8, prawda? Dzieli resztę bil na wysokie i niskie numery. Wysoka i niska częstotliwość. Bila numer 8 jest czarna. Czerń to symbol podziału i braku światła.

- Panie Rose...

- Bila rozgrywająca jest biała. To pełne światło, wszystkie kolory. Biel to życie i ruch. Żadna inna bila nie może się ruszyć, póki nie ruszy się rozgrywająca.

- Panie Rose - przerwałem mu - chyba dobrze by było, żeby pan z kimś porozmawiał? Czy opiekuje się panem jakiś lekarz? Nie powinien pan brać jakichś lekarstw?

- Na tym polega wasza sztuczka, co? - odparł. - Przebraliście się.

- Panie Rose...

- Bardzo sprytne - stwierdził. - Muszę wam to przyznać. Jesteście coraz sprytniejsi. Przyprowadziłeś tego wielkiego, żeby odwrócić moją uwagę. - Spojrzał na Franklina, a potem znów wbił wzrok we mnie. - I wślizgnąłeś się tutaj, jakbyś był jednym z nas. Nawet mówisz jak jeden z nas. Bardzo przekonujące.

Franklin i ja popatrzyliśmy na siebie i kiwnęliśmy głowami. Trzeba go zabrać na posterunek, a potem pewnie zamknąć gdzieś w pokoju bez klamek.

- Ale się wam nie uda - syknął. - Tym razem wybraliście niewłaściwego człowieka.

Karabin pojawił się tak szybko, że nie zdążyliśmy zareagować, nie zdążyliśmy nawet pomyśleć, żeby jakoś zareagować. Ruchy miał szybkie jak jaszczurka. Przysięgam, że mierzył do nas, zanim usłyszeliśmy, jak odkleja się taśma, którą przylepił broń pod stołem.

Celował w nas z uzi. Kilka lat później uzi się upowszechniły, ale wtedy, w 1984 roku, wciąż były nowinką. Każdy żołnierz kokainowej mafii chciał mieć taką broń. Kiedyś na odprawie pokazano nam uzi. Karabin skonstruowano w Izraelu. W ciągu minuty może wystrzelić 950 dziewięciomilimetrowych naboju pistoletowych z pełnym płaszczem. I jest przy tym cichy jak maszyna do szycia.

- Panie Rose - powiedziałem powoli. - Proszę odłożyć broń.

Obie ręce trzymałem na stole. Franklin wciąż siedział ze skrzyżowanymi ramionami. Nie wiedziałem, który z nas szybciej sięgnie do kabury. I czy w ogóle jest na to szansa.

- Kto was przysłał?

Obaj patrzyliśmy na uzi. Franklin na pewno myślał o tym samym, co ja. Tyle że on miał do stracenia więcej niż ja. Miał dwie córki - trzy i pięć lat. W takich chwilach człowiek chce wrócić do rodziny. Nie chce umierać w mieszkaniu jakiegoś wariata tylko dlatego, że ten uważa go za wroga w przebraniu.

- Panie Rose - powtórzyłem. Staralem się oddychać spokojnie. - Powiemy panu wszystko, co pan chce. Obiecuję. Ale proszę odłożyć broń.

- Znalazłem to, wiecie?

Na ułamek sekundy zerknął na uzi. Poczulem na plecach zimny dreszcz. Za mało czasu, żeby sięgnąć po broń. Trzeba zmusić go, żeby odwrócił wzrok na trochę dłużej. Daj mi szansę. Jeśli naprawdę jesteś wariatem, to zrób coś głupiego. Wpadnij w trans czy coś.

- Znalazłem to w bocznej uliczce. Po tym jak jeden z waszych przyjaciół kogoś zabił. Nie widział mnie, ale ja go obserwowałem. Wyrzucił to do kosza. Głupiec.

- Panie Rose - Franklin mówił niemal szeptem. - Proszę...

- Nie odzywaj się do mnie - przerwał mu i wymierzył broń wprost w jego pierś.

- Nie chcę słyszeć ani słowa.

Franklin przełknął ślinę.

- A ty - znów spojrzał na mnie - powiedz, jak to zrobiłeś. Jak zmieniłeś się w białego?

- Powiem, kiedy odłoży pan broń - odparłem. - Tu na stół. - Prawa ręka w dół, odpiąć rewolwer i znów w górę. Ile to potrwa? Może powinienem to po prostu zrobić?

Pokręcił głową.

- No proszę, a to dopiero historia - mruknął. - Teraz nie będę wiedział, jakiego koloru jesteście. Bałem się, że zdarzy się coś takiego.

Ręka w dół, odpiąć, podnieść i strzelić. Sięgnąć, szarpnąć, bum. W myślach ćwiczyłem ten ruch, licząc, że może dzięki temu zyskam ułamek sekundy. Sięgnąć, szarpnąć, bum.

- Sporo się nauczyłem w szpitalu, kiedy pracowałem w przebraniu. Z początku nie chciałem przyjąć tego zadania, ale powiedziano mi, że Wybraniec pragnie, abym pracował na pierwszej linii. Że Wybraniec musi się dowiedzieć, jak wróg zabija ludzi. Jakie ma najnowsze techniki. Żebyśmy mogli przygotować właściwą obronę.

Franklin siedział obok mnie bez ruchu. Nie mogę tego zrobić. Jeśli się ruszę, ten wariant do mnie strzeli. Nawet nie zdołam dotknąć broni. Musi odwrócić wzrok. Proszę, spójrz gdzieś w bok, choćby na sekundę.

- Wiecie, co mnie najbardziej wkurza? - spytał. - Tak bardzo się staracie znaleźć najlepszy sposób na zabijanie, że zabijacie nawet siebie nawzajem. Tak tylko dla wprawy?

Cisza. Spojrzałem mu w oczy. Czuję się, jakbym spoglądał w dół kopalnianego szybu prowadzącego do samego piekła.

- Nie macie szacunku dla życia, prawda? - ciągnął. - Wybraniec mówi, że jeśli coś nie szanuje życia, to zabicie tego czegoś nie jest zabójstwem. Zwłaszcza jeśli używa się tej samej techniki. Na tym polega sztuka.

Cisza. Jak mogłem, kiedy po raz pierwszy spojrzałem mu w oczy, natychmiast nie zrozumieć? Powinienem był go skuć, gdy tylko tu wszedłem.

- A więc zabijając was, nie dokonam zabójstwa.

- Panie Rose... - zacząłem.

- Wyeliminuję was. Tak właśnie nazywa to Wybraniec. Mówi, że to eliminacja.

- Panie Rose...

Przysunął się z uzi bliżej nas.

- A wiecie, jaka jest najnowsza technika? - zapytał.

Rzucić się na broń? Odepchnąć ją w bok? Zerknąłem na jego rękę - napięta? Strzeli, jeśli wykonam jakiś ruch?

- Oczywiście, że wiecie - ciągnął. - Wszyscy dobrze to wiecie. To się dzieje prawie codziennie. Widziałem to w szpitalu. Słyszałem, jak lekarze o tym rozmawiali.

Musisz coś zrobić. Musisz zaryzykować.

- „Znow komuś zrobili suwak”, mówili. „Ile było suwaków w tym tygodniu? Chyba pięć?”

- Panie Rose... - odezwałem się. Jeszcze raz spróbuję go przekonać. A potem...

- Ładnie brzmi, prawda? - powiedział. - Suwak!

Wiedziałem, co to suwak. Franklin też. Tego lata widzieliśmy niejednego. Dilerzy koki robili suwak komuś, kto wszedł na ich terytorium albo kiedy ociągał się z płaceniem czy po prostu krzywo spojrział. Brało się uzi i puszczało szybką serię przez środek ciała. Dwadzieścia, trzydzieści kul od głowy do ptaszka. To właśnie suwak.

Zrób coś. No już. Zabierz mu broń. Teraz. Teraz!

Nie zrobiłem nic.

Rose strzelił do Franklina. Przeciął go z góry na dół. Uzi pluł kulami, mrużąc jak kot. Wydobyłem rewolwer. Poczulem kule w prawym barku. Nie miałem pojęcia ile. Poczulem je wszystkie naraz. Ból był taki jak wtedy, kiedy szybka piłka odbija się od rękawicy bejsbolisty i trafia w bark. Usłyszałem strzał z mojego rewolweru i krzyk mężczyzny o nazwisku Rose.

Upadłem na podłogę, obok Franklina. Jeszcze żył. Ale tylko przez chwilę. Widziałem, jak odwraca oczy w moją stronę i jak gaśnie w nich życie. Na rękach, twarzy i w oczach miałem krew. Krew była wszędzie.

Powiedziałem coś do krótkofalówki. Nie pamiętam co. Leżałem na podłodze i patrzyłem w sufit. Widziałem w nim dziurę. Nie trafiłem faceta. Kiedy dosięgły mnie kule, strzeliłem w sufit. Dlaczego krzyczał? Czy przestraszył go huk? Uciekł? Ile razy do mnie strzelił? Kiedy umrę?

I dlaczego nie obłożył aluminiową folią sufitu? Okleił nią wszystkie ściany, ale sufitu już nie. Znów spojrziałem na Franklina. Patrzyłem na niego, póki wszystko nie pociemniało.

- Jasna cholera, McKnight - odezwał się Maven. - Dlaczego nie sięgnąłeś po broń, kiedy w ciebie mierzył?

Słuchał w milczeniu mojej relacji. Prowadził radiowóz. Ja siedziałem obok. Przez całą drogę z Raju do Soo w samochodzie słychać było tylko mój głos. Prawie dojechaliśmy na posterunek. Na wschodzie słońce właśnie zaczęło rozświetlać czerń nieba czerwonymi smugami.

W myślach ułożyłem sobie całą listę wyzwisk. Ale w końcu powiedziałem tylko:

- Nie wiem dlaczego.

Pokręcił głową. Minęliśmy stary magazyn. Połowę szyb powybijano. W mdłym świetle ulicznej lampy siedział kot i lizał sobie łapy. Nie zwrócił na nas uwagi.

- I chcesz mi powiedzieć - ciągnął Maven - że ten facet cię odszukał po tylu latach?

- Po czternastu latach - uściśliłem.

- Macie w Detroit tylu gliniarzy i go nie złapaliście?

- Chwileczkę - odparłem. - Nie wie pan jeszcze wszystkiego.

- Niby czego nie wiem?

- Złapaliśmy go. Jakies pół roku później.

- Co ty wygadujesz?

- Złapali go, jak kręcił się wokół innego szpitala po drugiej stronie miasta. Ja już nie pracowałem w policji; wyjechałem z Detroit, ale wróciłem, żeby go zidentyfikować. Zeznawałem na jego procesie.

- Niech zgadnę - wtrącił Maven. - Uniewinniono go z powodu niepoczytalności?

- Nie. Obrońca próbował tej metody, ale mu się nie udało. W końcu facet zabił policjanta. Rose dostał za Franklina dożywocie, plus dwanaście lat za mnie. Bez możliwości warunkowego zwolnienia.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że ten cały Rose...

- Siedzi w więzieniu - dokończyłem. Wyjrzałem przez okno. - A przynajmniej tak myślałem.

Rozdział 8

SŁOŃCE W KOŃCU WZESZŁO, GDY DOTARLIŚMY NA POSTERUNEK. Im bliżej było zimy, tym świt wstawał coraz później. Kiedy ostatnio zdarzyło mi się przespać te zimne godziny brzasku? Znowy wylądowałem na posterunku. Miałem wrażenie, że żołądek wywrócił mi się na drugą stronę.

Maven zaprowadził mnie do swojego gabinetu i znowu posadził na krześle dla gości.

- No dobra - odezwał się. Wyjął kartkę i długopis. Maznął nim kilka razy po papierze, a potem wyrzucił go w kąt pokoju. Wyjął kolejny. - Cholerne długopisy, po tygodniu do niczego się nie nadają. No dobra, McKnight. Jak się nazywał ten facet?

- Rose.

- Dowiedziałeś się w końcu, jak miał na imię?

- Maximilian - odparłem. - Podał je na procesie.

- Maximilian? Nic dziwnego, że nie chciał ci powiedzieć. - Maven zaczął pisać. -

Kiedy go skazano?

- W grudniu 1984.

- Wiesz, gdzie siedzi?

- W Jackson.

Przestał pisać.

- Wysłali go do Jackson?

- Do więzienia o zastrzonym rygorze. Uznali, że jest „upośledzony umysłowo, ale poczytalny”. Nie odbiło mu aż tak bardzo, żeby zamknąć go w pokoju bez klamek, ale dość, żeby mieć go na oku.

- Twierdzisz, że wysłali faceta do Jackson na dożywocie, i to bez warunkowego? Jesteś pewien?

- Absolutnie.

- McKnight, w takim razie facet wciąż tam siedzi. Nie ma innej możliwości.

- Też mi się tak wydawało.

- A co, teraz myślisz, że uciekł? Kiedy ostatnio ktoś dał nogę z Jackson? Czy w ogóle się to komuś udało?

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Wiem tylko to, co wyczytałem w tym liściku.

Maven przeczesał palcami rzadkie włosy.

- Chyba powinienem tam zadzwonić i sprawdzić. Która godzina? Po szóstej?

- Na pewno ktoś tam jest - powiedziałem.

- Pewnie masz rację, McKnight. Nie słyszałem, żeby wypuszczano stamtąd więźniów na noc do domu. - Zaczął przeglądać papiery na biurku. - Muszę pogadać z policją stanową. Gdzie ten numer? Pracuje tu jedna babka, która wie, gdzie co leży, ale przychodzi do roboty około siódmej. A, znalazłem. - Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Siedziałem i go obserwowałem.

- Dzień dobry - odezwał się po dłuższej chwili. - Mówi szeryf Maven z posterunku w Soo. Muszę skontaktować się z więzieniem stanowym w Jackson. Tak. Tak, owszem. Tak, zadzwonię później do waszego szefa i wyjaśnię, o co chodzi. Właśnie. W porządku, świetnie. A dałoby radę połączyć mnie od razu z nimi? Macie przecież swoje tajne stanowe hasła czy inne takie. Żeby wiedzieli, że nie dzwoni do nich dla jaj jakiś byle chłystek z ulicy. Tak, będę bardzo wdzięczny, dziękuję. Uhm, poczekam.

Czekając na połączenie, spojrzał na mnie.

- Jako gliniarz miałeś kiedyś do czynienia ze stanowymi?

- Niewiele - odparłem.

- Są cholernie dobrzy. Sęk w tym, że o tym wiedzą. Ale póki bierze się ich pod włos i rozmawia z nimi, zwykle współpracują. Wy z Detroit byliście chyba tacy sami. - Siedział i przez kolejną długą chwilę stukał długopisem w biurko. - A, dzień dobry. Nazywam się Roy Maven. Jestem szefem policji w Sault Ste. Marie. Mam nietypowe pytanie. Przebywa u was więzień o nazwisku Maximilian Rose. Od grudnia 1984 roku, na oddziale o zastrzonym rygorze. Hm, jakby to powiedzieć? Orientuje się pan może, czy Rose nadal u was jest?

Odsunął słuchawkę od ucha. Słyszałem krzyki jego rozmówcy, choć siedziałem w drugim końcu pokoju.

- Cholera jasna - przerwał mu Maven. - Zadałem tylko pytanie. Nie musi się pan tak denerwować. Skoro pan mówi, że jest, to jest. Tyle chciałem wiedzieć.

- Poproś go, żeby sprawdził - szepnąłem.

Maven zakrył słuchawkę dłonią i spojrzał na mnie.

- Słucham?

- Poproś go, żeby sprawdził, czy Rose jest w celi - powtórzyłem.

- Facet twierdzi, że nikt nigdy nie uciekł z oddziału o zaostrzonym rygorze.

- Może go sami wypuścili - nie ustępowałem. - Może zaszła jakaś pomyłka. Po prostu go poproś.

Maven przewrócił oczami.

- Przepraszam pana - powiedział do słuchawki. - Nie znalazłby pan chwili, żeby sprawdzić, czy jest w celi, tak na wszelki wypadek? Tak, właśnie o to prosimy. Owszem, dobrze pan usłyszał. Pańskie uszy są w jak najlepszym porządku, zgadza się. Tak. Tak. Tak. Proszę posłuchać, poradzę panu, co zrobić. Krok po kroku. Najpierw odłóż pan pączka. Nie rozmawia się przez telefon z pełnymi ustami. A potem niech pan znajdzie w swoim kapowniku nazwisko Maximilian Rose i sprawdzi, w której on siedzi celi. Później niech pan wyśle strażnika, żeby zajrzał do tej celi. Albo sam pan idź. Jak pan wolisz. A jak wrócisz do telefonu, powiesz mi, jak sprawa wygląda. Ja wtedy podziękuję panu za pomoc, a pan odpowie: nie ma sprawy, po to tu jestem. I w końcu będzie pan mógł dokończyć pączka. Rozumiemy się? A przy okazji, dam panu radę. Kiedy pan pójdzie sprawdzić, proszę spojrzeć mu w twarz. Czasami więźniowie układają koc na łóżku tak, żeby wydawało się, że pod nim leżą. Może ten Rose uciekł parę miesięcy temu, a wy nawet nie zauważyliście... Tak, koleś, i ciebie też. Nie moja wina, że siedzisz w stróżówce w kiciu o szóstej nad ranem. Musiałeś kiedyś zbłądzić na ścieżce kariery. A teraz rusz tyłek i poświeć latarką w twarz temu Rose'owi, bo jak nie, to pogadam z twoim szefem.

Maven położył słuchawkę na kolanach i pokręcił głową.

- Właśnie dlatego uwielbiam tę pracę - powiedział. - Stykam się w niej z tyloma cudownymi ludźmi. - Spojrzał na mnie, jakby to była moja wina, i znów zaczął stukać długopisem w biurko.

- Tak, witam ponownie - odezwał się w końcu. - Już się zaczynałem martwić... Sprawdził pan. Jest. Na pewno? Na pewno. Świetnie, w porządku. Tak, nie ma sprawy. Bardzo mi pan pomógł. Bardzo dziękuję. Miłego dnia. Niech pan sobie nie da wbić noża w plecy. - Odłożył słuchawkę na widełki.

- A więc jest w celi? - mruknąłem.

- Tak ten gość twierdzi.

- To kto zostawił list?

- Ty mi powiedz - burknął Maven.

Podniosłem rękę.

- Nie mam pojęcia.

Spojrzał na kolejną kartkę na biurku.

- Na pewno nic ci nie mówi nazwisko Vince Dorney? - zapytał. - Wielki Vince? O ile się orientuję, miał się różnych rzeczy, zanim zajął się bukmacherką. Odsiedział trochę za prochy.

- Nigdy o nim nie słyszałem - odparłem.

- Ktoś go nieźle rozwalil. Leżał za restauracją w śmieciach. To musiał być niezły widok, kiedy kucharz go tam znalazł.

Maven patrzył na mnie chwilę. Wytrzymałem jego wzrok.

- Więc co my tu mamy, McKnight?

- Wygląda na to, że dwa morderstwa.

- Nieźle was tam szkolą w Detroit.

- Co ci mam jeszcze powiedzieć?

- Powiedz mi, kto ci zostawia te miłosne liściki. Ale nie wmawiaj mi, że to facet, który od czternastu lat siedzi w kiciu.

- Nie wiem.

- Gazety sobie użyją? - stwierdził. - Dwa morderstwa w trzy dni. Mój stary kumpel burmistrz będzie zachwycony.

- Jakoś nie przejąłeś się tymi dwoma trupami - zauważyłem.

Maven zastanawiał się przez chwilę, po czym wyjął portfel.

- Popatrz na to. - Podniósł portfel, żebym mógł przyjrzeć się fotografiom dwóch małych dziewczynek.

- Twoje córki?

- To moja córka - wskazał dziecko po lewej. - Zdjęcie jest stare. Miała wtedy siedem lat. Ta druga to Emily, jej najlepsza przyjaciółka. Też miała siedem lat. Została zamordowana. A ja musiałem o tym powiedzieć jej rodzinie. - Złożył portfel i schował do kieszeni. - Do dziś noszę jej zdjęcie. Wiem, wielu ludzi uważa, że nie powinno się tego robić. Mówią, że trzeba mieć dystans do pracy. Nie można się nią za bardzo przejmować. Ale noszę to zdjęcie, bo przypomina mi, po co tu jestem. A ci dwaj, wiesz, co to za jedni? Tony Bing był bukmacherem. Zatrzymywano go trzy razy, płacił grzywnę i znów bawił się w to, co zwykle, czyli zabierał ludziom forszę. Tak, tak, nie przykładał nikomu spluwy do głowy, ale w inny sposób zabierał ludziom pieniądze. W zeszłym roku dowiedziałem się, że dostaje nawet bony żywnościowe! Oficjalnie nie ma

żadnych dochodów, więc idzie do urzędu i dają mu bony, wyobrażasz sobie? Taki był z niego typek. A ten drugi, Wielki Vince Dorney, to po prostu wcielenie zła. Bukmacherkę traktował tylko jako hobby, jeszcze jeden sposób żeby mieć na ludzi haka. Pożyczał ci forszę, sprzedawał prochy, robił wszystko, żeby cię wplątać. A potem już cię miał. Przez dwa lata próbowaliśmy go nakryć. Myślisz, że nie zmrużę oka, bo ktoś go w końcu rozwalił? Myślisz, że będę tu siedział i słuchał twoich pierdoł? Że będę słuchał faceta, który nie potrafił sięgnąć po gnata?

- Niezła gadka, Maven. Zwłaszcza ten kawałek o dziewczynce. Założę się, że zdjęcia były w portfelu, kiedy go kupiłeś, co?

- McKnight, zaczynasz mnie naprawdę wkurzać. Jak tylko zakończymy tę sprawę, przypomnij mi, żebym zdjął odznakę i umówił się z tobą na małą pogawędkę przed posterunkiem, co?

Patrzyłem na niego. Kawał z niego drania; pewnie dobre dziesięć lat starszy ode mnie. Ale na pewno potrafi się bić.

- Zapiszę to sobie - obiecałem.

- W porządku. Nie mogę się doczekać. A tymczasem zastanówmy się: kto zabija bukmacherów w okolicy? Przystaniesz pieprzyć i pomożesz mi trochę?

- Staram się, jak mogę - odparłem.

- Mówisz, że ten facet zostawił ci wczoraj różę?

- Tak.

- Co z nią zrobiłeś?

Zawahalem się.

- Wstawiłem ją do wody.

- Interesujące. Tak was w Detroit uczyli obchodzić się z dowodami? Gdybyś znalazł spluwę, to też byś ją włożył do wody?

Przejął. Miałem ochotę skoczyć przez biurko i go udusić.

- Maven. To była tylko róża, ktoś zostawił ją na schodach. To powód, żeby coś podejrzewać? Wyobraź sobie, że dzwonię do ciebie i mówię: „Hej, szefie, niech pan wpadnie i zabierze tę różę. Leży pod moimi drzwiami. Wie pan, kiedyś znałem faceta o nazwisku Rose. Strzelał do mnie i zabił mojego partnera. Od czternastu lat siedzi w kiciu, ale mimo to wydaje mi się, że to on”. Jak byś wtedy zareagował?

- Dobra, zostawmy to. Muszę cię wyposażyć.

- W co wyposażyć?

- W sprzęt do namierzania telefonów, geniuszu. Nie chcesz wiedzieć, skąd ten facet dzwoni?

- Wydawało mi się, że do tego nie trzeba już żadnego specjalnego sprzętu. Wystarczy chyba wystukać specjalny kod?

- Tak, gwiazdka, pięć, siedem; wysłała automatycznie do centrali żądanie namierzenia rozmowy. Ale trzeba też nagrać głos tego kolesia. Znajdziesz w swoim detektywistycznym biurze jakiś dobry magnetofon do nagrywania rozmów z telefonu?

- Nie mam biura.

- Prywatny detektyw, który pracuje w drewnianej chacie - zadrwił. - Stary Abe Lincoln byłby z ciebie dumny, bez dwóch zdań.

- Cholera jasna, Maven. Jak nie przestaniesz...

- No dobrze, już dobrze, wyluzuj. Zrobimy tak: magnetofon dostaniesz od policjanta, który przyjedzie na czaty.

- Na czaty?

- Z samochodu będzie obserwował twoją chatę. Na pewno uczyli was o tym w akademii.

- Po co mi człowiek na czatach?

- McKnight, jesteś chyba najdurniejszym mieszkańcem hrabstwa Chippewa. Ktoś dokonuje dwóch morderstw, a potem w środku nocy wbija nóż w twoje drzwi. Nie sądzisz, że powinniśmy być na miejscu, kiedy wróci?

- Jeśli wróci, sam sobie z nim dam radę.

- Wykluczone - zaprotestował Maven. - Dopóki go nie złapiemy, co noc pod twoją budą będzie czuwał mój człowiek. W sąsiedztwie jest jakiś dom, skąd mógłby prowadzić obserwację? Oczywiście przyjedzie nieoznakowanym wozem.

- Najbliższa chata jest prawie pół kilometra dalej. Niech ustawi się na drodze, za zakrętem.

- Będzie widział, co się dzieje u ciebie?

- Ledwie - odparłem. - Ale jeśli dasz mi krótkofalówkę, powinno być łatwiej.

- W porządku. Spodziewaj się mojego człowieka o zachodzie słońca.

- Fultonom się to nie spodoba - stwierdziłem.

- Dlaczego?

- Pani Fulton płaci mi, żebym mieszkał u nich w domu, miał oko na wszystko.

- No to będą musieli sobie znaleźć inną niańkę. Dobrze wiesz, że stać ich na wynajęcie każdego. Chcę, żebyś był w swojej chacie, bo on może zadzwonić. Wygląda na to, że nikomu innemu nic nie powie. W końcu to ciebie sobie wybrał.

Spojrzałem na niego i pokręciłem głową.

- Maven, trzymasz mnie tu już tak długo i nadal nie dostałem kawy.

- I aż się skręcasz. Na pewno słyszałeś, że parzę pyszną.

- Zbieram się, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Odezwę się do ciebie.

- Jeszcze jedno. - Coś sobie przypomniałem. - Gdzie znaleźliście ciało tego Wielkiego Vince'a?

- Dlaczego pytasz?

- Z ciekawości.

- Nie lubię wścibskich detektywów - odparł Maven. - Zwłaszcza kiedy próbuję rozwiązać sprawę dwóch morderstw. Prywatni detektywi nie zajmują się morderstwami, McKnight. A może naoglądałeś się za dużo filmów?

- Nie chcę ci się w nic wcinać. Chcę tylko wiedzieć. Musisz przyznać, że jestem w to wszystko zamieszany.

- I tak przeczytasz o tym w gazetach. - Machnął ręką. - Znaleźliśmy go za restauracją Angelo.

- Za tą knajpką nad kanałem?

- Właśnie. Tylko się tam nie wybieraj.

- Daj spokój, szefie. Po co miałbym tam łązić?

- Mówię poważnie, McKnight. Nawet się nie zbliżaj.

- Ty tu rządzisz. Do zobaczenia.

Wyszedłem na dwór, przetarłem oczy i głęboko odetchnąłem chłodnym powietrzem. Wsiadłem do swojej półciężarówki. Przez chwilę próbowałem doszukać się w tym wszystkim jakiegoś sensu. Nic z tego. Włączyłem silnik i ruszyłem do restauracji Angelo.

Mieściła się po północnej stronie kanału hydroelektrowni przecinającego miasto, tuż przed mostem. Na frontowych drzwiach wisiała kartka: „Chwilowo zamknięte! Otworzymy najszybciej jak się da!” Przcisnąłem nos do szyby i zajrzałem do środka. Siedem czy osiem stolików. Na ścianie naprzeciwko wejścia automat telefoniczny. Czy to tam mój tajemniczy mężczyzna dojrzał Wielkiego Vince'a?

Posłuchajcie sami, co ja wygaduję. Mój tajemniczy mężczyzna. Nadal nie chcę mówić o nim „Rose”.

To nie może być Rose. Wykluczone.

Obszedłem lokal. Zaulek odgrodzono żółtą taśmą policyjną. Stali przy niej dwaj policjanci i popijali kawę. Tego ranka chyba wszyscy poza mną pili kawę.

- Możemy w czymś pomóc? - zapytał jeden z nich. Rozpoznałem go. Był wtedy w motelu. Razem z kolegą. Przyjechali przed Mavenem. Drugiego widziałem po raz pierwszy. Pewnie jego nowy partner.

- Nazywam się Alex McKnight - przedstawiłem się. - Poprzedniej nocy spotkaliśmy się w motelu.

- Tak mi się wydawało, że skądś pana znam.

- Tylko się rozglądam - wyjaśniłem. - To tu podobno znaleziono zwłoki.

- Tam za beczką - potwierdził. Wskazał wielki metalowy pojemnik. Na ziemi wciąż widniała plama krwi. - Czekamy, aż nasz człowiek pobierze jeszcze jedną próbkę.

- Słyszałem, że ciało znalazł kucharz?

- Tak ludzie mówią.

- Pewnie nie zna pan jego nazwiska?

- Nie. Zresztą nie wiem, czy szef chciałby, żebym o tym rozpowiadał.

- Niech pan się nie przejmuje szefem - uspokoiłem go. - Jesteśmy starymi kumplami.

- Noo... - odparł, raczej nie przekonany.

- Zastanawiam się, czy wczoraj ktoś widział coś podejrzanego. Może nową twarz w restauracji albo coś takiego.

- Musiałby pan porozmawiać o tym z którymś z detektywów. Albo ze swoim starym kumplem Mavenem.

- Nie ma sprawy - odparłem. - Tylko tak sobie myślę... Może pan coś dla mnie zrobić?

- Niby co?

- Niech pan nie mówi szefowi, że tu byłem, dobrze?

Kiedy odchodziłem, policjanci uśmiechali się i kręcili głowami. Wsiadłem do furgonetki. I co teraz? W końcu ruszyłem, przejechałem przez most nad kanałem, a potem autostradą 1-75 do Three Mile Road. Motel Riverside w świetle dziennym nie wyglądał wcale lepiej niż w nocnym.

Zobaczyłem, że do pokoju numer 6 nadal nie można wejść; drzwi zaklejono żółtą taśmą. Na pewno kierownik motelu nie jest zachwycony. Odbije się to na interesach. Znalazłem go w kantorku. Siedział za biurkiem i oglądał telewizję.

- Dzień dobry - powitał mnie. - Chce pan wynająć pokój?

Przypomniałem sobie, że poprzedniej nocy widziałem go, jak stał na zimnie w piżamie i butach.

- Nie, dziękuję - odparłem. - Alex McKnight, prywatny detektyw - przedstawiłem się. - Byłem... byłem tu w niedzielę w nocy. To ja zadzwoniłem po policję.

- Ach tak - powiedział i ściszył dźwięk w telewizorze.

- Nie chcę panu przeszkadzać. Zastanawiam się tylko, czy nie zauważył pan wcześniej tego wieczoru czegoś niezwykłego. Kręcili się tu jacyś obcy?

- Tu są prawie sami obcy - stwierdził. - Przecież to motel. Więcej niż raz widziałem tu tylko pana Binga. Mieszkał u mnie prawie rok.

- Rozumiem. Ale może tego dnia pojawił się ktoś, kto wyglądał... szczególnie albo jakoś podejrzanie?

- O każdej porze przychodzili do niego różni faceci - wyjaśnił kierownik. - Powiedziałem policji, co wiedziałem: że zajmował się bukmacherką, ale poza tym nie wtykałem nosa w nieswoje sprawy. Płacił co tydzień i tyle.

- Może to zabrzmie dziwnie, ale czy nie widział pan ostatnio kogoś w dużej blond peruce? A konkretnie mężczyzny.

- Mężczyzny w peruce? Co pan wygaduje? A w ogóle dlaczego muszę odpowiadać na jakieś pytania? Wszystko, co wiem, powiedziałem już policji.

- No tak, rozumiem, że nie jest panu łatwo. Po prostu śledzę pewien osobisty wątek w tej sprawie.

- Nie było tu żadnych mężczyzn w perukach - oświadczył. - Ani kobiet. - Nastawił głośniejsze telewizor. Zrozumiałem aluzję, podziękowałem i wyszedłem.

Zanim wróciłem do samochodu, podszedłem do drzwi pokoju numer 6. Stałem przed nimi i próbowałem sobie wyobrazić, jak doszło do morderstwa. Edwin mówił, że nie były zamknięte na klucz. Bing chyba właśnie skończył się kąpać. Czy zabójca miał już tłumik na pistolecie czy stał w tym miejscu i dopiero go nakręcał? Wszedł, strzelił Bingowi prosto w twarz, wyjął nóż i podciął mu gardło od ucha do ucha? Spojrzałem na ziemię. Krew już wytarto. Zastanawiałem się, jak teraz wygląda

pokój. Czy zmyli z podłogi całą krew? Czy gdyby do niego wejść, można by nie zauważyć nawet, że kogoś tam zabito? Szarpnąłem za klamkę. Nic z tego.

Wrócić do kantorka i poprosić kierownika, żeby otworzył drzwi?

Nie, nie chciałem znów oglądać tego pokoju. Ani żadnego innego w motelu.

Wróciłem na północ miasta i znów zatrzymałem się pod Tawerną Marynarza. Chciałem pogadać jeszcze raz z barmanem. A nuż zapamiętał coś jeszcze z wieczoru, kiedy Edwin spotkał się tam z Tonym Bingiem? Przecież to niewykluczone. Podszedłem do drzwi. Otworzyłem je. Barman stał za kontuarem. Oczywiście niczego więcej nie pamiętał. Usiadłem pod oknem i spojrzałem nad służką w stronę Kanady. W końcu doczekałem się porannej kawy z małym dodatkiem na wzmocnienie. Miałem za sobą kolejną długą noc. I wcale nie zapowiadało się, by następne były spokojniejsze.

Lane Uttley gdzieś dzwonił, kiedy wszedłem do jego biura. Widząc mnie, od razu odłożył słuchawkę.

- No jesteś! - krzyknął. - Chodźże tu, na litość boską! Siadaj. - Złapał mnie obiema rękami i posadził na krześle dla gości.

Było znacznie bardziej miękkie niż to w gabinecie Mavena.

- Edwin dzwonił do mnie i opowiedział, co się stało. Maven naprawdę telefonował do ciebie z twojej chaty?

- Tak.

- Edwin mówił, że chodziło o jakiś nóż. Tyle tylko wiedział. Uttley przysiadł na biurku, a ja zdałem mu relację. Kiedy powiedziałem o liście na drzwiach, wybuchnął:

- Ale co Maven w ogóle robił w twojej chacie?

- Podobno dzwonił do mnie, kiedy za restauracją znaleźli ciało Dorneya. Nie było mnie w domu, więc wysłał kogoś, żeby sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku.

- Akurat! Po prostu cię szukał - parsknął Uttley. - Twierdzisz, że widział ten list, zanim ty go zobaczyłeś?

- Tak.

- A miał nakaz, żeby wjechać na twój teren?

- Nie. Ale list nie był w kopercie. Wisiał na widoku, przyczepiony do moich drzwi.

- Mimo wszystko ta sprawa śmierdzi - uznał prawnik. - A potem zaciągnął cię na posterunek na przesłuchanie?

- Pojechałem dobrowolnie - sprostowałem. - Chciałem się dowiedzieć czegoś na temat Rose'a. - Opowiedziałem całą historię: o strzelaninie, o tym, jak w końcu złapaliśmy Rose'a i że trafił do Jackson. No i o telefonie Mavena do więzienia.

- Chcesz mi powiedzieć, że Roy Maven zadzwonił dziś rano do więzienia, żeby sprawdzić, czy Rose nadal tam przebywa?

- Tak właśnie zrobił - odparłem.

- I Rose nadal siedzi.

- Nadal siedzi - przytaknąłem.

- Niewiarygodne.

- Można i tak to określić.

- Alex, martwi mnie ta historia z Mavennem. Porozmawiać z nim?

- O czym?

- O tym, żeby cię nie nękał - wyjaśnił. - Kiedy następnym razem wybierzesz się na rozmowę z nim, chciałbym przy tym być.

- Maven jest niegroźny. To stary gliniarz, twardziel. Poznałem miliony takich jak on.

- Mam wrażenie, że wziął się na ciebie, Alex. Na twoim miejscu uważałbym na niego.

- Nie martwi mnie Maven. Martwi mnie Rose.

- A raczej ten koleś, który udaje Rose'a.

- No tak, nieważne.

- To nie może być prawdziwy Rose - tłumaczył Uttley. - Sam przecież powiedziałeś, że Rose siedzi w więzieniu.

- Wiem, tylko...

- Tylko co, Alex?

- Nie wiem - wyznałem. - To dziwne uczucie. Możemy coś jeszcze zrobić? Żeby przekonać się, czy naprawdę siedzi?

- O czym ty mówisz? Przecież Maven dzwonił do Jackson, prawda?

- Tak, dzwonił. A jeśli ktoś się pomylił? Może człowiek, którego uważają za Rose'a, to tak naprawdę nie Rose.

- Niby jak? Rose wynajął kogoś, żeby za niego odsiedział wyrok?

- Wiem, że to brzmi głupio. Ale ten list... Niektóre rzeczy, które w nim napisał...

- Więc co mam zrobić?

- Możemy postarać się o nakaz stawienia się przed sądem czy coś takiego?

- Wniosek o taki nakaz można złożyć, jeśli się podejrzewa, że ktoś został zatrzymany bezprawnie - wyjaśnił Uttley. - Niestety raczej nie w przypadku, kiedy chcesz się tylko przekonać, że on jest tym, za kogo się podaje.

- Ale możemy się z nim jakoś skontaktować, prawda? Mogę z nim porozmawiać przez telefon?

- Może - odparł. - Ale musiałyby się na to zgodzić.

- Spróbujesz?

- Zobaczą, co się da zrobić. Jeśli naprawdę tego chcesz.

- Tak, chcę. Po prostu, żeby się upewnić.

- Chyba powinieneś pójść do domu - poradził. - Wyglądasz okropnie.

- Pójdę - obiecałem. - Ale wydaje mi się, że wcześniej powinienem wpaść do Fultonów. Mówiłeś, że rozmawiałeś z Edwinem. Co u nich?

- Martwią się o ciebie. Wybiegłeś tak nagle wczoraj w nocy, kiedy zadzwonił Maven.

- Prosiłem ich, żeby zastanowili się nad wyjazdem na jakiś czas. No wiesz, gdzieś na wieś, żeby odczekać, aż wszystko się uspokoi. Jak sądzisz, namyślą się, kiedy i ty im to zaproponujesz?

- Już zaproponowałem.

- I nic?

- Alex, oni się stąd nie ruszą. Moim zdaniem po prostu nie chcą cię zostawić z tym problemem.

- To obłąd. Zaraz, pani Fulton pewnie spodziewa się, że znów będę u nich nocował. Ale ja muszę siedzieć w chacie. Znasz kogoś, kto mógłby ich chronić?

- Tak na szybko, nie za bardzo.

- A ten twój dawny detektyw, Leon Prudell?

- O Boże - jęknął. - Już lepiej sam to zrobić.

- Masz broń?

- Tak się składa, że mam. Małą zgrabną berettę.

Zdziwiłem się. Nigdy bym nie przypuszczał, że Lane Uttley ma broń. Ale skoro tak, to oczywiście musiał to być drogi poręczny włoski pistolet.

- Potrafisz strzelać?

- Byłem kilka razy na strzelnicy. Nie jestem zielony.

- Sam się prosisz o tę robotę - stwierdziłem. - Mogłeś trafić gorzej. Dom jest ładny, a pani Fulton przygotowuje ci kolację. Prześpisz się na kanapie, tylko miej oczy i uszy otwarte.

- A jeśli facet się pojawi? - zapytał. - Co będzie, jeśli wejdzie do domu?

- To proste - odparłem. - Zabijesz go.

Rozdział 9

TO BYŁA KOLEJNA SPOKOJNA noc. Listopadowy wiatr ucichł. Uznałem, że to dobrze, bo usłyszę intruza, kiedy stanie pod moimi drzwiami.

Przyjechał policjant w nieoznakowanym wozie. Czuję się głupio, że będzie musiał przesiedzieć całą noc w aucie. Przypomniałem sobie, jak sam to robiłem w Detroit.

Podłączyłem magnetofon, który dostałem od Mavena. Każda rozmowa przychodząca miała włączyć namierzanie w centrali i sam magnetofon. Mnie pozostawało tylko podnieść słuchawkę i rozmawiać. Jeśli zadzwoni ten sam facet i będzie chciał się dowiedzieć, co myślę o jego kolejnym morderstwie, spróbuję z nim pogadać i wyciągnąć z niego jak najwięcej. Taki przynajmniej był plan.

Policjant dał mi też walkie-talkie. Połączyłem się z nim, kiedy tylko ustawił się przy drodze, tuż za zakrętem.

- Słyszę pana czysto i wyraźnie, panie McKnight - odpowiedział. - Jeśli ktoś się pojawi, będę go stąd widział. Ale jeśli pan coś usłyszy, proszę dać mi znać przez to ustrojstwo.

- Zgoda - odparłem. - Mam nadzieję, że płacą panu za to podwójną stawkę. - Wyłączyłem walkie-talkie i odłożyłem wraz z rewolwerem na stolik. Teraz pozostało tylko czekać.

Leżałem na łóżku i wsłuchiwałem się w ciszę. Wydawało mi się, że upłynęło mnóstwo czasu. Spojrzałem na zegar. Nie minęła nawet jedenasta.

I wtedy zadzwonił telefon. Zerwałem się i chwyciłem broń.

Spokojnie, Alex, na litość boską.

Usłyszałem, że urządzenie od Mavena automatycznie się włącza. Siedzenie numeru już zostało uruchomione. A cichy szum oznaczał, że magnetofon zaczął nagrywać.

Podniosłem słuchawkę.

- Halo?

- Alex, to ja, Lane. Dzwonię od Fultonów. Zjedliśmy smaczną kolację, szkoda, że cię tu nie było. Miałaś rację, pani Fulton doskonale gotuje.

- Pozdrów ją ode mnie - poprosiłem.

- Dobrze. Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie. Wszystko przygotowane ?

- Tak.

- Świetnie. W takim razie nie zajmuję dłużej linii. A tak przy okazji, dzwoniłem dziś do więzienia. Mieli jakąś blokadę. Coś się tam działo na oddziale Rose'a. Z tego, co mówił ten facet z więzienia, wynika, że zdarza się to co tydzień. Tak czy inaczej, nie mogłem się połączyć z Rose'em. Jutro spróbuję jeszcze raz.

- W porządku, wielkie dzięki.

- Nie ma sprawy, Alex. Zadzwoń do mnie, jeśli coś się wydarzy, dobrze?

- Jasne.

- Oczywiście najpierw zadzwoń na policję. A potem do mnie.

- Tak zrobię.

- Okej. Wracamy do pilnowania pałacu. Pogadamy jutro.

Wyciągnąłem się znów na łóżku. Nie odłożyłem rewolweru. Przyjrzałem mu się uważnie, sprawdziłem, czy jest naładowany. Wyglądał dokładnie jak ten, który nosiłem kiedyś w policji. Chyba właśnie dlatego Lane mi go kupił. Pewnie uznał, że przywykłem do służbowego rewolweru. Ale kiedy tak trzymałem go w dłoni, zacząłem myśleć o tym, dlaczego wtedy nie sięgnąłem od razu po broń. Czy mogłem ją wyjąć z kabury na czas? Czy strzeliliby najpierw do mnie i to ja byłbym dziś martwy, a Franklin by żył? Czy to byłoby takie złe?

Telefon znów zadzwonił. Magnetofon zaszumiał. Kolejne namierzanie, kolejne nagranie. Podniosłem słuchawkę.

- Pan McKnight? Mówi Theodora Fulton.

- Witam, pani Fulton. Wszystko u państwa w porządku?

- Na razie tak. Choć muszę powiedzieć, że czułabym się znacznie bezpieczniej, gdyby pan tu był.

- Na pewno jesteście państwo bezpieczni - zapewniłem ją. - Ręczę za Lane'a.

- To prawnik Edwina, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Czy prawnicy mogą nosić broń?

- No... owszem. Oczywiście. Dlaczego nie?

- To niedobrze. Prawnicy są niebezpieczni nawet bez broni, nie uważa pan?

- Chyba pani żartuje.

- Proszę mi wybaczyć. Po prostu chciałam usłyszeć pański głos i powiedzieć dobranoc, Alex... Ten człowiek się tu nie pojawi, prawda?

- Nie - odparłem. - Nie sędzę.

- Niech pan będzie ostrożny. Dobranoc.

Obszedłem chatę, wyjrzałem przez każde okno w ciemność, po czym wzięłem walkie-talkie i wcisnąłem guzik:

- Na zewnątrz wszystko w porządku?

- W jak najlepszym - odparł policjant. - Zaraz wyskoczę na chwilę podlać krzaczki, ale niech pan się nie martwi, zabiorę krótkofalówkę ze sobą.

Wyłączyłem walkie-talkie i odłożyłem na stolik. Znów sprawdziłem broń. Cholera, Alex, jak tak dalej pójdzie, do świtu wpadniesz w paranoję.

Telefon znów zadzwonił. Dochodziła północ. Podniosłem słuchawkę.

- Alex, to ja, Edwin.

- Co się dzieje?

- Nic - odpowiedział. - Nic się nie dzieje. Chciałem się tylko dowiedzieć, co u ciebie.

- Edwin, na litość boską. Dzwonili już do mnie Uttley i twoja matka.

- Żartujesz. Nie słyszałem ich, byłem w jacuzzi.

- U mnie wszystko w porządku, Edwin.

- Powinieneś spróbować kiedyś kąpieli w jacuzzi. Naprawdę pomaga się odprężyć.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić teraz odprężenia - odparłem.

Tyle że byłem w jego jacuzzi. W tę jedną noc, którą całą spędziłem z Sylwią u nich w domu. Edwin pojechał wtedy do Detroit odebrać jakąś nagrodę. Wcześniej widywaliśmy się na szybkie numerki. A to popołudnie, a to jakaś wykradziona godzina ciemną nocą, kiedy mieliśmy pewność, że Edwin szaleje w kasynach. Na samą myśl o tym znów czułem się źle. Tak, byłem winny. Ale też z przerażeniem uświadamiałem sobie, że zrobiłbym to znów, gdybym miał okazję. Jednocześnie równie wielkim przerażeniem napawała mnie świadomość, że nie będę już miał takiej okazji.

Nie ma to jak myśleć o takich sprawach, kiedy czeka się na nocną wizytę zabójcy. Gorzej być nie może.

- Jesteś tam, Alex?

- Tak, przepraszam. Chyba nerwy mi puszczają.

- Nic dziwnego. No dobra, nie przeszkadzam. Wiedz tylko, że wszyscy o tobie myślimy.

- Na pewno nie chcecie wrócić na jakiś czas do Grosse Pointe?

- Nie, Alex. Zostajemy z tobą. Dobranoc.

Odłożyłem słuchawkę. To co, brakuje jeszcze telefonu od Sylvii? Krótkie dobranoc i nienawidzę cię serdecznie. Wtedy miałbym komplet rozmówców z domu Fultonów.

Nie zadzwoniła. W końcu położyłem się w ubraniu na łóżku. Wyłączyłem światło. Wiedziałem, że przy włączonym świetle czułbym się lepiej, ale wolałem czekać w ciemności, bo wtedy będę go widział tak samo, jak on mnie.

Odpląnąłem myślą znów do tego dnia w Detroit. Nie wiedziałem, co powiedziałem do krótkofalówki, ale jakoś nas w końcu tam znaleźli. Potem zamiast sufitu w mieszkaniu Rose'a zobaczyłem sufit w szpitalu. Przyglądał mi się lekarz, świecił mi latarką w oczy. Potem znów ciemność. I kolejny lekarz i pielęgniarka.

A później moja żona: patrzyła na mnie, przygryzając wargę. Próbowałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Zamknąłem oczy. Kiedy znów je otworzyłem, już jej nie było.

W końcu jakiś dziennikarz, chyba zadawał mi pytania. Przepędziła go pielęgniarka.

Ile dni przeleżałem w tym szpitalnym łóżku? Wreszcie udało mi się skupić wzrok na dłużej niż chwilę, a wkrótce potem - unieść głowę. Na prawym ramieniu poczułem gruby bandaż. Wszedł lekarz i usiadł na krześle obok mnie.

- Jak się pan dziś czuje?

- Ile to trwało? Co się stało?

- Sześć dni - odparł. - Dostał pan trzy razy.

- A mój partner, Franklin? - dopytywałem się.

- Już nie żył, kiedy go znaleziono.

- Tak... - Opadłem na poduszkę. - Tak myślałem.

- W niedzielę był pogrzeb - wyjaśnił lekarz.

- A co z mężczyzną, który mnie postrzelił? Nas postrzelił. Złapali go?

- Nie. Chyba nie.

Kiwnąłem głową.

- Burmistrz Young przyszedł na pogrzeb Franklina?

- Tak.

- To dobrze. Franklin go lubił. Ciągłe się o to kłóciliśmy.
- Panie McKnight, muszę pana poinformować o pańskim stanie zdrowia. Udało nam się usunąć dwie kule.
- Dwie? A co z trzecią?
- Nadal ma pan ją w sobie. Dokładnie mówiąc, tuż obok serca. Chyba odbiła się od mostka i zatrzymała tuż przed osierdziem.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że ma pan wielkie szczęście. Choć podejrzewam, że wcale nie czuje się pan szczęściarzem.
- Raczej nie.
- Jeszcze pół centymetra, i kula rozerwałaby osierdzie. Pańskie serce utopiłoby się we własnej krwi.
- Dlaczego nie możecie jej wyjąć?
- Cóż, będziemy się musieli nad tym zastanowić. Kiedy pana przywieziono, stracił pan mnóstwo krwi. Długo trwało samo ustabilizowanie pańskiego stanu. Później wyjęliśmy dwie kule. Jedna z nich musnęła płuco i zatrzymała się na łopacie. Druga naruszyła staw barkowy. Obawiam się, że nigdy już nie będzie mógł pan rzucać piłką.
- Ja łapię - wyjaśniłem. Podniósł wzrok znad diagramu.
- Słucham?
- Nieważne. Proszę mówić dalej.
- Nie podoba mi się miejsce, w którym utkwiała trzecia kula, panie McKnight. W naszym żargonie nazywa się to ułożeniem zasercowym w odcinku śródpiersiowym, co oznacza, że kula znajduje się między sercem a kręgosłupem. W tej chwili operacja niesie za sobą spore ryzyko. Postanowiliśmy więc jej na razie nie robić i zobaczyć, jak będzie się pan czuł. Oczywiście gdyby pojawiły się jakiegokolwiek oznaki zagrożenia, przeprowadzilibyśmy ją od razu.
- I co teraz?
- Może mi pan wierzyć lub nie, ale ta kula właściwie jest obojętna dla pańskiego organizmu. Nie pierwszy raz zostawiamy komuś kulę: kiedy na przykład wbije się głęboko w mięsień, często uznajemy, że wyciągając ją, narobiliśmy więcej szkody niż pożytku.
- Ale ona tkwi tuż przy moim sercu.

- Owszem - potwierdził lekarz - To trochę niezwykle. Jak powiedziałem, ma pan dużo szczęścia, że w ogóle pan żyje.

Dużo szczęścia. Cały ja.

Pięć miesięcy później nadal nosiłem prawą rękę na temblaku. Właśnie odszedłem z policji. Moje małżeństwo w zasadzie już się rozpadło. Wtedy właśnie, pewnej nocy w innym szpitalu, złapali Rose'a. Mój dawny szef przyjechał po mnie do domu i zabrał mnie na posterunek. Zaprowadzili mnie do sali przesłuchań. Za weneckim lustrem ustawiali pięciu mężczyzn. Kilkakrotnie stałem po drugiej stronie lustra, kiedy świadek przyglądał się twarzom podejrzanych. Teraz to ja byłem świadkiem.

Rose stał drugi od lewej. Nawet bez wielkiej blond peruki rozpoznałbym go na końcu świata.

Podczas procesu siedziałem na miejscu dla świadków; wskazałem człowieka o nazwisku Maximilian Rose, który siedział na ławie oskarżonych. Powiedziałem, że to on. Wpatrywał się we mnie świdrującym wzrokiem.

Uznali go za winnego i skazali. Patrzyłem, jak dwóch strażników wyprowadza go z sali sądowej. W więzieniu miał spędzić resztę...

Dźwięk. Telefon.

Dzwonił telefon.

Ocknąłem się. Chwyciłem broń ze stolika. Serce waliło mi jak młotem. Zegar wskazywał 2.57.

Telefon znów zadzwonił. Włączyło się nagrywanie. Telefon został namierzony. Na wyświetlaczu zobaczyłem numer.

Podniosłem słuchawkę.

Cisza.

- Halo? - odezwałem się.

Cisza.

- Jesteś tam?

Cisza.

- Powiedz coś.

Cisza.

- Odezwij się, do jasnej cholery!

Cisza.

- Powiedz mi, co zrobiłeś. Chcę o tym usłyszeć. Powiedz mi wszystko.

Cisza.

- Ty pieprzony gnojku, kim jesteś?

Rozłączył się.

Już miałem rzucić słuchawką, ale się powstrzymałem. Wziąłem do ręki walkie-talkie.

- Zgłoś się - powiedziałem.

- Jestem, panie McKnight. Wszystko w porządku?

- Właśnie zadzwonił. - Podałem mu numer.

- Chwileczkę.

Słyszałem, jak zgłasza numer. Wiedziałem, że za kilka sekund go zlokalizują, a za kilka minut dotrą na miejsce. Coś mi mówiło, że będzie to budka telefoniczna. Dwa radiowozy z piskiem opon zahamują na jakimś pustym parkingu przed stacją benzynową czy restauracją. Budka będzie stała w oddali, pod latarnią, a w okolicy nie będzie żywej duszy.

Przypomniałem sobie, co było w liście. Nie miałem go oczywiście przy sobie. Nie mogłem do niego zajrzeć, aby przekonać się, że istnieje naprawdę. Nie mogłem go przeczytać, żeby spróbować doszukać się w tym jakiegoś sensu. Co w nim było? Jak dokładnie brzmiały te słowa?

To nie może być Rose. On nie może tu być. Jest w więzieniu. Niemożliwe, żeby był gdzie indziej.

List. Co w nim było? Coś o mikrofalach, o Wybrańcu, o tym, że jestem w przebraniu.

Nikomui nigdy o tym nie powiedziałem.

Nie powiedziałem własnej żonie. Nie powiedziałem policyjnemu psychologowi, do którego mnie wysłano. Nikomu.

Kiedy mówił te rzeczy, w pokoju były tylko trzy osoby: Rose, ja i Franklin. A Franklin nie żyje.

Rozdział 10

NASTĘPNEGO DNIA WPADŁEM DO MAVENA. Na biurku miał raport, notatkę dotyczącą nocnego telefonu.

- Budka telefoniczna przy Ashmun Street - oznajmił. - Zaledwie o przecznicę od miejsca, gdzie doszło do drugiego morderstwa.

- Nie rozumiem, dlaczego się nie odezwał - powiedziałem.

Maven potarł podbródek.

- Jakby wiedział, że jest nagrywany.

- Skąd miałby to wiedzieć?

- Ty mi powiedz.

Pokręciłem głową.

- Zmieniłeś się, szefie.

Maven podniósł kartkę i znów na nią spojrział.

- Dziwne, wczoraj w nocy odebrałeś trzy inne telefony. Wszystkie z tego samego numeru.

- Od Fultonów.

- Tak.

- I co z tego?

- To po prostu dziwne.

- Zadzwoił do mnie Uttley, potem pani Fulton, a na koniec Edwin.

- Pan Uttley teraz ich niańczy?

- Nie mieliśmy wielkiego wyboru - odparłem. - Nie wiem, czy pamiętasz, ale ja muszę siedzieć kolkiem w chacie. A ty nie paliłeś się, żeby przydzielić im do ochrony swojego człowieka.

- Och, jestem pewien, że nic im nie grozi - stwierdził Maven.

- Nie rozumiem. - Czuję, że krew zaczyna mi się burzyć. Jak długo będę musiał widywać się co rano z tym draniem?

- To twój osobisty psychopata, McKnight. Po co miałby zawracać głowę twojemu znajomemu? Przecież nawet w liście wspomniał, że go lubi, prawda?

Nie odpowiedziałem.

- Czyja tu kiedykolwiek doczekam się kawy? - burknąłem.

- Może kiedyś, McKnight. Jak odzyskam dobry humor.

Miałem już dość Mavena jak na jeden dzień, więc wyszedłem.

Skoro byłem już w mieście, postanowiłem podjechać do automatu, z którego dzwoniono. Jakiś detektyw coś tam jeszcze przy nim robił. Odciski palców już pobrał. Na telefonie zostały ślady proszku.

W pobliżu była mała księgarnia, a obok sklep z upominkami. Tyle że pewnie nikt się po nich nie kręcił o trzeciej nad ranem. A nawet gdyby, to czy ktoś by zauważył człowieka w budce telefonicznej?

Jeśli facet nosiłby wielką blond perukę, to może. Cha, cha.

Do restauracji Angelo miałem parę kroków, więc przeszedłem się tam, żeby znów rzucić okiem do środka. Nadal było w niej pusto. Obszedłem ją od tyłu. Policja dobrze wszystko wyczyściła. Musiałem przykleknąć, żeby dostrzec drobne ślady krwi u podstawy beczki ze smarem.

Co ja tu robię? W małym brudnym zaułku, na czworakach, jak pies. Pewnie upaprałem sobie nieźle spodnie. Czego szukam? Sam nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że oszaleję, siedząc w chacie i zastanawiając się, kim on jest i co zamierza.

W drodze do Raju zadzwoniłem do Fultonów z komórki. Wszystko w porządku, poza tym, że Uttleyowi zeszytniał kark, bo niewygodnie spało mu się na kanapie. Powiedział mi, że kiedy dotrze do biura, znów spróbuje zadzwonić do więzienia.

Wróciłem do domu i przespałem się kilka godzin. Potem wpadłem do Glasgow Inn. W pubie był tylko Jackie, ale nawet mi to odpowiadało.

- Nie pokazywałeś się przez parę dni! - zawołał na powitanie i otworzył mi zimnego canadiana. Bóg mu zapłać.

- Mam różne sprawy na głowie - odparłem.

- Widziałeś dziś gazetę? Kolejne morderstwo w mieście.

Wziąłem od niego dziennik. Nagłówek głosił: „Mieszkaniec miasta zabity na tyłach restauracji. Drugie morderstwo w ciągu trzech dni”. Przeczytałem artykuł, ale nie znalazłem w nim niczego, czego bym już nie wiedział. Próbowali coś wyciągnąć od Mavena, ale zasłonił się standardową formułką, że śledztwo jest na zbyt wczesnym etapie, by cokolwiek komentować. Umieścili jego zdjęcie na drugiej stronie. Obiektyw niezbyt go lubi.

- Cholerny świat - stwierdził Jackie. - Hej, czy ja przypadkiem nie czytałem czegoś o Edwinie, kiedy popełniono to pierwsze morderstwo? To w motelu?

- Znalazł zwłoki - wyjaśniłem. Chciałem wszystko mu opowiedzieć. On umiał słuchać. Ale nie zrobiłem tego. Byłem zbyt zmęczony i wytrącony z równowagi, żeby znów przez to przechodzić. Może następnym razem, pomyślałem. Usiądziemy przy stoliku i opowiem mu wszystko. Może on znajdzie w tym jakiś sens?

Wróciłem do chaty i zadzwoniłem do Uttleya.

- Odblokowali telefony - oznajmił. - Udało mi się przekazać dziś wiadomość.

- Świetnie, i jaki rezultat?

- No, właściwie nie wiedziałem, co powiedzieć. Poprosiłem, żeby jeszcze raz sprawdzili, czy Rose jest w celi, i żeby porównali jego twarz ze zdjęciem z akt.

- A gdybym tak go odwiedził? - zastanawiałem się.

- Naprawdę chcesz tam pojechać i go zobaczyć?

- Może to jedyny sposób, żeby się przekonać, czy to naprawdę on - odparłem, chociaż nie potrafiłem sobie wyobrazić, bym mógł znaleźć się z nim w jednym pomieszczeniu. Nawet jeśli dzieliłoby nas dziesięć centymetrów zbrojonej szyby.

- Spróbuję to załatwić.

- Dzięki. Znów dziś nocujesz u Fultonów?

- Pani Fulton chce, żeby ktoś u nich był. Skoro nie zgodzili się wyjechać, to chyba będę musiał u nich mieszkać.

- Dobrze robisz - pochwaliłem.

Roześmiał się.

- Zobaczymy, jak zareagują, kiedy wręcę im rachunek.

Nadeszła kolejna noc, znów podszyta strachem. Zacząłem myśleć o tych tabletkach w szafce z lekami. Ale wiedziałem, że nie wolno mi połknąć nawet jednej. Musiałem być czujny.

Przez całą noc w tym samym miejscu czatował ten sam policjant. Nazywał się Dave. Miał żonę i dwójkę dzieci. Współczułem mu, że spędza całe noce w samochodzie. Tym razem zaparzyłem mu kawę i przygotowałem dwie kanapki. Przynajmniej tyle mogłem dla niego zrobić.

Uttley spędził noc na kanapie u Fultonów. Ja przeleżałem ją we własnym łóżku, co pięć minut zerkając na telefon. Kilka razy wstawałem i wyglądałem przez okno.

Nie zadzwonił. Nawet po to, by słuchać mojego głosu. Nawet po to, by pozwolić mi słuchać ciszy po drugiej stronie linii. Noc minęła bezgłośnie. Milczał nawet wiatr.

Następnego dnia nie miałem powodu, by odwiedzać Mavena. Zastanawiam się: albo zerwę kilka stokrotek i mimo wszystko zaniosę mu je do biura, albo zrobię sobie wolne od jego gęby. Niełatwy wybór, ale zostałem w domu.

Narąbałem trochę drewna i rozwiózłem je do innych chat. Podczas pierwszego kursu zatrzymałem się za zakrętem, żeby zobaczyć, gdzie nocuje Dave. Wybrał gęstą grupkę niskich sosen. Ledwo było stąd widać drzwi do mojego domku.

Wróciłem do stosu drewna. Dobrze było pomachać siekierą, ale nie zapomniałem przez to o kłopotach. Kiedy ładowałem do półciężarówkę resztę polan, kątem oka dostrzegłem coś, co wyglądało jak blond włosy. Ale to tylko jeleń przemykał przez chaszczę. Długą chwilę stałem z rękoma na pniaku, nim znów mogłem się ruszyć.

Zadzwoiłem do biura Uttleya.

- Masz zmęczony głos - zauważył.

- Ty również nie wydajesz się zbyt rześki. Odezwał się ktoś z więzienia?

- Właśnie z nimi rozmawiałem. Ktoś poszedł sprawdzić to osobiście. Jeszcze nie oddzwonił.

- Powiedziałeś, że chciałbym go odwiedzić?

- Alex, ten człowiek do ciebie strzelał. Facet z więzienia uważa, że te odwiedziny to bardzo kiepski pomysł.

- Nie przejmuj się - odparłem. - Co może mi zrobić w więzieniu?

- Alex, to po prostu... niezdrowe.

- Wiesz, co jest niezdrowe? To, że ktoś zabija ludzi i pisze mi o tym miłosne liściki.

- Ale to nie może być Rose. Dobrze wiesz. Człowiek nie może przebywać w dwóch miejscach jednocześnie.

- A jeśli ma brata bliźniaka?

- Co? Mówisz poważnie?

- Tylko głośno myślę. Co, jeśli ten brat bliźniak siedzi w więzieniu, a prawdziwy Rose tu się kręci?

- Gdyby miał brata bliźniaka, to po co w ogóle... nieważne. Nie wiem nawet, co powiedzieć.

- Przepraszam. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale muszę od czegoś zacząć.

- Posłuchaj, spróbuję dotrzeć do jakichś jego akt. Aktu urodzenia, ocen szkolnych, czegokolwiek... I dam ci znać, kiedy tylko oddzwonią z więzienia, dobrze?

- Dobrze - odparłem. - Dzięki, że poprawiłeś mi humor.
- Może to będzie ta noc - powiedział Uttley. - Może on wreszcie się zjawi.
- Mam nadzieję. To pewnie wydaje się dziwne, ale to jedyny morderca, z którym naprawdę chcę się spotkać.

I znów noc. Znów czekaliśmy, Dave w samochodzie, ja w chacie. Jak długo tak można? Jeśli ten facet chciał mnie torturować, to znalazł dobry sposób. Zmusił mnie, żebym siedział całą noc jak na szpilkach.

Wiatr zaczął się wzmacniać, ale w końcu ucichł. Staralem się nie myśleć za dużo o przeszłości. Nie chciałem znów sobie tego przypominać. Nie chciałem znów patrzeć w oczy Rose'a. Ale czyje inne oczy mogłem ujrzeć o drugiej nad ranem, leżąc na łóżku i czując w ręku ciężar rewolweru?

I nagle zobaczyłem światło. Omiotło całą ścianę. Reflektory samochodu.

Sięgnąłem po walkie-talkie, wcisnąłem guzik i odezwałem się chrapliwym szeptem:

- Dave. Samochód.

Cisza.

- Dave, zgłoś się.

Nic.

- Cholera jasna, Dave! Jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi. Usłyszałem trzask drzwiczek samochodu. I kroki. Zacisnąłem obie dłonie na rewolwerze. Kroki ucichły.

Zacząłem skradać się do drzwi. Podłoga zaskrzypiała mi pod stopą. Zamarłem.

Słyszałem tylko własny oddech i bicie serca. Co on tam robi?

I nagle: Bum! Serce podskoczyło mi do gardła. Bum! Ktoś walił do drzwi tak, jakby chciał je rozwalić. Oparłem się o ścianę. Przy następnym uderzeniu na pewno wyskoczą z zawiasów. Bum! Czulem, jak cała chata drży.

A potem usłyszałem ryk w ciemności:

- McKnight! - Ten ktoś był bardzo blisko. Prawie czulem ciepło jego oddechu przez drzwi. - Wyłaż, McKnight!

Szybko rozważyłem wszelkie ewentualności. Siedzieć cicho i czekać, co zrobi? Otworzyć drzwi i go zaskoczyć? A jeśli jest uzbrojony? Czy jestem gotów strzelić? A niech to wszyscy diabli, czy tym razem zdołam do niego strzelić?

Sprawdziłem rewolwer. No dobra, ty cholerny porąbańcu. Dość tego. Otwieram drzwi, i to już. A jeśli zobaczę, że masz broń, strzelam prosto między oczy. Na trzy. Raz. Dwa...

- Stój! - Inny głos. Z zewnątrz. - Na ziemię! Ręce za głowę! Na ziemię! Już! Kładź się!

Otworzyłem drzwi. Na progu leżał twarzą do ziemi jakiś mężczyzna. Dave stał nad nim, mierząc do niego z rewolweru.

- Panie McKnight, proszę odłożyć broń!

Stałem bez ruchu.

- Panie McKnight! Proszę odłożyć broń!

Spojrzałem na swoją rękę. Rewolwer drżał. Obróciłem go lufą w dół.

- Nic panu nie jest?

- Co?

- Nic panu nie jest, panie McKnight?

- Nie - uspokoilem go. Popatrzyłem na człowieka leżącego na ziemi. Ledwo dyszał. Nie widziałem jego twarzy. - Gdzie byłeś? Wołałem cię przez krótkofalówkę.

Dave wciąż mierzył w intruza.

- Nie słyszałem pana - wyjaśnił.

Nie odrywałem wzroku od leżącego mężczyzny.

- Wsparcie jest w drodze - oznajmił Dave. A potem krzyknął do mężczyzny: - A ty leż! Ani drgnij!

Mężczyzna stęknął.

Wyglądał jakoś znajomo. Te włosy.

- Chwileczkę. - Pochyliłem się, żeby mu się przyjrzeć.

- Panie McKnight, proszę się do niego nie zbliżać!

- Wszystko w porządku, Dave. - Szarpnąłem mężczyznę za rudą czuprynę i podniosłem jego głowę do światła. - Znam go.

- Niech cię jasna cholera, McKnight - wybełkotał.

Był pijany.

- Dave - powiedziałem. - Poznaj pana Leona Prudella.

- Chyba cholernie się mnie boisz, McKnight - bełkotał. Z ust kapą mu ślina. - Załatwiłeś sobie ochronę policyjną na wypadek, gdybym się pojawił?

- Tak, tak, Prudell. Bałem się, że swoim podbródkiem znów posiniaczysz mi pięść.

Żałosne pijane dupsko Prudella zaciągnęli na posterunek. Nie było mi go żal. Uznałem, że zasłużył na co najmniej kilka godzin z Mavenem.

Około dziesiątej wpadłem do biura Uttleya. Pieklił się, rozmawiając przez telefon. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, był rozczochrany.

- Dłużej nie dam rady! - zawołał do mnie. - Wszystko się tu sypie. Tracę klientów. Pamiętasz tego faceta z parkingu z przyczepami? Nie odebrałem kilku telefonów od niego, więc znalazł sobie innego prawnika.

- Nie wyglądasz dobrze - stwierdziłem.

- Mam nadzieję, że nie gorzej niż ty - burknął.

- Powinieneś chyba zajrzeć dziś na posterunek. Mają tam twojego człowieka, Prudella.

- To zdecydowanie nie jest mój człowiek - zaprzeczył Uttley. - Co zrobił?

- W nocy dobijał się do mojej chaty. Zdaje się, że chciał dokończyć rozmowę z zeszłego tygodnia.

- Och, na litość boską - jęknął Uttley. - Ten wariat naprawdę uważa, że stracił pracę przez ciebie?

- On nie ma roboty, a ja tak - zaznaczyłem. - Tylko to go obchodzi.

- Co za dupek! I pewnie Maven teraz myśli, że to on jest naszym zabójcą? Bo próbował dorwać cię w nocy?

- Przez jakieś pięć minut rzeczywiście tak myślał - przyznałem. - Ale wytłumaczyłem mu wszystko.

- To dlaczego wciąż siedzi w areszcie?

- Chyba musi wytrzeźwieć - stwierdziłem.

- No i dobrze, niech posiedzi. Boże, co za kretyn.

Wybuchnęliśmy śmiechem. To był nerwowy śmiech, człowiek śmieje się tak, kiedy nie prześpi kilku nocy i nie wytrzyma napięcia.

- A co w sprawie Rose'a? - zapytałem.

Uttley podniósł notatnik i przez dłuższą chwilę wpatrywał się weń przekrwionymi oczami.

- Maximilian Rose, urodzony w 1959 roku. - Zerknął na mnie. - Nie ma brata bliźniaka. Skazany w grudniu 1984 roku. Dożywocie plus dwanaście lat. Bez możliwości zwolnienia warunkowego. Mówiłem ci, że wczoraj rozmawiałem ze strażnikiem z Jackson. Trochę to trwało, zanim zrozumiał sytuację.

- Miał zdjęcie? Fotkę z akt albo coś, dzięki czemu można by zidentyfikować Rose'a?

- Tak, miał. Powiedział mi, że osobiście poszedł do jego celi i dokładnie sprawdził. Jego zdaniem człowiek w celi to Maximilian Rose.

- A co z prośbą o wizytę?

Uttley spojrzał na mnie i westchnął.

- Strażnik przekazał tę prośbę.

- I?

- I Rose nie chce nikogo widzieć.

- Co? Żartujesz?

- Ma do tego prawo - odparł. - Jeśli nie chce, nie musi się z nikim spotykać.

- Nie możemy go zmusić?

- My niestety nie. Ale policja pewnie by mogła.

- Świetnie. Maven będzie zachwycony.

- Nie wiem, co jeszcze da się zrobić.

- Mogę porozmawiać z tym facetem? Ze strażnikiem?

- Jeśli naprawdę chcesz... - westchnął Uttley. - Wydawał się przyzwoitym człowiekiem. Ale na jak długo starczy mu cierpliwości?...

- Może powinienem dać sobie spokój? - Zamyśliłem się. Przecież to jakieś szaleństwo, nie?

Uttley usiadł za biurkiem i spojrzał w sufit.

- Sam już nie wiem, Alex, co jest szaleństwem, a co nie.

I znów zatrzymałem się przy restauracji Angelo. Właściciel już otworzył lokal. Zamiatał właśnie podłogę, kiedy wszedłem i zamówiłem pizzę. Był tu tej nocy, kiedy popełniono morderstwo, ale nie przypominał sobie niczego niecodziennego. Siedziałem przy małym stoliku, może na tym samym krześle, na którym siedział morderca - Rose czy jak tam się nazywał. Był tu też Vince Dorney, może stał tam przy toaletach i rozmawiał przez telefon, pomyślałem. Zabójca podsłuchuje rozmowę Dorneya, wydaje mu się, że słyszy coś o mikrofalach. Czy nie o tym napisał w liście? Uznaje, że Dorney jest groźny, że trzeba go wyeliminować. Ale jak go zwabił na tyły knajpki? Właściciel lokalu nie miał pojęcia. W ogóle nie chciał się nad tym zastanawiać.

Kilka godzin później wciąż byłem w mieście. Siedziałem na masce mojej półciężarówce zaparkowanej przy Portage Street i patrzyłem na wielkie jezioro, rozmyślając o poprzedniej nocy. Dave nie słyszał, że go wołałem, bo krótkofalówka nie była w ogóle włączona. Nie zauważył tego? Ze nic nie trzeszczy w głośniku?

A potem, kiedy Prudell zaczął walić w drzwi, chwyciłem rewolwer. Co by się stało, gdybym otworzył, zanim przybiegł Dave? Zastrzeliłbym go? Prudell mógł nie żyć. Co się ze mną dzieje?

I dlaczego, na Boga, Rose nie chce mnie widzieć? To nie ma sensu. Chyba... chyba że w celi nie siedzi Rose. I ten facet boi się, że ja to odkryję.

Posłuchaj sam siebie, Alex. Posłuchaj, co wygadujesz.

Ale jak inaczej to wyjaśnić? Tylko Rose mógł napisać ten list.

Przestań. Przestań.

Od zachodu nadciągnęły ciemne chmury. Wiatr zaczął się wzmagać. Smagnął mnie w twarz, aż pociekły mi łzy.

Przez kilka godzin jeździłem bez celu po okolicy i w końcu dotarłem na kolację do Glasgow Inn. Nie chciałem na razie wracać do chaty. Wzdrygałem się na myśl o kolejnej długiej nocy.

Kiedy wszedłem, Jackie stał za barem.

- Co się z tobą, u diabła, dzieje? - zapytał. - Wyglądasz gorzej ode mnie, a to już fatalnie.

- Długa historia, Jackie. Ale bez piwa nic ci nie powiem. Otworzył mi canadiana.

- Wczoraj wieczorem pytało o ciebie parę osób.

- Między innymi pewnie Leon Prudell.

- Tak, zjawiał się późno. Oznajmił, że musi się z tobą rozprawić. Wypił whisky za dobre dwadzieścia dolców i sobie poszedł. Zawyżam mu ciągle rachunki, a on niczego nie zauważa.

- Kto jeszcze o mnie pytał?

- Ten, no, szef policji z Soo.

- Roy Maven?

- O właśnie. Chciał wiedzieć, jak często tu bywasz, z kim się zadajesz.

Podniosłem butelkę.

- Za Roya Mavena. - Wzniosłem toast.

- To powiesz mi w końcu, co się dzieje, czy nie?

- Zawołaj swojego syna nicponia, żebyśmy mogli sobie spokojnie usiąść przy stoliku. Mówiłem ci, że to długa historia.

Syn Jackiego wystawił głowę z kuchni. W ręku trzymał telefon.

- Jest tu pan McKnight?

- To zależy, kto pyta - odparłem.

- Zna pan Theodorę Fulton? Sądząc po głosie, ma ochotę pana udusić.

Zerwałem się ze stołka barowego i chwyciłem telefon.

- Pani Fulton?

- Alex! Na Boga, gdzie ty się podziewasz? Wydzwaniam do ciebie od dwóch godzin.

- Spokojnie, pani Fulton. Jakiś problem?

- Edwin!

Poczułem w brzuchu ukłucie, zimne, bezlitosne.

- Co Edwin? Co się stało?

- Wiedziała, że do tego dojdzie. Miała takie koszmarne przeczucie, kiedy obudziłam się dziś rano.

- Pani Fulton, do czego doszło?

- Nie ma go... Powiedział, że niedługo wróci. Ale nie wrócił. Alex. On... - Głos jej się załamał, kiedy usiłowała opanować panikę. - Nie ma go, Alex. Edwin zniknął.

Rozdział 11

PANI FULTON CZEKAŁA W DRZWIACH, kiedy dojechałem do ich domu. Szarpnęła mnie za poły kurtki i wciągnęła do środka.

- Czemu, na Boga, to tyle trwało? - pytała, pchając mnie na kanapę. - Dzwoniłam do ciebie dwadzieścia minut temu. - Nie usiadła obok. Stała i patrzyła na mnie z góry.

- Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. - Nie zamierzałem dyskutować, że minął dopiero kwadrans. - Proszę powiedzieć mi dokładnie, co się stało.

- On... - zaczęła. - Mój syn zniknął.

- Jak to zniknął? Kiedy wyszedł?

- Około południa. Powiedział, że musi na chwilę wpaść do biura. Obiecał, że wróci na kolację.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła siódma.

- Nie jest jeszcze tak późno - stwierdziłem. - Dopiero robi się ciemno.

- Nie, nie - zaprotestowała. - On zawsze wraca na czas. Edwin zawsze wraca na kolację. Powinien tu być już dwie godziny temu.

- Jestem pewien, że wszystko z nim w porządku. Dzwoniła pani do biura?

- Oczywiście, że tak. - Zaciśnęła prawą dłoń w pięść i potarła nią lewą dłoń, jakby przygotowała się do walki.

- W takim razie prawdopodobnie jest już w drodze do domu.

- Dzwoniłam tam o piątej trzydzieści. Nie rozumiesz? Powinien już tu być!

Chwyciłem ją za ręce i pociągnąłem na kanapę.

- Pani Fulton, proszę się uspokoić. Na pewno istnieje jakieś rozsądne wytłumaczenie.

- Nie powinien był wychodzić z domu. Powinien był zostać. To zbyt niebezpieczne.

- Nie, pani Fulton, nie. Nie można tak myśleć.

- Pokłócił się z nią - powiedziała. Jej głos stał się chłodny. - Wydzieriała się na niego. Słyszałam. Dlatego musiał wyjść. Musiał od niej uciec.

- Pokłócił się z Sylwią?

- Tak. Ta kobieta wypędziła go z domu.

- No to teraz rozumiem, dlaczego jeszcze nie wrócił.

- Jak to?

- Pewnie siedzi w jakimś barze.

- Tak sądzisz? - W końcu usłyszałem promyk nadziei w jej głosie.

- Oczywiście. Gada z barmanem i wylewa przed nim swoje żale. Wie pani, próbuje zrozumieć kobiety. Każdy mężczyzna przez to przechodzi.

Za sobą usłyszałem głos:

- Jest w kasynie.

Odwróciłem się i zobaczyłem Sylwię.

- Skąd wiesz? - zapytałem.

- Bo powiedział mi, że tam się wybiera - wyjaśniła. Nie wiedziałem, co wyraża jej mina: złość, satysfakcję czy coś jeszcze. - O to się właśnie pokłóciliśmy.

Pani Fulton patrzyła na nią. Po raz pierwszy wyczułem napięcie między nimi.

- Edwin powiedział mi, że skończył z hazardem - zaprotestowała.

- Każdemu to mówił - sarknęła Sylvia. - Tylko kwestią czasu było, kiedy do tego wróci. Potrzebował dreszczyku. Nie mogłam go powstrzymać.

- W którym jest kasynie? - zapytałem.

- Zaczyna w jednym, a potem, kiedy szczęście mu nie sprzyja, przenosi się do innego. Dobrze wiesz. Już kiedyś go stamtąd wyciągałeś.

- Alex - zwróciła się do mnie pani Fulton. - Potrafisz go znaleźć? Robiłeś to już?

- Tak - odparłem, patrząc na Sylwię.

Przypomniałem sobie, jak ostatnio pojechałem go szukać. Była letnia noc, ciepła jak nigdy nad jeziorem. Sylvia chciała, żebym spędził tę noc z nią, żebyśmy wykorzystali tę rzadką okazję, żeby razem zasnąć i obudzić się w jednym łóżku. On nie wróci, mówiła mi. Wiesz, że nie będzie go całą noc. A nawet jeśli wróci, to co? Najwyżej się dowie. Może to wcale nie będzie takie straszne.

Powiedziałem jej, że czas najwyższy to skończyć. A wtedy ciepła noc stała się jeszcze cieplejsza.

- Proszę, jedź poszukać Edwina. Zrobisz to dla mnie? Proszę - błagała pani Fulton.

- Tak. Poszukam go.

Do domu wszedł Uttley. Dlaczego zawsze pojawia się pięć minut po tym, kiedy naprawdę mógłby się przydać?

- Co się dzieje? - zapytał. - Alex, nie powinieneś być u siebie w chacie?

- Edwin zniknął - wyjaśniła pani Fulton. - Alex jedzie go odnaleźć.

- Wszystko w porządku - uspokoilem Uttleya. - Jest w kasynie.

- Wydawało mi się, że...

- Wiem - przerwałem mu. - Okazało się, że ma nawrót. To zupełnie normalne.

Pojadę po niego, a potem możemy wszyscy zacząć go naciskać, aż w końcu przyzna, że ma problem i potrzebuje pomocy.

- Pojechać z tobą? - zapytał Uttley.

- Nie, zostań. Zaparz może herbaty pani Fulton. To nie potrwa długo. Kasyn w okolicy jest przecież tylko kilka.

- Mavenowi się to nie spodoba - zauważył.

- Mavenowi nie podoba się nic, co robię, więc to bez znaczenia. Wychodząc, chwyciłem Sylwię za łokieć i pociągnąłem do przedpokoju.

- Cholera jasna - syknąłem. - Co się z tobą dzieje?

- Puść mnie - zażądała. Jej zielone oczy płonęły złością.

- Dlaczego pozwoliłaś mu iść do kasyna?

- Mówiłam już, że próbowałam go zatrzymać. A zresztą, czy to ważne? Tobie wszystko jedno, co się z nim stanie.

- Dlaczego wciąż tu tkwisz? - zapytałem. - Dlaczego nie powiesz mu, że chcesz odejść, wrócić do domu w Grosse Pointe?

- Naprawdę chcesz, żebym odeszła? Chyba nie.

- To o to chodzi? Każesz mu tu siedzieć, bo myślisz, że wciąż mamy szansę? No, jeśli tak...

- Proszę cię - przerwała mi. - To takie żalosne. I takie oczywiste. To ty nie możesz tego odżalować, Alex. Widać to jak na dłoni.

- Jak sobie chcesz, Sylvio. A teraz wybacz, jadę szukać twojego męża.

Odwrociłem się, a ona chwyciła mnie za ramię.

- Alex - odezwała się niskim, spokojnym głosem. Gniew wyparował z niej w jednej chwili. Czulem zapach jej perfum. Wiedziałem, że będzie mnie prześladował całą noc. - Co się dzieje? Dlaczego ona się tak denerwuje, że nie ma Edwina?

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać - odparłem.

- Coś mu grozi? Powiedz mi prawdę.

- Obiecałem jej, że go tu sprowadzę. I zamierzam dotrzymać słowa.
- Twoje obietnice nic nie znaczą - stwierdziła bez złości, jakby konstatowała oczywisty fakt. - Sama wiem o tym najlepiej.

Najpierw pojechałem do Bay Mills Casino, gdzie Edwin najbardziej lubił grać w blackjacka. Po drodze zadzwoniłem do Mavena. Nie było go w biurze, więc zostawiłem mu wiadomość, że nie będzie mnie w chacie. Jeśli chce, może kazać policjantowi czuwać przy moim telefonie. Dave ma klucz. Przez jedną noc może mnie zastąpić.

Nawet się ucieszyłem, wyobrażając sobie, jak Maven się wkurzy, kiedy odsłucha wiadomość. Byłem pewien, że Edwin siedzi przy stoliku do blackjacka i błyskawicznie traci pieniądze. Nie miał pojęcia, jak się w to gra. Kiedyś widziałem, jak dobrał dwie siódemki, kiedy krupier pokazał szóstkę. Nie rozdzielił kart. I nie odczekał. Dobrał tę czternastkę i się przewiózł. Nawet najbardziej uzależnieni hazardziści przynajmniej dają sobie od czasu do czasu szansę na wygraną.

Byłem pewien, że siedzi w kasynie. Albo w jakimś barze. Tak jak powiedziałem jego matce. A te wstrętne mrówki przerażenia wędrujące po moich plecach to tylko wytwór mojej przegrzanej wyobraźni. Bóg jeden wie, że miała prawo się przegrzać.

Kasyno znajduje się na terenie rezerwatu Bay Mills, kawałek na północ od Brimley. Od frontu nie wisi wielki szyld, nie skrzy się światłami. Na zewnątrz obite jest cedrowymi deskami, w środku pod wysokim sufitem ciągną się drewniane belki i wirują wentylatory. Bay Mills nie wygląda jak kasyno, na pewno nie takie jak w Vegas czy Atlantic City, gdzie od progu próbuje się gościa oszołomić i nakłonić, by został. Tylko szum jest taki sam, ten niepowtarzalny szum kasyna, który słychać od razu, kiedy wejdzie się do środka. Jednoręcy bandyci ze swoją płytką elektroniczną muzyką, monety brzęczące na metalowych tacach, co kilka sekund wygrana gdzieś na sali. Stukot ruletki, która kręci się coraz wolniej i wolniej, aż w końcu się zatrzymuje. Krupierzy wykrzykujący każdą wymianę pieniędzy na żetony, odpowiedzi kierowników stołów. Tysiące głosów jednocześnie błagają o właściwą kartę czy ruch koła ruletki; ludzie świętują, przeklinają, wygrywają, przegrywają. Trzeba postać w sali kilka minut, żeby cały ten szum nabrał sensu. Wtedy zaczyna człowieka wzywać. Dziś jest twoja noc, słyszysz? Dopóki jesteś w tej sali, nic ci nie grozi. Jesteś lepszy niż inni, sprytniejszy, masz więcej szczęścia. Zasługujesz, żeby zwyciężyć.

Ktoś taki jak Edwin jest tu bez szans.

Działało około dwudziestu stołów do blackjacka. Przy każdym stał Indianin ze szczepu Bay Mills i rozdawał karty z zimną precyzją. Nigdzie nie widziałem Edwina. Zawołałem jednego z kierowników stołów i zapytałem, czy był tu pan Fulton. Wiedziałem, że musi znać to nazwisko.

- Dopiero przyszedłem - odparł. - Popytam innych.

Czekając, obserwowałem rozdania blackjacka. Przy stołach siedzieli ludzie z głębi stanu. Dziwna mieszanina. Jeden z graczy miał na sobie ubranie, jakie widuje się już tylko w kasynach: poliestrową niebieską sportową kurtkę, krawat szeroki jak szczytce homara. No i na palcu odpustowy sygnet. Facet obok niego wyglądał, jakby właśnie wyszedł z lasu: obowiązkowe pomarańczowe spodnie i kurtka, na plecach przypięta licencja myśliwego. Obaj przesuwali po stole góry żetonów i jak zahipnotyzowani wpatrywali się w karty. Zastanawiałem się, czy wzbogacają tu powietrze w tlen, tak jak w Vegas, żeby gracze nie męczyli się zbyt szybko.

Wrócił kierownik stołu.

- Pan Fulton był u nas. Wyszedł jakieś dwie godziny temu. Ale przedtem urządził małe przedstawienie.

- Och, pięknie. Chyba nie wyrzuciliście go przez okno? Nie żebym was ganił.

- Nie mam pojęcia. Tak jak mówiłem, dopiero przyszedłem.

- Jest może Vinnie LeBlanc? Czerwone Niebo? Przepraszam, nie wiem jak tu się przedstawia. Mieszkamy po sąsiedzku.

- Czerwone Niebo? Ciekawe, czy słyszał tę ksywę. Nie, chyba zrobił sobie przerwę na kolację. Powinien niedługo wrócić.

Podziękowałem mu i wyszedłem. Nabrałem głęboko w płuca nocnego powietrza. W głowie wciąż buzował mi szum kasyna. Od zachodu smagnał mnie zimny wiatr; zwiastował deszcz.

Pędziłem po Six Mile Road w stronę miasta, licząc na to, że depczę Edwinowi po piętach w trakcie jego rundki po kasynach. Nim dotarłem na miejsce, zadzwoniła moja komórka. Domyślałem się, kto to, a jednak odebrałem.

- McKnight, co się z tobą, u diabła, dzieje?

- Szef Maven, co za miła niespodzianka.

- Miałeś siedzieć w swojej chacie.

- Niedługo się tam zjawię. Najpierw muszę odszukać Edwina.

- Cholera jasna, McKnight, jesteście parą pedziów czy co?

- A co, zmartwiło cię to, szefie? Ze już jestem zajęty?

- Pieprz się, McKnight.

- Ja też życzę dobrej nocy, Maven.

Dojeżdżałem właśnie do kasyna. Rozłączyłem się, nim Maven zdążył odpowiedzieć.

Kewadin Casino mieści się w Soo na niewielkim skrawku ziemi należącym do szczepu Sault. Ci Indianie należą do plemienia Chippewa, tak jak szczep Bay Mills, ale mniej hołdują tradycjom i są mniej drobiazgowi w kwestii czystości krwi. Z całą pewnością mieli też mniej zahamowań, kiedy budowali kasyna. Kewadin jest potężne, a od frontu ozdabiają je wielkie trójkąty przypominające tipi. Ten cholerny przybytek hazardu widać z odległości piętnastu kilometrów. Jest tu też czterogwiazdkowy hotel, co wieczór muzyka na żywo i takie tam.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziewiąta. No dobrze, Edwin, na pewno gdzieś tu jesteś, „wywalili cię z jednego kasyna, a trzeciego w mieście nie ma. Poszedłem wzdłuż rzędów stołów do blackjacka. Wiedziałem, że muszę obejść je wszystkie, nawet te ze stawkami po pięć dolarów, bo tam lubił zaczynać, żeby przekonać się, jak mu idzie karta. Kiedyś powiedziałem mu, że równie dobrze po drodze do kasyna mógł wyrzucać pięciodolarówki przez okno samochodu. Efekt byłby taki sam.

Nigdzie go nie zauważyłem. Zerknąłem na stoły do ruletki i do kości. Czasami z desperacji i tu próbował sił, ilekroć potrzebował adrenaliny. Ale i tu go nie było.

Nie wiedziałem, co robić. Krążyłem między dwiema wielkimi salami, jeszcze raz przyglądając się dokładnie stołom do blackjacka. Zwolniłem przy wyścigach konnych i długą chwilę patrzyłem na graczy. Wokół stołu zgromadziło się ich około dwudziestu; obsiedli wszystkie krzesła i obserwowali, jak małe mechaniczne konie pędzą po torze wyścigowym. Konie miały najwyżej pięć centymetrów wysokości, napędzały je prawdopodobnie magnesy pod stołem, a mimo to gracze krzyczeli, jakby oglądali Derby Kentucky. W każdą inną noc na pewno bardzo by mnie to rozbawiło.

Wsiadłem do półciężarówki i wróciłem do Bay Mills Casino, licząc na to, że tym razem złapię Vinniego. Zauważyłem go przy jednym ze stołów do blackjacka. Przysiadłem się. Kobieta obok mnie miała niezłą kupkę pięciodolarowych żetonów. Jej mąż stał nad nią, najwyraźniej gotów służyć radami eksperta.

- Witaj, Alex - rzucił Vinnie, nie odrywając wzroku od kart. - Miło cię widzieć. Przeszedłeś nas wyrzucić?

- Nie zamierzam szkodzić nikomu w tym lokalu - uspokoiłem go. - Bo zostałbyś bez pracy. Szukam tylko Edwina Fultona. Jeden z kierowników stołów powiedział mi, że był tu w porze kolacji. Widziałeś go może?

Uśmiechnął się i przewrócił oczami.

- O tak, widziałem - odparł. Wydał dwie karty kobiecie i czekał na jej decyzję. Mąż pochylił się nad nią i poradził, żeby dobrała kartę. Machnęła na niego, jakby odganiała natrętną muchę.

- O której wyszedł, około szóstej?

- Jakoś tak. W nie najlepszym nastroju. - Kiedy kobieta podziękowała za kartę, jej mąż wznosił ręce do góry. Vinnie odwrócił swoje karty, dobrał kartę do piętnastki i zrobił furę. Podsunął kobiecie żetony. Mąż masował jej barki. - Alex, może zagrasz przynajmniej partyjkę, skoro i tak rozmawiamy? Mam przez ciebie kłopoty.

Podsunąłem mu dziesięciodolarówkę.

- Daj mi dwa żetony.

- Aż tyle, Alex? Chyba muszę poprosić kierownika o więcej żetonów.

- Dowcipny z ciebie człowiek, Indianinie. - Uśmiechnąłem się. - Powiedz mi, co się stało.

- To, co zawsze - odparł, rozdając karty. - Przegrał górę kasy, wypił morze alkoholu, zrobił się nieprzyjemny, więc go wywaliliśmy.

- O tym już słyszałem.

- Cóż, gdyby nie to, że przegrywa u nas górę kasy, to w ogóle byśmy go tu nie wpuszczali.

- Wiesz, dokąd pojechał? Mówił może, że wraca do domu, albo w ogóle cokolwiek?

- Nie wiem. Proponowali mu taksówkę, żeby nie musiał prowadzić. Twierdził, że czeka na niego szofer.

- Przecież on nie ma szofera - zdziwiłem się.

- Też tak pomyślałem. Chyba po prostu próbował zaszpanować.

- W porządku. Dzięki, Vinnie.

- Chcesz mu pomóc? Kiedy następnym razem najdzie go ochota na blackjacka, zamknij go w jego pokoju. No to co, bierzesz kartę czy nie?

Podwoiłem stawkę przy siódemce i czwórce, potem dobrałem dziesiątkę i? Oczko!

- Wygląda na to, że idzie ci karta - zagaił Vinnie, wypłacając mi żetony.

Oddałem mu je. Musiałem się stąd wynieść i poszukać Edwina, gdziekolwiek był. Wiedziałem, że nie zasnę, póki go nie znajdę, póki się nie upewnię, że siedzi bezpiecznie w domu ze swoją cholerną żoną, tam gdzie jego miejsce.

- Masz rację - powiedziałem do Vinniego, wstając od stołu. - To moja szczęśliwa noc.

Rozdział 12

SIEDZIAŁEM W PÓLCIEŻARÓWCE NA PARKINGU przed Bay Mills Casino i patrzyłem na frachtowiec zacumowany po drugiej stronie zatoki. Idzie chyba wielka burza, pomyślałem. Chcą ją przeczekać, nim ruszą w ostatni rejs sezonu.

Oni przynajmniej mają powód, żeby siedzieć beczynn timer. I mniej więcej wiedzą, kiedy wyruszą dalej w drogę.

Wziąłem do ręki komórkę. Rozjarzyła się w ciemności upiornym zielonym światłem. Jeśli zadzwonię do Fultonów i okaże się, że Edwin wrócił, będę mógł skończyć z tym absurdem i jechać do chaty. Tyłek skopię mu dopiero jutro. Ale jeśli zadzwonię, a jego nie będzie, to pani Fulton zdenerwuje się jeszcze bardziej.

Uttley, proszę, odbierz ten telefon. Nie odebrał.

- To ty, Alex? Znalazłeś go? - usłyszałem głos pani Fulton.

- Jeszcze nie, pani Fulton, ale niedawno był tu w kasynie. Na pewno nic mu nie jest.

- Gdzie jest teraz?

- Prawdopodobnie w drodze do domu. Ale na wszelki wypadek wpadnę jeszcze w kilka miejsc.

- Mam złe przeczucie, Alex. Mówiłam ci już? Naprawdę chciałabym, żebyś go jak najszybciej odszukał.

- Pani Fulton, proszę mi wierzyć, nie ma powodów do niepokoju - uspokajałem ją. - Czy mogłaby pani dać mi do telefonu pana Uttleya?

- Dlaczego chcesz z nim rozmawiać? - zainteresowała się. - Jest coś, czego nie chcesz mi powiedzieć?

- Ależ nie, pani Fulton.

- Coś się stało, prawda? - Władczy głos zaczął jej się w końcu łamać.

- Nie, pani Fulton. Przysięgam, że wszystko w porządku. Po prostu chcę zamienić z Lane'em słówko.

- Alex - usłyszałem głos Uttleya. - Co się dzieje?

- Lane, następnym razem ty odbierz telefon, dobrze? - powiedziałem, kiedy ochłonąłem.

- Oczywiście, Alex. Przepraszam, ubiegła mnie.

- Masz moją komórkę, prawda? Zadzwoń do mnie, jeśli Edwin wróci. Jadę sprawdzić jeszcze kilka lokali.

Nie paliłem się do tego, ale też nie miałem wyboru. Wiedziałem, że Edwin siedzi pewnie gdzieś w barze i uzala się nad własnym losem. Cała ta gadka o nowym życiu... ile to trwało? Tydzień? Niech idzie w diabły, pomyślałem. Niech rano przywlecze się do domu, a wtedy powinienem kazać mu znaleźć numer telefonu do Anonimowych Hazardzistów. Ale nie mogłem tego zrobić. Obiecałem pani Fulton, że go znajdę.

I to przecucie. Te mrówki chodzące mi po plecach. Miałem nadzieję, że to minie, ale nie minęło.

Wpadłem do dwóch barów w Brimley. Potem wróciłem na wschód w stronę Soo i zatrzymałem się pod Tawerną Marynarza. Wiedziałem, że bywał tu, kiedy obstawiał u Tony'ego Binga. W knajpie kłębił się sobotni tłumek, ale Edwina - ani śladu.

W Sault Ste. Marie jest ze dwadzieścia barów. Przepatrzyłem wszystkie, jakie znałem. Znalazłem nawet kilka nowych. Najpierw wypatrywałem na parkingu srebrnego mercedesa Edwina, po czym zaglądałem do środka, bo a nuż zostawił samochód Bóg wie gdzie. Sam tak robiłem kilka razy w Detroit, kiedy już odszedłem ze służby, a żona mnie rzuciła. Zaczynałem w jednym barze, piłem, aż w końcu bar przestawał mi pasować i przenosiłem się do innego. Brnąłem przez ciemność, orientując się na kolejny jaśniejszy neon. I tak niemal do rana. Następnego dnia musiałem szukać swojego wozu.

Kiedy sprawdziłem wszystkie bary w Soo, znów wpadłem do Kewadin Casino i zlustrowałem każdy stół. Pytałem pracowników, czy go widzieli, ale kręcili głowami. Nie widzieli.

Nagle przyszło mi do głowy, żeby pojechać do St. Ignace i sprawdzić tamtejsze kasyno. Jechałem dobrą godzinę na południe, ale przynajmniej coś robiłem. Międzystanówką 1-75 dotarłem do hrabstwa Mackinac. O tej porze, prawie o północy, na drodze było właściwie pusto. Zobaczyłem tylko jeden samochód z jeleniem przywiązany na pace. Kiedy go mijałem, spojrzały na mnie martwe ślepia. Od strony pasażera mignął mi czubek żarzącego się papierosa.

Znalazłem kasyno w St. Ignace, kolejny lokal prowadzony przez Indian Sault. Obszedłem wszystkie stoły, mrugając, bo raziło mnie ostre światło, i przekląłem sam siebie, że zmarnowałem tyle czasu. Co za głupi pomysł! Wsiadłem do półciężarówki i ruszyłem z powrotem do Soo. Kolejna godzina jazdy, przy coraz mocniejszym wietrze. Od strony jeziora nadchodziła burza.

Boże, ależ jestem zmęczony. Po co ja to w ogóle robię?

Oczy mnie piekły. Czułem się tak, jakby ktoś uderzył mnie workiem z piaskiem. Ale musiałem znaleźć Edwina. Nie tylko z powodu pani Fulton, ja sam chciałem się upewnić, że nic mu nie jest.

Zadzwoił telefon. Uttley.

- I co, Alex, wpadłeś na jakiś ślad? - zapytał.

- Jeszcze nie - odparłem. - Ale będę szukał dalej. Co z panią Fulton?

- Chyba w końcu zasnęła. Nie, czekaj, słyszę ją. Muszę kończyć. Powodzenia, Alex.

Znów zajrzałem do Kewadin Casino. W końcu i tak jest czynne całą noc. Mógł tu przecież wrócić. Tym razem ludzie zaczęli na mnie dziwnie patrzeć. Chyba przypominałem bezpańskiego psa, który wciąż krąży wokół tego samego miejsca.

Bary kończyły pracę, ale wiedziałem, że w Kanadzie jest kilka lokali otwartych dłużej. Zapłaciłem za przejazd i przejechałem przez most. Teraz odprawa celna. Celnik, jak zwykle, pytał o to samo. Nie, nie mam w samochodzie narkotyków ani broni palnej. Nie powinienem zabawić w Kanadzie dłużej niż godzinę albo dwie. Zanim mnie przepuścił, zapytał, czy coś piłem. Odparłem, że nie. Spojrzał mi w przekrwione oczy z powątpiewaniem, ale w końcu pozwolił i jechać.

Przeszukałem każdy bar, jaki znalazłem w kanadyjskiej części Soo. Tu nie ma żadnych kasyn, ale jest kilka lokali z tańcem egzotycznym. Tak właśnie tam się to nazywa. Kobiety nie wyglądały jakoś szczególnie egzotycznie, ale przecież nie byłem w nastroju do takich zabaw.

Kiedy wracałem przez most, dochodziła trzecia. Poniżej widziałem hutę Algoma Steel. Tam nawet o tej porze paliły się piece. Wiatr się wzmagił. Mocny podmuch uderzył w bok półciężarówki; przez chwilę bałem się, że zrzuci mnie z mostu.

Zatrzymałem się jeszcze raz w Kewadin Casino, jedynym lokalu w Soo otwartym o tej porze. Tłum się przerzedził, ale i tak w szpony hazardu rzucało się o wiele więcej ludzi, niż można było się spodziewać. W kasynach oczywiście nie ma

zegarów. Ani okien. Niczego, co pomogłoby człowiekowi uświadomić sobie, że przez całą noc wyrzucał pieniądze w błoto.

Ruszyłem na zachód. Prowadzenie samochodu kosztowało mnie wiele wysiłku. Z trudem skupiłem wzrok. Zmusiłem się, żeby jeszcze raz zajechać do rezerwatu i zerknąć do Bay Mills Casino. Vinnie skończył już swoją zmianę i poszedł do domu.

Doprowadzony do ostateczności, przejechałem przez rezerwat do Kings Club. To mały lokal - zaledwie jedna sala z kilkoma jednorękami bandytami. Może w takim właśnie miejscu hazardzista sięga dna, pomyślałem. Po prostu o czwartej nad ranem karmi automaty ćwierćdolarówkami.

Nie było go tu. Nigdzie go nie było.

Wróciłem do domu. Nie mogłem spojrzeć w twarz pani Fulton. Niech się prześpi kilka godzin, jeśli w ogóle zasnęła. Może Edwin jednak się pojawi. Może kiedy wszędzie słońce, będzie już leżał w domu na kanapie, owinięty kocem, i popijał gorącą czekoladę. A mnie naprawdę ucieszy jego widok, póki nie przypomnę sobie, co przez niego przeszedłem tej nocy.

Kiedy dotarłem do chaty, wezwałem Dave'a przez krótkofalówkę i przeprosiłem, że tak długo mnie nie było.

- Nie ma sprawy - odparł. - Kolejna spokojna noc. Ani żywej duszy. Ale dzwonił do mnie szef, Maven. Nie jest zadowolony.

- Dave, tak bardzo padam z nóg, że nie wyliczę wszystkich miejsc, gdzie może sobie wsadzić swoje niezadowolenie. Dobranoc. - Położyłem się do łóżka. Zasnąłem, zanim zdążyłem pomyśleć, czy będę znów musiał walczyć z bezsennością.

Zadzwoił telefon. Omal nie dostałem zawału. Kiedy to wszystko się skończy, wyrzucę w diabły ten telefon, pomyślałem. Chcesz się ze mną skontaktować? Pofatyguj się tutaj.

Dzień już wstał. Spojrzałem na zegarek. Właśnie minęła siódma. Przetarłem oczy, a telefon zadzwonił jeszcze raz. Wstałem i spojrzałem na wyświetlacz policyjnego urządzenia. Ktoś od Fultonów. Miałem nadzieję, że to Edwin dzwoni z przeprosinami.

- Alex? Tu Lane. - Uttley przez chwilę milczał. W tle słyszałem jakiś hałas. Jakby szklanka spadła na podłogę i się rozbiła. - Nie wrócił.

- Chyba powinniśmy zadzwonić na policję.

- Znalazłeś wczoraj jakikolwiek inny ślad po nim?

- Od rozmowy z tobą po wizycie w Bay Mills, nie. Mówili, że był tam mniej więcej w porze kolacji.

- Alex, on na pewno się dziś znajdzie. Musiał po prostu gdzieś odespać tę noc.

- Mam nadzieję - odparłem. - A teraz powiedz to pani Fulton.

- Dobrze - zgodził się. - Ty zadzwonisz na policję czy ja?

- Dave powinien jeszcze tu być - stwierdziłem. - Przeważnie odmeldowuje się przez krótkofalówkę. Poproszę go, żeby zgłosił zaginięcie. Nie mam ochoty teraz gadać z Mavenem.

- Przyjedziesz tutaj?

- Tak. Tylko muszę doprowadzić się do porządku. To nie potrwa długo.

- Nie spiesz się, Alex. Nigdzie się nie wybieramy. - Nim się rozłączył, w tle usłyszałem jakiś krzyk.

Skontaktowałem się z Dave'em przez krótkofalówkę.

- Zaraz to zgłoszę - powiedział. - Myślę, że reguła dwudziestu czterech godzin w tym przypadku nie obowiązuje.

- Pewnie nic się nie stało, ale w tych okolicznościach... - Nie wiedziałem, jak skończyć to zdanie.

- Proszę się nie martwić, panie McKnight. Znajdziemy go.

Rozłączyłem się i siedziałem przez kilka minut, wyglądając przez okno. Potem wziąłem gorący prysznic, ogoliłem się i włożyłem czyste ubranie. Znow poczułem się prawie jak człowiek. Gdyby coś się stało wczoraj Edwinowi, gdyby go dopadł, to zadzwoniłby do mnie, żeby mi o tym opowiedzieć, wmawiałem sobie. Musiałem w to wierzyć. Musiałem trzymać się tej nadziei.

Po drodze do Fultonów zatrzymałem się w Glasgow na kawę. Kiedy wchodziłem do lokalu, spojrzałem na chmury nadciągające od zachodu. Burza była tuż-tuż.

Jackie wyszedł z kuchni i nalał mi kawy.

- Dzień dobry, Alex - powitał mnie. - Jesteś niezłe wymiętolony. Co się w ogóle wczoraj stało? Po tym telefonie wypadłeś stąd jak oparzony.

- Edwin gdzieś zniknął - wyjaśniłem. - Znow mu odbiło i pojechał przepuścić kupę forsy w kasynach. Pewnie teraz jest mu zbyt głupio, żeby się pokazać komuś na oczy.

Jackie pokręcił głową.

- Co za drań. Gdyby nie był tak obrzydliwie bogaty, to może bym mu nawet współczuł.

- Nie jest taki zły, Jackie.

- Skoro tak mówisz... - Odstawił dzbanek z kawą na palnik. - Aha, ktoś zostawił u nas list do ciebie.

Serce przestało mi bić.

- List?

- Znalazłem go rano na drzwiach, był przyklejony taśmą.

- Skąd wiesz, że to list do mnie?

- Bo na kopercie jest twoje imię, geniuszu. Dużo ludzi wie, że spędzasz tu mnóstwo czasu. Wcale mnie ten list nie zdziwił.

- Jackie - przerwałem mu, starając się zachować spokój. - Gdzie masz ten list?

- Chwileczkę. - Zaczął szukać za barem. - Gdzieś go tu położyłem.

- Jackie, to może być bardzo ważne...

- Spokojnie, Alex, zaraz go znajdę. - Zaczął przeglądać kupkę papierów przy kasie. - No, gdzie ja go, u licha, położyłem?

- Jackie, przypomnij sobie, proszę. - Próbowałem przełknąć ślinę.

- Och, na litość boską - zachnął się. Sięgnął do kieszeni swojego białego fartucha. - Tu jest. - Wyciągnął list i podał mi.

Na kopercie widniały cztery drukowane litery: ALEX.

- Jackie, masz może lateksowe rękawiczki? - Zrobiło mi się gorąco, oddychałem ciężko.

- Chyba tak. W kuchni.

- Przynieś je, proszę.

Jackie poszedł na zaplecze. Ja gapiłem się na kopertę. Wrócił z żółtymi gumowymi rękawiczkami.

- Po co ci one?

- Daj mi je. - Szybko włożyłem rękawiczki. - Potrzebny mi też foliowy woreczek - powiedziałem nieswoim głosem.

- Co się dzieje, Alex?

Milczałem. Otworzyłem tylko powoli kopertę i rozłożyłem pojedynczą kartkę.

ALEX

Boli mnie bardzo że budujesz wokół siebie mur z policjantem ukrywającym się w krzakach jak kot czyhający na mysz. Ale dlaczego? Przecież jestem tu tylko po to by ci służyć. Ile jeszcze zastawiłeś pułapek na myszy których nie widziałem? Przez dwa dni byłem smutny póki nie zrozumiałem że ktoś cię źle do mnie nastawił. Powinienem od razu zorientować się że on nie jest dla ciebie dobry. To taki Judasz co tylko czeka by zdradzić cię pocałunkiem śmierci a potem wydać w ręce wroga. Zdecydowałem że jeszcze raz muszę być dzielną myszą i usunąć zdrajcę. Nie było łatwo bo wiedział kim jestem i próbował wezwać na pomoc wszystkie siły ciemności ale ja okazałem się silniejszy więc nie miał szans. Jesteś teraz od niego wolny a ja znalazłem nowy sposób na eliminowanie ich bez rozlewania takiego morza krwi. To krew wysyła sygnały. Nie mikrofałe. W końcu to zrozumiałem. Teraz zakrywa go mnóstwo zimnej wody. Nigdy nikt już go nie zobaczy. Tyle zimnej wody Alex. Pomyśl tylko o tej zimnej wodzie. Mam nadzieję że się ucieszysz. Jesteś mi winien błogosławieństwo nie sądzisz? Wreszcie nadszedł czas byśmy byli razem.

Twój na zawsze ROSE

Zmusiłem się, żeby włożyć list do woreczka. Zmusiłem się, żeby wejść za bar i podnieść słuchawkę. Kiedy Maven odebrał telefon, powiedziałem tylko: „Mam kolejny list od niego. Przyjeżdżaj natychmiast do Glasgow Inn”. Nie potrafiłem powiedzieć nic więcej. Nie potrafiłem powiedzieć nic o Edwinie. Nie potrafiłem nawet wymówić jego imienia.

Wyszedłem na dwór odetchnąć świeżym powietrzem. Pierwsze wściekłe krople deszczu uderzyły mnie w twarz. W oddali słyszałem nadciągającą burzę, wiatr wzburzył fale na jeziorze.

Drzewa zasłaniały mi jezioro. Ale wiedziałem, że tam jest.

Tyle zimnej wody.

Rozdział 13

STAŁEM JESZCZE NA PARKINGU, KIEDY ZJAWIŁ SIĘ MAVEN. DESZCZ przestał padać, a potem znów zaczął; wiał północnozachodni wiatr. Nie zważałem, że leje jak z cebra.

- Gdzie jest? - zapytał Maven, zatraskując drzwi samochodu.

- W knajpie.

- Otwierałeś?

- Tak - odparłem nieswoim głosem.

- McKnight, wiesz, że to dowód. Po jaką cholere go otwierałeś?

Spojrzałem na niego.

- Przecież był zaadresowany do mnie. Chciałem go przeczytać.

- To czemu, u diabła, stoimy ciągle na tym deszczu?

Ruszył do drzwi.

- Idziesz czy nie? - zapytał.

- Nie jestem ci potrzebny.

Pokręcił głową i wszedł do knajpy. Stałem samotnie na parkingu, wpatrując się w pustkę. Chłód przenikał mnie do szpiku kości. Miałem wrażenie, że z każdym uderzeniem serca wibruje tkwiąca we mnie kula.

W końcu Maven wyszedł. W rękę trzymał foliowy woreczek z listem. Spojrzał na mnie, potem na list, i znów na mnie.

- McKnight, wiesz, że z każdym dniem stajesz się coraz głupszy?

Nie zareagowałem.

- Dłaczego, kurwa, mi nie powiedziałeś? Patrzyłem na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Już pół godziny temu mogła go szukać cała policja - warknął.

Usłyszałem, jak za nami otwierają się i zamykają drzwi do Glasgow Inn. Maven świdrował mnie wzrokiem. Zauważyłem, że kiedy mówił, na dolnej wardze zaczęła mu się zbierać ślina.

- McKnight, stoisz sobie na tym cholernym deszczu, a twój kumpel może leży gdzieś na dnie jeziora.

Ani drgnąłem.

- Co się z tobą, do cholery, dzieje? Nie obchodzi cię, że twój przyjaciel robi właśnie za pokarm dla ryb? - Uderzył mnie mocno w ramię, a kropelka jego śliny spadła mi na dłoń.

Wtedy nie wytrzymałem. Chwyciłem go obiema rękami za kark i ścisnąłem ze wszystkich sił. Gdybym mógł, urwałbym mu łeb.

Kopnął mnie kolanem w krocze i wykręcił rękę, rzucając mnie na ziemię. Wyrwałem się i zacząłem wymachiwać pięściami. Wtedy wkroczył Jackie.

- Alex, przestań! - krzyknął i usiadł na mnie. Wciąż miał na sobie biały fartuch.

- Złaż ze mnie!

- Musisz szukać Fultona. Nie możesz dać się teraz aresztować.

- Za późno - przerwał mu Maven, pocierając policzek. - Trzeba było mu to powiedzieć, zanim na mnie napadł.

Jackie pomógł mi wstać.

- Maven, widziałem, co się stało. Pierwszy go uderzyłeś, a on ci oddał. Na jego miejscu zrobiłbym to samo. A teraz odpuście sobie i poszukajcie Fultona, co? Może jeszcze żyje? Nie przyszło wam to do głowy?

Maven wrócił do samochodu i wyciągnął krótkofalówkę. Ja poszedłem do swojej półciężarówki.

- McKnight - usłyszałem jego głos. - A ty dokąd?

- Jadę szukać Edwina.

- Ani mi się waż. Wracaj.

Nawet na niego nie spojrzałem. Wsiadłem do samochodu i odjechałem, wzniecając tumany kurzu. We wstecznym lusterku widziałem, jak Maven wymachuje rękoma.

Popędziłem w stronę autostrady. Wiedziałem, że muszę wrócić do rezerwatu i zacząć od Bay Mills Casino. Tam ostatnio widziano Edwina. Wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem do Fultonów. Proszę, Uttley, podnieś słuchawkę. Niech nie odbiera matka Edwina.

Usłyszałem głos Uttleya:

- Alex, właśnie dzwoniłem do twojej chaty.

- Lane, słuchaj uważnie - przerwałem mu. - Dostałem kolejny list od... niego. Od Rose'a. Czy jak mu tam.

- O Boże.

- Lane, on dopadł Edwina. Przynajmniej tak napisał w liście.
- Nie wierzę.
- Lane, nie zdradź się przed panią Fulton. Musimy się najpierw upewnić.
- Gdzie jesteś?
- W drodze do kasyna.
- Dzwoniłeś na policję?

Zerknąłem w lusterko, jakbym się spodziewał, że Maven będzie mnie gonił radiowozem.

- Tak, wiedzą o wszystkim - odparłem.
- Jadę do ciebie, Alex.
- Lane, nie. Zostań z panią Fulton i Sylwią.
- Nie mogę, Alex. Muszę ci pomóc. Poza tym, jeśli tu zostanę, pani Fulton domyśli się, że coś jest nie tak. Mam wrażenie, że potrafi czytać w myślach.
- No dobra. Widzimy się w kasynie. Pospiesz się. Rozłączyłem się i jechałem dalej. Zastanawiałem się nad tym, co wykrzyczał mi Maven. Dlaczego nie powiedziałem mu o Edwinie, kiedy do niego zadzwoniłem? Miał rację, mogli od razu zacząć poszukiwania. Dlaczego sterczałem na parkingu, wsłuchując się w wiatr i fale?

Tak jak w tamtym mieszkaniu. Kiedy Rose wyciągnął broń. Zastygłem. Jestem, kurwa, żaloszny.

Zacisnąłem ręce na kierownicy, aż pobieleły mi palce. Nie wiadomo dlaczego pomyślałem o Sylvii. O tym, jaką miała skórę, kiedy byliśmy w łóżku po raz ostatni. O wyrazie jej oczu, kiedy obserwowała mnie, zrzucając szlafrok na podłogę.

Boże, pomóż mi. Po co to rozpamiętuję? Chyba mi już całkiem odbija.

Kiedy dotarłem do Bay Mills, zobaczyłem radiowozy policjantów z Soo. Maven musiał ich wezwać z samochodu. Pojawiła się też indiańska policja, zapewne zdziwiona, co funkcjonariusze z Soo robią na terenie rezerwatu. Byłem tu zaledwie kilka godzin wcześniej, ale wtedy spodziewałem się, że znajdę Edwina szastającego pieniędzmi przy stołach do blackjacka. Teraz, w dziennym świetle przytłumionym deszczem, kasyno wyglądało groźnie i przygnębiająco, jak dom dla obłąkanych.

Zaparkowałem obok wejścia i wszedłem do środka. Nawet w tak ponury poranek kręciło się tu trochę ludzi. Kiedy tylko przekroczyłem próg, zatrzymał mnie policjant z Soo.

- Panie McKnight, nie powinien pan tu przyjeżdżać.

Rozpoznałem go. Ten sam, którego spotkałem w motelu, a potem za restauracją.

- Próbuję tylko pomóc - odparłem. - Musimy go znaleźć.

- Szeef powiedział, żebym pana aresztował, kiedy tylko pana zobaczę.

Chwyciłem go za ramiona.

- W takim razie mnie nie widziałeś, dobrze? Proszę.

- Chyba powinien pan wrócić do domu - poradził mi. - Wszyscy nasi ludzie szukają pana znajomego.

- Wiecie, że jeździł srebrnym mercedesem?

- Tak. I znamy numer rejestracyjny.

- Świetnie. Dowiedzieliście się już czegoś? Wiem, że był tu wczoraj wieczorem około szóstej. Macie coś jeszcze?

- Panie McKnight...

- Mów, do diabła - przerwałem mu. - Dowiedzieliście się czegoś jeszcze?

- Nie. Wszyscy, którzy byli tu wczoraj, porozchodzili się do domów. Właśnie do tych ludzi dzwoniemy.

- W porządku. Dzwońcie dalej. A ja rozejrzę się po drogach.

- Pan pracował kiedyś w policji, prawda?

- Tak.

- Proszę iść. Nie widziałem pana.

- Dziękuję.

Na dworze rozejrzałem się po głównym parkingu. Ani śladu mercedesa Edwina. Obszedłem budynek i sprawdziłem wszystkie auta na parkingu dla personelu.

Kiedy wróciłem do mojego wozu, Uttley zajechał właśnie swoim czerwonym bmw. Wsiadł, ledwo dysząc, jakby całą tę drogę przebiegł.

- Boże, Alex - wysapał. - Powiedz, że to tylko zły sen.

- Szukam jego samochodu. Może ty też spróbujesz? Podzielimy się.

- Nie, jadę z tobą - zaprotestował. - Mam dobrą mapę, więc będziemy szukać dokładniej.

- Okej, wsiadaj.

Zabrał mapę i wskoczył do mojej półciężarówki. Wyjeżdżając z parkingu, zerknąłem na niego. Zamknął oczy i kręcił głową.

- Z panią Fulton wszystko dobrze? - zapytałem.

- Nie całkiem. Wydaje mi się, że ona coś przeczuwa.

- A Sylvia?

- Nie wiem. Nie widziałem jej przed wyjazdem. Chyba jest w swoim pokoju.

Próbowałem oddychać spokojnie. Myśl, Alex. Myśl, co robić.

- Woda. Zacznijmy od dróg przy brzegu, szukajmy jego wozu - zaproponowałem.

- Przejedź przez rezerwat - powiedział Uttley, rozkładając mapę. - Musimy zacząć od Lakeshore Drive.

Kiedy ruszyliśmy wzdłuż brzegu jeziora, pojawiło się kilka radiowozów z Soo, kilka wozów policji stanowej, a nawet parę z policji okręgowej. Maven pociągnął za wszystkie sznurki.

Niebo ciemniało. Deszcz lał jak z cebra.

Przejechaliśmy Lakeshore Drive aż do Iriquois Point. Zatrzymaliśmy się tam na małym parkingu z widokiem na latarnię. Próbowałem sobie wyobrazić Edwina siedzącego tutaj i patrzącego na jezioro. Chciałem, żeby tak rzeczywiście było. Ale nie znaleźliśmy tu jego samochodu.

- Musimy pojechać kawałek dalej - stwierdziłem.

- Co, poza miasto?

- Tak mi się wydaje - odparłem. - Tu jest za dużo ludzi. Nawet późno w nocy. Według mnie, on potrzebował jakiegoś bardziej odosobnionego miejsca.

- Brzmi sensownie - przyznał Uttley i przesunął mapę. - Objedziemy całą zatokę.

Ruszyliśmy na zachód. Droga wiodła w pobliżu willi i wakacyjnych domków z widokiem na jezioro. Minął nas kolejny stanowy radiowóz.

- Przynajmniej szukają go naprawdę wszyscy - ucieszył się Uttley.

Rozglądaliśmy się po długich drózkach dojazdowych i przez sosny próbowaliśmy wypatrzyć choćby ślad mercedesa. W ciszy słyszeliśmy tylko nasze oddechy, szum deszczu i rytmiczny odgłos wycieraczek.

- To moja wina - odezwałem się w końcu.

- O czym ty mówisz?

- O wszystkim. To moja wina.

- Nie wolno ci tak myśleć.

- Ja to na niego ściągnąłem.

- Nie - zaprotestował Lane. I znów zamilkliśmy.

Jechaliśmy dalej i się rozglądaliśmy. Drzewa rosły coraz gęściej, bo zagłębialiśmy się w las.

- Jego auto musi tu gdzieś być - gorączkował się Uttley.

- Tutaj właściwie nic nie ma aż do samego Raju - powiedziałem. - Powinniśmy od razu tam pojechać i tam szukać...

- Czekaj, chyba coś widziałem - przerwał mi. - Wróć do tamtej bocznej drogi.

Zjechałem na pobocze i wrzuciłem wsteczny. Obaj spojrzeliśmy na małą willę. Pod domem stało srebrne auto, ale nie mercedes.

- Przepraszam, fałszywy alarm.

- Beznadziejna sprawa. Nigdy nie znajdziemy jego samochodu, a nawet jeśli... - Nie mogłem dokończyć.

- Jedź dalej - odparł Lane i popatrzył mi w oczy.

Głęboko w lesie nie było wielu dróg dojazdowych do posesji. Zwalnialiśmy przy każdej, po czym gnaliśmy do następnej.

Nie wiem, ile ich sprawdziliśmy. Straciłem poczucie czasu. Deszcz lał coraz mocniej. Nagle Uttley zawołał:

- Alex, patrz!

Zobaczyłem willę najwyraźniej zamkniętą na zimę. Obok stał radiowóz policji stanowej.

A przy nim srebrny mercedes.

- O Boże, Alex.

Skręciłem i zaparkowałem za radiowozem. Wysiedliśmy.

- To auto Edwina - stwierdził Uttley.

Zajrzeliśmy przez szyby. Wszystko wyglądało normalnie.

- Drzwi nie są zamknięte - zauważyłem.

- Ale nie powinniśmy niczego dotykać, prawda?

Kiwnąłem powoli głową. Jak otępiały.

- Gdzie są policjanci? - zastanawiał się Lane. Nie widzieliśmy żywej duszy.

- Poszukajmy ich - zaproponowałem.

Polną dróżką ruszyliśmy w stronę plaży. Kiedy dotarliśmy nad wodę, zobaczyliśmy policjantów. Stali przy łodzi z wiosłami. Jeden z nich, pochylony, czemuś się chyba przyglądał. Drugi patrzył w niebo, osłaniając twarz ręką przed deszczem. Rozmawiał przez krótkofalówkę. Dochodziły z niej ciche trzaski, a od czasu do czasu metaliczny głos.

Popędziłem ku nim, ledwo utrzymując równowagę na kamieniach. Uttley biegł tuż za mną. Kiedy dotarliśmy do łodzi, policjanci spojrzeli na nas.

- Kim jesteście? - zapytał jeden z nich.

- Co znaleźliście? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- Nazwisko, proszę - zażądał policjant.

- Alex McKnight - odparłem. - Jestem... Jestem przyjacielem Edwina Fultona.

Co znaleźliście? - Spojrzałem na łódź.

- Proszę niczego nie dotykać - ostrzegł policjant.

- Wiem - uspokoilem go. - Chcę tylko...

Zobaczyłem krew. Na burcie łodzi. Mieszała się z deszczem i spływała na ziemię, tworząc różowawą kałużę.

W tej kałuży, poruszana wiatrem, unosiła się czerwona róża.

Drugi policjant, ten, który pochylał się nad łodzią, spojrział na kolegę.

- Wezwij ich jeszcze raz - polecił. - Deszcz wszystko rozmyje.

- Mówili, że już jadą.

- Cholera jasna.

Podszedłem bliżej do łodzi. Stałem nad nią, a Uttley za mną; objął się rękoma, żeby płaszcz nie łopotał mu na wietrze.

- Proszę pana, bardzo proszę, niech się pan odsunie - powiedział policjant.

Nie zważałem na niego, patrzyłem na dulkę wiosła. Uklęknąłem, żeby przyjrzeć się jej dokładniej. Próbowałem coś wykrztusić, ale głos zamarł mi w gardle.

Trzeba coś z tym zrobić. Zebrać dowody, nim porwie je wiatr.

Wokół dulki zaplątało się kilka pasemek długich blond włosów.

Włosy były grube i sztywne. Jak z wielkiej blond peruki.

Rozdział 14

KIEDY PRZYJECHAŁEM Z UTTLEYEM DO DOMU FULTONÓW, było tam już dwóch policjantów, funkcjonariuszy z Soo, nie znałem ich. Stali w kuchni i ich miny zdradzały, że woleliby być zupełnie gdzie indziej. Jeden z nich zmierzył nas wzrokiem i zapytał:

- Który z panów to McKnight?

- To ja - powiedziałem.

- Szef Maven chce, żeby się pan nigdzie stąd nie ruszał, póki on nie przyjedzie.

- Mam go w dupie - odparłem. Byłem zmęczony, twarz szczypała mnie od zimnego wiatru. Ale nie obchodziło mnie, jak się czuję ani co mi robi Maven, kiedy mnie znajdzie. W tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia.

- Gdzie są panie Fulton? - zapytał Uttley. Poza policjantami w domu nie było żywej duszy. O blat w kuchni stała oparta szczotka, a obok niej leżała kupka rozbitego szkła.

- Pani Fulton jest w swojej sypialni - oznajmił policjant. - To znaczy starsza pani. Młodsza jest na dworze.

- Na dworze? - zdziwił się Uttley. - Co też pan opowiada?

Policjant zerknął na swojego partnera.

- Panie Fulton trochę się posprzeczały, kiedy... no wiecie, kiedy dowiedziały się o panu Fultonie.

- Dokąd poszła? - dociekał Uttley. - Tak po prostu pozwoliliście jej wyjść na taką pogodę? - Wyjrzał przez wielkie okno z widokiem na jezioro. Deszcz walił o szybę.

- Nie chciała nas słuchać - bronił się policjant. - Nie mogliśmy nic zrobić. A w ogóle, jak pan się nazywa? - Poprawił pas i spróbował typowej policyjnej zagrywki. Akurat tego nam było trzeba.

- Pan nazywa się Lane Uttley - wtrąciłem się. - Jest prawnikiem tej rodziny. I to on odbierze wam odznaki, jeśli natychmiast nie poszukacie pani Fulton.

- Nie podoba mi się ten ton, panie McKnight.

- Jak kopnę cię w dupę, to też ci się nie spodoba. Ta kobieta właśnie się dowiedziała, że jej mąż nie żyje, a wy pozwoliliście jej wybiec na marznący deszcz. Włożyła w ogóle jakiś płaszcz?

Policjant patrzył na mnie bez słowa.

- No dalej, zbieraj się, bo jak nie, to przysięgam na Boga, że obiję ci mordę tak, że rodzona matka cię nie pozna - warknąłem.

- Alex, daj spokój. - Uttley stanął między mną a policjantem.

- Szef już tu jedzie. Niech pan z nim pogada.

- Chodźmy do matki Edwina - powiedział Uttley i wyprowadził mnie z kuchni. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, policjanci wyszli na dwór.

Przeszliśmy przez dom do skrzydła dla gości i stanęliśmy przed sypialnią pani Fulton. Słuchaliśmy, jak cicho szlocha. Uttley zapukał.

- Pani Fulton? To my, Lane i Alex.

Długa cisza. W końcu drzwi się otworzyły. Pani Fulton wyglądała o dziesięć lat starzej.

- Czego chcecie? - zapytała szorstko.

- Pani Fulton - odezwał się Uttley. - Nie wiem, co powiedzieć. Bardzo mi przykro.

Spojrzała na mnie.

- A ty? Tobie też jest przykro?

- Pani Fulton... - zacząłem.

Otwartą dłonią uderzyła mnie w twarz. Nawet nie próbowałem jej powstrzymać.

- Miałeś go chronić - powiedziała. - Do tego się zobowiązałeś.

Milczałem.

- Nienawidzę cię - głos jej się łamał. - Nienawidzę tego domu. Zawsze go nienawidziłam. Jest zimny, ciemny, w okolicy pełno włóczągów i Indian, i... O Boże, Edwin. Proszę. To nie może być prawda.

Uttley objął ją ramieniem. Zostawiłem ich w korytarzu.

Stałem przy oknie. Deszcz przeszedł w mżawkę. Ale wiatr wciąż był potępieńczo i mierzwił powierzchnię jeziora. Widziałem, jak fale rozbijają się o skalisty brzeg. W taki dzień właściwie to już nie było jezioro. Bardziej morze, takie, na którym idą na dno statki i ludzie. A teraz gdzieś pod tą zimną wodą leżał Edwin. Policja stanowa będzie przeczesywać dno w okolicy, gdzie znaleziono łódź, ale

wiedziałem, że nic to nie da. Fale zniosą zwłoki w najgłębsze, najzimniejsze miejsca, tam gdzie leży załoga „Edmunda Fitzgeralda”. Dwudziestu dziewięciu marynarzy powita go jak swego.

To robota Rose'a. Rose zabił Edwina, a potem wrzucił zwłoki do jeziora. Minionej nocy przed burzą woda była dość spokojna. Mógł go wywieźć gdzieś daleko, jeśli tylko potrafił wiosłować. Przerzucił ciało przez burtę i patrzył, jak tonie. A potem wrócił na brzeg. Musiało być ciemno. Może zaczęło już padać. Może powstały wysokie fale. Może ciężko mu się wiosłowało z powrotem.

Mimo wszystko wrócił, bo przecież czytałem jego list. Widziałem łódź, krew i długie blond włosy. To był Rose. Nie wiem, jak to możliwe, ale to Rose.

I nadal gdzieś się czai.

Potarłem twarz w miejscu, gdzie uderzyła mnie pani Fulton. Patrzyłem na dwóch policjantów na dworze. Obeszli dom i zdążyli teraz ścieżką ku plaży. Kiedy dotarli na brzeg, rozdzielili się.

Chwilę później zobaczyłem, jak zza domu wychodzi Sylvia. Ruszyła ścieżką za policjantami. Nagle się zatrzymała. Odwróciła się i spojrzała prosto w moją stronę, jakby pomyślała, że stoję w oknie i na nią patrzę. Nie miała na sobie płaszcza, tylko sweter. Mokry. Oblepiał jej ciało. Wiatr potargał jej włosy. Trzęsła się z zimna.

Już miałem wybiec, zaproponować jej swój płaszcz i namówić ją, by wróciła do domu. Ale coś mnie powstrzymało. Nie mam pojęcia co. Stałem po prostu i patrzyłem na nią, póki nie poszła w stronę jeziora.

Bóg mi świadkiem, nadal jej pragnąłem. Po tym wszystkim, co się stało, nadal jej pragnąłem.

- McKnight - odezwał się głos za moimi plecami. Ostatni głos, jaki chciałem usłyszeć. A tuż po słowach poczułem na ramieniu dłoń.

Odwróciłem się i stanąłem oko w oko z Mavenem. Miał mokre włosy i twarz czerwoną od wiatru. Na jego szyi widziałem ślady po moich rękach. Obok niego stał jakiś mężczyzna, który wyglądał, jak wycięty z tego samego żurnala. Był trochę młodszy od Mavena; miał więcej włosów i bardziej gęste wąsy, ale to samo spojrzenie upierdliwego gliniarza, tak samo też żuł gumę, okazując lekceważenie całemu światu. Niezłe zmókł i jemu także wiatr dał się we znaki. Spodziewałem się, że za chwilę obaj strzelą do mnie jednocześnie, ale zamiast tego usłyszałem:

- Alex, jak się masz?

Patrzyłem to na jednego, to na drugiego. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Słuchaj, Alex - ciągnął Maven. - Zdaję sobie sprawę, że to trudna sytuacja dla wszystkich. Chciałem cię przeprosić za nasze wcześniejsze nieporozumienia. Wiedz, że naprawdę mi przykro z powodu śmierci twojego przyjaciela. A to detektyw Allen z policji stanu Michigan.

- Panie McKnight. - Wyciągnął rękę. - Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach.

Uścisnąłem mu dłoń. Wciąż nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie miałem pojęcia, dlaczego Maven nagle stał się taki grzeczny. Pomyślałem, że odgrywa jakąś szopkę przed tym stanowym gliniarzem. Ale trudno mi było wyobrazić sobie, żeby Maven komukolwiek się podporządkowywał.

- Detektyw Allen próbuje zorganizować parę łodzi, żeby przeczesać dno jeziora w pobliżu miejsca zabójstwa, ale niestety pogoda nam nie sprzyja.

- Nawet jeśli warunki się polepszą, musi pan zdawać sobie sprawę, że może nic z tego nie wyjść - zastrzegł detektyw. - To ogromne jezioro.

- Oczywiście.

- Tak czy inaczej - ciągnął Allen - chcieliśmy pana powiadomić, że i policja lokalna, i stanowa zajmują się tą sprawą.

- Macie włosy? - zapytałem. - Z łodzi?

- Te z dulki? Tak. Pobraliśmy też próbki krwi. Choć raczej wiadomo, czyja to krew.

- Maven powiedział panu o facecie nazwiskiem Rose?

- Tak, zostałem wprowadzony w temat.

- Musimy z nim porozmawiać. To znaczy z tym kimś, kto siedzi w więzieniu. Może pan to jakoś załatwić, prawda?

Zauważyłem, że zerknął ukradkiem na Mavena.

- O co chodzi? - zapytałem. - Coś ukrywacie.

- Panie McKnight...

- Wiecie coś o Rosie, tak?

- Alex - odezwał się Maven. - Prośba do ciebie: pojedź z nami na posterunek. Uważam, że musimy popracować wspólnie, żeby rozgryźć tę sprawę.

- Co się dzieje, gadaj! - zażądałem.

- Nie tutaj - odparł Maven. - Alex, proszę. - Rozejrzał się. - Nie chcemy tu nikomu przeszkadzać. A w ogóle gdzie jest pani Fulton?

- Położyła się - odparł Uttley, wchodząc do pokoju. - Co się stało?

- To Lane Uttley. - Maven przedstawił go detektywowi. - Prawnik państwa Fultonów.

- Allen, detektyw z policji stanowej. - Uścisnęli sobie ręce. - Rozmawiamy właśnie o różnych sprawach.

Uttley spoglądał to na nich, to na mnie.

- O jakich sprawach?

- Chyba mają jakieś informacje o Rosie - wyjaśniłem. - Chcą, żebym pogadał o tym z nimi na posterunku.

- Jadę z tobą.

- Nie. Musisz tu zostać, Lane. Pani Fulton cię potrzebuje. I Sylvia. - Odwróciłem się i wyrząłem przez okno. - Sylvia jest na dworze.

Lane podszedł do okna.

- Gdzie?

- Na plaży - odparłem. - Wybiegła bez płaszcza.

Nagle zobaczyliśmy dwóch policjantów z Soo. Wracali ścieżką z plaży, a kiedy zauważyli nas w oknie, patrzących na nich, stanęli jak wryci. Poczulem ucisk w żołądku - wyobraziłem sobie Sylvię, jak wchodzi do zimnej wody, falującej i błękitnej. Ale w końcu ją dostrzegłem. Podeszła od tyłu do policjantów, ale oni się nie zorientowali. Stali i gapili się, jak im się przyglądamy.

- Na litość boską, Lane - odezwałem się. - Przyrowadź ją.

- A gdybyśmy tak razem po nią poszli?

- Ja muszę jechać na posterunek.

Spojrzał na Mavena i Allena. Obaj czekali już na mnie przy drzwiach.

- Alex, coś mi tu nie gra.

- Porozmawiamy tylko o Rosie - uspokoiłem go. - Nie przejmuj się mną.

Pokręcił głową.

- Zadzwoń do mnie, Alex.

Wyszedłem na dwór z dwoma policjantami.

- Pojadę za wami moim wozem - powiedziałem. Spojrzeli na siebie. Samo to spojrzenie powinno mnie ostrzec.

- Może pojedzie pan z nami? - zaproponował Allen.

- Mam zostawić tu swoje auto? Nie. Jedźcie, będę jechał tuż za wami.

- Przecież pan Uttley może się zająć autem, prawda? - wtrącił się Maven. - Jego samochód i tak stoi pod kasynem. Przyprowdzi twoją półciężarówkę do miasta, a potem pojedziecie razem po jego bmw.

Nie chciało mi się wdawać z nimi w dyskusję, więc rzuciłem kluczyki na przedni fotel półciężarówki i usiadłem w wozie Mavena.

Dawno już nie siedziałem na tylnym siedzeniu radiowozu. Kiedy ruszyliśmy, zaczeplęm palce na kratce i spojrzałem na policjantów.

- No dobra, więc co z tym Rose'em? - zapytałem. Maven pociągnął tylko nosem.

- Powiedźcie wreszcie, o co chodzi - domagałem się.

- Porozmawiamy na posterunku - odparł Maven.

W końcu dotarło do mojego zakutego łba - zabierają mnie na dołek.

- Maven, do jasnej cholery, co ty wyprawiasz? - irytowałem się.

- Panie McKnight, proszę się uspokoić - odezwał się Allen, odwracając głowę. - Na posterunku będzie nam wygodniej.

Opadłem na kanapę. Po tym, co się wydarzyło w ciągu ostatniej doby, nie potrafiłem już myśleć logicznie. Niemożliwe, aby uznali, że mam coś wspólnego z tym, co spotkało Edwina, kombinowałem. Nie aresztowali mnie. Nie odczytali mi moich praw.

Patrzyłem przez okno na sosny. Edwin nie żyje. Wsunąłem palec w dziurę w tapicerce. Ktoś wypalił ją papierosem.

Kiedy dotarliśmy na posterunek, spróbowałem otworzyć tylne drzwi. Nie udało mi się. Zapomniałem, że tylne drzwi w radiowozach nie otwierają się od środka. Poczekalem, aż Maven mi je otworzy.

- Proszę, Alex. Tędy.

- Znam drogę - odparłem.

Ale zamiast do gabinetu Maven zaprowadził mnie do sali przesłuchań. Pośrodku stał stół z czterema krzesłami, a pod ścianą stolik z ekspresem do kawy i mała lodówka. Mapa na ścianie pokazywała łowiska różnych ryb w jeziorach.

- Tu jest więcej miejsca. Usiądź, proszę.

- Powie mi ktoś w końcu, co się dzieje?

- Oczywiście, Alex. Proszę, usiądź. - Allen odsunął mi krzesło.

- Jaką kawę lubisz? - zapytał Maven. - Łyzeczka cukru i bez mleka?

Usiadłem.

- Tak, zgadza się - odparłem.

Niesamowite, Maven robi mi kawę?! Z każdą minutą robiło się coraz groźniej.

Nalał kawę do kubka, postawił przede mną i usiadł po drugiej stronie stołu, obok Allena. Patrzyłem to na jednego, to na drugiego, a z kubka unosiła się smużka pary.

- Panie McKnight - odezwał się detektyw Allen. - Proszę mi opowiedzieć o tym Rosie.

- Wydawało mi się, że Maven zdał już panu relację - odparłem.

- Chcę usłyszeć wszystko od pana - nalegał. - Maven mógł coś pominąć.

Opowiedziałem więc o szpitalu w Detroit, o mieszkaniu Rose'a, uzi, o strzelaninie. I o tym, że Rose został skazany na dożywocie i nie dawał znaku życia, póki nie zaczęły się te telefony i listy.

- Listy - przerwał mi Allen. - Wygląda na to, że napisano je na tej samej maszynie.

- To dość logiczne - stwierdziłem.

- Dlaczego?

- Bo napisał je jeden człowiek.

- No tak, oczywiście.

- O co wam chodzi?

- O nic, tylko myślę na głos - zapewnił Allen. - Porozmawiajmy o ofiarach. O tych dwóch pierwszych.

Maven obserwował mnie w milczeniu.

- Nie znałem ich.

- Tony Bing, miejscowy bukmacher - powiedział Allen. - Pański przyjaciel Edwin znalazł go w pokoju w motelu.

- Tak.

- Rozumiem, że zadzwonił do pana, zanim powiadomił policję.

- Tak.

- Dotarł pan na miejsce, zanim przyjechała.

- Tak.

- To wydaje mi się dziwne.

- To było dziwne - przyznałem. - Edwin postąpił dziwnie.

- Nawet bardzo dziwnie. Nie sądzi pan, panie Maven?

- Tak, już wtedy uważałem, że to dziwne. I nadal tak uważam.

- Następny był... jak on się nazywał?

Spojrzeni na mnie.

- Dorney - odparłem. - Vince Dorney. Tak mi przynajmniej powiedział szeryf.

- Racja, zgadza się. Vince Dorney. Kolejny gagatek, z tego, co wiem. Chyba też bukmacher?

Znów spojrzeli na mnie.

- Nie mam bladego pojęcia, co to za facet - oświadczyłem.

- Jeszcze jedna sprawa - stwierdził Allen. - Następny bukmacher, który kopnął w kalendarz.

- No właśnie - zawtórował mu Maven.

- Ten pański Rose musi mieć jakiś szczególny uraz do bukmacherów, panie McKnight. Ale co ciekawe, w listach nie wspomina o tym ani słowem.

Na plecach poczułem strużkę potu. Obaj policjanci siedzieli z rękoma na stole. Kiedy poruszyli się, żeby zmienić pozycję, z kubka wylało się trochę kawy.

- Nie podoba mi się ta rozmowa - oznajmiłem. - Od tygodnia terroryzuje mnie maniackalny zabójca. Trzej mężczyźni nie żyją, wśród nich chyba najłagodniejszy człowiek, jakiego znam. A wy, zamiast pomóc mi go znaleźć, przesłuchujecie mnie, jakbym był głównym podejrzanym.

- Po prostu sobie rozmawiamy - bronił się Maven. - Ale oczywiście możemy zadzwonić do tego twojego Uttleya, jeśli naprawdę chcesz. To znaczy, jeśli uważasz, że potrzebujesz prawnika.

- Maven, nie potrzebuję prawnika. Chcę tylko, kurwa, żebyś wreszcie wziął się do roboty!

- Ależ panie McKnight, musimy używać takiego języka?

- Panowie, nawet przesłuchać mnie nie potraficie - warknąłem. - Zwykle przesłuchanie prowadzi dobry i zły policjant, a nie policjant kretyn i policjant burak.

- Mów dalej, McKnight - syknął Maven.- Grabisz sobie, aż miło.

- Maven, przysięgam, że jeśli zaraz nie ruszysz dupska i nie zaczniesz go szukać...

- Co przysięgasz, McKnight? Ze znów będziesz próbował mnie udusić?

Złapałem za kubek i cisnąłem nim. Uderzył w mapę łowisk i rozprysnął się, zostawiając wielką brązową smugą przecinającą cały kraj. Maven i Allen nawet nie mrugnęli.

- Proszę, proszę - odezwał się w końcu Allen. - Facet z temperamentem!

- Kiedyś nieźle grał w bejsbol - wyjaśnił Maven. - Mówiłem ci o tym?

- Nie.

- Tyle że wtedy miał lepszą rękę.

- Uhm. To był taki sobie rzut.

- Nie zrobił wielkiej kariery - zakpił Maven.

- Szkoda - odparł Allen.

- I w końcu został gliniarzem.

- Domyślam się.

- Ale stopnia detektywa się nie dochrapał - ciągnął Maven. - Musiał odejść ze służby po tej historii z Rose'em.

- Kolejna porażka. Aż żal się człowieka robi - westchnął Allen.

- Chyba wiem, jak to było, detektywie Allen. Opowiedzieć?

- Ależ oczywiście, szefie Maven. Zamieniam się w słuch.

- Wszyscy wiedzieli, że Edward Fulton ma problemy z hazardem. Kilka razy trzeba było go wyprowadzać z kasyn w rezerwacie. Wydaje mi się, że poróżnił się z bukmacherami.

- Zaraz, zaraz, przecież Fulton był majątny - wtrącił Allen.

- Nawet bardzo - przyznał Maven. - Ale kiedy takie sępy kogoś namierzą, bywa niewesoło. Może uznali go za łatwy cel.

- No tak.

- A więc Fulton prosi swojego przyjaciela McKnighta, by pomógł mu rozwiązać ten problem. Być może McKnight nawet sam był winien jakieś pieniądze tym ludziom.

- Niewykluczone, niewykluczone.

- McKnight uznaje, że jest tylko jedno rozwiązanie: eliminacja obu bukmacherów.

- Dość drastyczne, muszę przyznać - powiedział Allen.

- Owszem, drastyczne - stwierdził Maven. - Ale obaj wiemy, że ludzi zabijano z o wiele bardziej błahych powodów. A w tym przypadku McKnight uknuł doskonały plan. Pisał do siebie te listy, żeby wyglądało to tak, jakby ten przestępca Rose znów zaczął go prześladować.

- Bardzo oryginalne. I to wszystko tylko po to, żeby załatwić dwóch bukmacherów?

- Może kryje się w tym coś więcej - stwierdził Maven. - Może ta historia z Rose'em pomaga mu zaspokoić jakieś pragnienie? Chore pragnienie? Musi być ciężko

żyć tyle lat ze świadomością, że człowiek nie ruszył palcem, kiedy trzeba było działać, i że przez to zginął jego partner.

- Prawdziwe piekło!

- Oczywiście to tylko teoria. Ale na pewno wiele by wyjaśniła. Na przykład to, dlaczego te tajemnicze telefony nagle się skończyły, kiedy założyliśmy podsłuch na jego linii.

- A co z Fultonem? Jak wytłumaczyć jego zaginięcie?

- O, to jest dopiero interesujące - odparł Maven. - McKnight wpada na ten pomysł po tym, jak zabił dwóch bukmacherów. Może to działanie spontaniczne, a może zaplanowane od dawna.

- Sugeruje pan, że McKnight zabił Fultona?

- Tamtej nocy nie było go w chacie. Szukał wtedy Fultona, przynajmniej tak mówił. W te wszystkie noce, kiedy przed chatą czuwał nasz funkcjonariusz, nic się nie wydarzyło. A tej jednej, gdy McKnight był poza domem, Fulton zginął. Tym razem zabójca wrzucił ciało do jeziora. Nie chciał więc, żeby ktoś znalazł zwłoki. No i teraz możemy dowolnie sobie spekulować na temat przyczyn śmierci Fultona.

- Ta róża w łodzi... sprytny chwyt. I te blond włosy.

- No tak, postarał się chłopak.

- Ale po co miałby zabijać najlepszego przyjaciela?

- Detektywie Allen, dziwię się, że w ogóle pan o to pyta. Po co zwykle zabija się najlepszego przyjaciela?

- To oczywiste. Najlepszego przyjaciela zabija się po to, żeby zdobyć jego żonę. Miałem już dość.

- Panowie, jeśli skończyliście, to ja już sobie pójdę. Chyba że macie jakiś powód, żeby mnie zatrzymać - odezwałem się.

- Nie możemy cię zatrzymać - stwierdził Maven. - Na razie nie możemy postawić ci zarzutów.

- To po co mi to wszystko opowiadacie?

- Tyle lat służyłeś w policji i nigdy nie widziałeś, jak się obrabia podejrzanego? - zdziwił się Maven.

- Właściwie nigdy nie pracował jako detektyw - zauważył Allen. - Nie nauczył się tej techniki.

- Racja. Karierę zakończył na wypisywaniu mandatów za parkowanie - zakpił Maven.

- Proszę mu wyjaśnić, jak to działa.
 - Czasami, kiedy człowiek wie, że podejrzany jest winny, ale nie ma na to odpowiednich dowodów, po prostu sadza go w sali przesłuchań i wywala kawę na ławę - powiedział Maven.
 - Mówimy mu, że wiemy, iż popełnił przestępstwo, i że prędzej czy później to się wyda - wtrącił Allen.
 - Mówimy mu, że będziemy go obserwować.
 - I że to tylko kwestia czasu.
 - Ale ta metoda sprawdza się tylko wtedy, kiedy nie ulega wątpliwości, że facet się złamie - dodał Maven.
 - Inaczej to strata czasu - stwierdził Allen.
 - Tym razem nie marnujemy czasu, McKnight.
 - Ma strach w oczach - oznajmił Allen. Obaj pochylili się, żeby na mnie spojrzeć. Byli tak blisko, że czułem zapach ich cygar i wody kolońskiej. - Widzi pan to, Maven? Widzi pan ten strach?
 - O tak, detektywie Allen. Jest nim przesiąknięty.
 - Panie McKnight, wie pan, jak poluje sowa? - zapytał Allen. Obaj siedzieli dłużej chwilę w milczeniu. Nie odzywałem się.
 - Nasłuchuje. Czeka.
 - Póki się nie ruszasz, jesteś bezpieczny - wyjaśnił Maven.
 - Ale kiedy choćby drgniesz, sowa to usłyszy.
 - Powinieneś siedzieć bez ruchu, McKnight. Ale nie możesz.
 - Wiesz, że sowa siedzi i czeka.
 - Musisz uciekać, McKnight. Po prostu musisz.
 - Za bardzo się boisz i rzucasz się do ucieczki.
 - A wtedy sowa atakuje. - Maven wykonał ruch, jakby naśladował uciekające zwierzę. - I cię pożera.
 - Pożera na kolację.
 - Na samą myśl zgłodniałem - powiedział Maven.
- Wstałem.
- Miło było pana poznać, McKnight - stwierdził Allen. - Do rychłego zobaczenia.
 - Bardzo rychłego - zawtórował mu Maven. - Przyniosę keczup.

Rozdział 15

KIEDY MAVEN I ALLEN MNIE WYPUŚCILI, zadzwoniłem do Uttleya. Nie odpowiedziałem na żadne z jego pytań. Kazałem mu tylko przyjechać. Czekałem na niego przed posterunkiem i patrzyłem na śluzy i dalej na most do Kanady. Po burzy na niebie wciąż jednak wisiały chmury, które nadawały promieniom słońca wygląd zupełnie nie z tej ziemi. Wszystko wydawało się niesamowite, a mnie robiło się niedobrze.

Na tym moście kończy się jedna z najdłuższych amerykańskich autostrad, międzystanówka 75. Można nią jechać z Michigan ponad półtora tysiąca kilometrów na południe, przez Ohio, Kentucky, Tennessee, Georgię, aż do samej Florydy. Miałem gdzieś nakaz Mavena, bym nigdzie nie wyjeżdżał. Mógłbym ruszyć tą drogą przed siebie. I już nie wrócić.

Czy Rose by za mną podążył? Jak długo by mnie szukał?

Podjechał Uttley moim wozem.

- Boże, Alex! - zawołał, kiedy otworzyłem drzwi od strony kierowcy. - Co się stało?

- Posuń się - poleciałem.

Wyjechałem z parkingu i przeciąłem miasto. Uttley patrzył na mnie długą chwilę, w końcu się odezwał:

- Dokąd jedziemy?

- Do twojego biura.

- Powiedziałem pani Fulton, że wrócimy. Poza tym mój samochód wciąż stoi pod kasynem.

- Później go przyprowadzimy.

Stanęliśmy na czerwonym świetle na całą minutę. Zamknąłem oczy i wziąłem głęboki oddech.

- Jak one się czują? - zapytałem.

- Pani Fulton jest zupełnie rozbita. Ale to zrozumiałe. Sylvia wreszcie przyszła do domu, ale nie chciała zmienić mokrych ubrań. Kiedy wyjeżdżałem, stała przy oknie i patrzyła na jezioro.

Nic nie powiedziałem.

- Co się stało na policji? - naciskał Uttley.

- Są przekonani, że zabiłem Edwina. I pozostałych.

- Co? Chyba sobie żartujesz.

- Nie.

Streściłem mu przebieg rozmowy na posterunku. Słuchał, kręcąc głową.

- Więc nie postawili ci zarzutów? - upewnił się.

- Nie. Ale zabronili mi ruszać się z miasta.

- Cholera, powinienem był pojechać z tobą.

- I co by to dało?

- Alex, potrzebujesz prawnika. To jakiś obłąd.

- Masz rację, potrzebuję twojej pomocy. Ale na razie nie zamierzam przejmować się tymi dwoma pajacami. - Zatrzymałem półciężarówkę przed wejściem do jego biura.

- Co robimy, Alex? Po co tu przyjechaliśmy?

- Musimy jeszcze raz zadzwonić do więzienia - wyjaśniłem. Wysiadłem i czekałem na niego. Uttley długo tarł czoło, ale w końcu i on wysiadł.

Kiedy weszliśmy do biura, opadł na fotel za biurkiem i spojrzał na zegarek: jedenasta z minutami. Skrzywiłem się, siadając na krześle naprzeciwko. Wszystko mnie bolało, czułem się jak stuletni starzec.

- Gdzie ja mam telefon do tego faceta? - zastanawiał się na głos.

Przerzucił górę papierów na biurku i w końcu go znalazł. Wystukał numer, włączył tryb głośnomówiący i odłożył słuchawkę.

- Zakład karny, Browning przy telefonie.

- Panie Browning. Mówi Lane Uttley z Sault Ste. Marie. Rozmawialiśmy parę dni temu.

- A tak, pytał pan o jakiegoś więźnia.

- Maximiliana Rose'a - potwierdził Uttley i spojrzał na mnie. - Jest ze mną pan McKnight. Przepraszam, że znów zawracamy panu głowę, ale obawiam się, że sytuacja coraz bardziej się komplikuje. Doszło do kolejnego... hm...

Podniosłem słuchawkę.

- Mówi McKnight - powiedziałem. - Niech pan mnie posłucha bardzo uważnie. Mam powody przypuszczać, że ten Maximilian Rose przebywa na naszym terenie i dokonał trzech morderstw.

- To niemożliwe - zaprotestował Browning. - Ten człowiek siedzi tu, w więzieniu. Już to sprawdzaliśmy.

- Mam gdzieś, co sprawdzaliście - odparłem. - Musi mi pan uwierzyć. Coś jest nie tak. Nie wiem, jak to się stało, ale moim zdaniem ten u was w celi to nie Rose.

- Panie McKnight, mówiłem to już panu Uttleyowi, ale powtórzę i panu. Osobiście zabrałem zdjęcie z akt personalnych tego człowieka i poszedłem do niego. Zdążył zapuścić całkiem dużą brodę, jednak...

- Co? Brodę? Nikt mi nie mówił o brodzie. - Spojrzałem na Uttleya. Tylko wzruszył ramionami.

- Tak, ma brodę. Ale to ten sam człowiek.

- Skąd ta pewność? - zapytałem. - Przecież ten, kto tam siedzi, musi dziś wyglądać zupełnie inaczej. Na pewno nie jak na zdjęciu.

- Panie McKnight! - Browning ledwie panował nad irytacją. Mówił do mnie powoli, jak do dziecka. - Gdybym przez miesiąc się nie golił, też zapuściłbym brodę. Po roku miałbym długą brodę. Ale nadal byłbym sobą.

- Dlaczego nie chce mnie widzieć? Jak pan to wytłumaczy?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Zresztą, to bez znaczenia. Nie możemy go do tego zmusić.

- Niech pan mi wyśle zdjęcie z akt - poprosiłem. - A potem niech pan pójdzie z polaroidem do faceta w celi i prześle mi także to drugie zdjęcie. Podam panu numer faksu Uttleya.

- Zrobię to tylko na polecenie władz porządkowych.

- A nie może pan tego zrobić dla nas?

- Skoro w tej sprawie prowadzone jest śledztwo i podejrzewacie Rose'a, to czemu nie porozmawia ze mną ktoś z policji? - zapytał. - Sami przyznacie, że to wygląda bardzo dziwnie.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Że nie zadzwonią do niego, bo są przekonani, że to ja dokonałem tych morderstw? Takie wyjaśnienie by mnie pogrążyło.

- Nie mam czasu, żeby to panu wytłumaczyć - odparłem. - Proszę, niech mi pan uwierzy. Nie żyją trzy osoby.

- Niech zadzwoni do mnie ktoś z policji.

- Błagam.

- Przykro mi.

- W takim razie idź pan do diabła. - Rzuciłem słuchawkę na widelki.

Siedziałem, wpatrując się w podłogę. Uttley milczał. W końcu się odezwał:

- I co teraz?

- Pojedziemy po twój samochód. Żebyś mógł wrócić do domu Fultonów.

- A ty nie?

- Nie. Nie powinienem się tam teraz kręcić.

- Więc co zamierzasz?

- Spróbować go odnaleźć.

- Gdzie? - dociekał Uttley.

- Nie wiem. Gdziekolwiek.

- Powinna się tym zająć policja.

- Ale się nie zajmuje.

- Mam nadzieję, że nadal będą trzymali policjanta na czatach przed twoją chatą.

- Po co?

- Cholera jasna - zaklął i podniósł słuchawkę. - Zadzwonię do tego drania.

- Nie rób tego.

- Co?

- Nie chcę tego policjanta.

- Czemu nie?

- W liście Rose napisał, że wie o policjancie. Nie wiem skąd, ale wie.

- Nie rozumiem.

- Jak to nie rozumiesz? Ten policjant nie jest bezpieczny, jeśli Rose o nim wie.

- A co, jeśli się teraz pojawi?

- Będę na niego czekał - odparłem.

- Alex, tak nie można. Nie w ten sposób. Może ja przynajmniej ci pomogę.

- Nie. To sprawa między nim a mną.

- Spójrz tylko na siebie. Może zostanę przynajmniej jedną noc, żebyś się choć trochę przespał?

- Nie potrzebuję snu. Odeśpię wszystko, kiedy to się skończy. Uttley jeszcze przez chwilę protestował, ale zrozumiał, że nie wygra.

W końcu odwiozłem go do kasyna, po jego samochód. Chciał jechać ze mną, pomóc mi szukać Rose'a, ale przekonałem go, że pani Fulton i Sylvia potrzebują go bardziej niż ja. Nie wiem, czy w to uwierzył, ale zostawił mnie i wrócił do domu Fultonów.

Rozejrzałem się po Bay Mills Casino. Szukałem Vinniego. Najlepiej zacząć od rozmowy z nim, pomyślałem. Widział Edwina poprzedniego wieczoru. Może zauważył, że ktoś mu towarzyszy. A może przynajmniej powie mi, kto konkretnie wyrzucił Edwina za drzwi. A nuż ochroniarze kogoś widzieli?

Jak on mnie znalazł? Jak długo tu jest? Obserwuje mnie? Dopiero kilka dni temu wyrobiłem sobie odruch spoglądania we wsteczne lustro, wcześniej nawet nie przyszło mi to do głowy. Czy zobaczyłbym go w śledzącym mnie samochodzie? W małej restauracji obok biura Uttleya często jadałem śniadania. Czy siedział tam, po drugiej stronie sali, i mi się przyglądał? A gdybym odłożył gazetę i spojrział na niego, rozpoznałbym go?

Nie widziałem Vinniego przy żadnym ze stołów do blackjacka, mimo to chwilę stałem, patrząc, co się dzieje. Wmawiałem sobie, że czekam, aż Vinnie przyjdzie do pracy. Ale sam siebie okłamywałem. Po prostu nie miałem pojęcia, co robić.

Po kilku minutach wyszedłem z kasyna, wsiadłem do samochodu i ruszyłem na zachód wzdłuż brzegu jeziora, do miejsca, gdzie znaleziono łódź. Wszystko jedno: zacznę od końca i będę szedł po śladach wstecz. Próbowałem sobie wyobrazić, jak to się odbyło. Samochód Edwina znaleziono przy domku, więc musiał jechać tą drogą. Ale czy sam? I po co miałby tu jechać? Czy jechał z nim Rose? Może Edwin kierował, a Rose siedział obok i wciskał mu lufę w żebra? Albo to Rose prowadził, a Edwin leżał już martwy na tylnym siedzeniu? Niestety nie pamiętałem, czy z Uttleyem zobaczyliśmy w samochodzie krew.

Bagażnik. Zwłoki były w bagażniku. Mercedes Fultona stoi teraz na policyjnym parkingu i pewnie go otwierają. Ile znajdą tam krwi Edwina?

Próbowałem nie dopuszczać do siebie tej myśli, ale nie potrafiłem. Cały czas miałem przed oczami krew. Dotarłem do miejsca, gdzie znaleziono łódź, i długą ścieżką podjechałem do domu. Nadal żywej duszy. Nikt się tu nie pojawił aż do lata. Na dachu stał kurek pogodowy - nie zauważyłem go poprzednio - kręcił się na wietrze jak szalony.

Wysiadłem z półciężarówki i poszedłem powoli na plażę. Łódź zniknęła. Zabrali ją razem z samochodem. Nie został żaden ślad, nic nie mówiło o tym, co tu się stało.

Spojrzałem na wodę. Deszcz ustał. Po niebie sunęły szybko wysokie chmury. Wiatr uderzył mnie w twarz. Miałem wrażenie, jakby chłód przeniknął cały świat. Jakbym miał już nigdy nie poczuć ciepła.

Miałem nadzieję, że nie cierpiał, że dotarł tu martwy, a zwłoki wyrzucono do wody. Miałem nadzieję, że nie leżał w łodzi, brocząc krwią i patrząc, jak Rose wiosłuje. Ze nie wiedział, że zbliża się koniec i że wkrótce otoczy go lodowata woda i już się z niej nie wydostanie.

Dlaczego w ogóle wybrał Edwina? Fulton był bogaczem - a mimo to najbardziej bezradnym człowiekiem, jakiego znałem. Chciałem go znienawidzić za to, że ożenił się z Sylvią, ale nie mogłem. Przypomniał mi się ten wieczór w barze, kiedy powiedział mi, że jestem jego jedynym prawdziwym przyjacielem. „Wszyscy inni chcą tylko moich pieniędzy”.

Jedyny prawdziwy przyjaciel. Najpierw pieprzyłem jego żonę, a potem odezwała się moja przeszłość i jakiś wariat dotarł aż tutaj - i zabił go.

Muszę odnaleźć Rose'a. Tylko to mi pozostało. Tylko tyle mogę zrobić. Odnaleźć Rose'a.

Gdzieś przecież mieszka. Sądząc po telefonach i listach, pewnie rzadko wychodzi z domu w ciągu dnia. Ale musi coś jeść. Rozejrzałem się po plaży. Z tego miejsca nie widziałem innych chat, wiedziałem jednak, że są gdzieś za drzewami. Mógł się do któregoś włamać. I znaleźć tam coś do jedzenia. O tej porze roku nikt by go tu nie szukał. A na brzegu jeziora stały setki takich chat. Sprawdzenie ich potrwałoby wiele tygodni.

No nie, przecież nie włamałby się do domku. Podpowiadało mi to przecucie. Próbowałem myśleć jak on, patrzeć na świat jego oczami. Wszyscy wokół to źli obcy. Nikomu nie można ufać. Ukrywasz się przez cały dzień. Gdzie? Gdzieś, gdzie jest bezpiecznie. Za mocnymi drzwiami z solidnym zamkiem. Przypomniałem sobie, jak długo musieliśmy czekać przed jego mieszkaniem, nim otworzył wszystkie zamki. Do domku trzeba by się włamać drzwiami albo oknem. A zniszczonych drzwi czy okien nie można za sobą zamknąć na klucz.

Wróciłem do samochodu. Mieszka w motelu. A tam zamek w drzwiach to za mało, bo recepcjonista i pokojówka mają klucz. Ale jest też zasuwka. A zasuwkę można otworzyć tylko od środka.

Wyjechałem ze ścieżki przy chacie i wróciłem do Soo. To tam zabił Binga, po tym jak zobaczył go w barze. Restauracja, gdzie zabił Dorneya, była zaledwie kilka przecznic dalej. Może mieszka po tej stronie miasta, niedaleko mostu? To by miało sens. Zresztą, nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

Wjechałem do miasta i zacząłem sobie przypominać wszystkie motele. Letnicy już wyjechali. Zostali myśliwi. Czy Rose się wyróżnia? Czy recepcjonista z motelu mógł go zapamiętać? Pierwsze zabójstwo popełniono zaledwie siedem dni temu. Kiedy ten drugi pojawił się w mieście? Od jak dawna mnie obserwuje?

Jechałem przez Soo, zatrzymując się przy każdym motelu. Jak zdobyć informacje? Nie miałem policyjnej odznaki, nie miałem nawet zdjęć. Tylko nieprecyzyjny rysopis. Dziwny mężczyzna, oczy, których nie można zapomnieć, na głowie prawdopodobnie wielka blond peruka. Oczywiście po tej peruce na pewno by go pan zapamiętał. Zjawił się w mieście co najmniej tydzień temu, może wcześniej.

Sam musiałem wyglądać dość dziwnie. Niewyspany, nieogolony. Wciąż miałem na sobie ubranie z poprzedniego dnia. Koszula najpierw przemokła mi do suchej nitki, a potem wyschła na mnie i wyglądała jak wyjęta psu z gardła.

Większość recepcjonistów okazała się bardziej uprzejma, niż mógłbym się spodziewać. Chyba uwierzyli, że jestem prywatnym detektywem. Nawet bez wizytówki. Ale nikt nie widział nikogo w blond peruce czy o oczach, których nie można zapomnieć.

Wypytywałem przez cały dzień, pojechałem na zachód, a potem w stronę autostrady. Ile moteli odwiedziłem? Gdybym przestał o tym myśleć, załamałbym się. A tak przynajmniej mogłem coś robić, nie tylko czekać. Przejechałem obok motelu Riverside, gdzie wszystko się zaczęło. Rose się w nim pewnie nie zatrzymał. Zobaczył Binga w barze i poszedł za nim. To byłby zbyt duży zbieg okoliczności, by obaj mieszkali w Riverside. Ale i tak przejechałem tamtędy. Musiałem jeszcze raz rzucić okiem na ten motel. Był zamknięty, a w oknie recepcji wisiała wielka kartka: „Sprzedam”.

Stałem na pustym parkingu i siedziałem przez chwilę w aucie. Szukałem go niemal przez cały dzień i kończyły mi się pomysły. Chwileczkę. Zacząłem od Soo, bo tu dokonano tyle morderstw, a potem jechałem na zachód. A może jednak w przeciwnym kierunku? Rose jakoś mnie odszukał i wie, że mieszkam w Raju. Może więc zatrzymał się w Raju? Warto sprawdzić.

Objechałem zatokę i wróciłem do Raju. Po drodze jeszcze raz zatrzymałem się w kasynie. Vinnie przyszedł do pracy, ale nie dowiedziałem się od niego niczego istotnego. Nie zauważył nic podejrzanego. Znalazł ochroniarzy, którzy wyprowadzili Edwina z restauracji, niestety oni też mi nie pomogli.

Raj to mała miejscina, ale ruch turystyczny jest tu na tyle duży, że utrzymuje się z niego dziesięć moteli, małych rodzinnych pensjonatów po osiem do dziesięciu pokoi z ładnym widokiem na jezioro. Broszury w recepcji reklamowały Muzeum Wraków i Park Narodowy Wodospadu Tanquamenon, piesze wycieczki latem, polowanie jesienią i skutery śnieżne zimą. Znałem większość właścicieli tych hotelików na tyle dobrze, by kłaniać się im na poczcie. Ale żaden nie umiałby mi pomóc. Jeśli Rose był w Raju, to nieźle się ukrywał.

Zachodziło słońce. Wpadłem do Glasgow Inn, żeby zjeść kolację, zebrać myśli i przygotować się na kolejne długie nocne czuwanie. W knajpie spotkałem stałych gości, ale żaden się do mnie nie odezwał. Na pewno wszyscy usłyszeli o liście, jaki tu dostałem, o tym, że omal nie pobiliśmy się z Mavenem na parkingu, no i o Edwinie. Jackie postawił przede mną talerz, ścisnął mnie za ramię - i się zmył.

Kiedy dotarłem do domu, zapadły już ciemności. Obszedłem go dookoła. Właściwie nie wiedziałem, czego szukam. Po prostu stwierdziłem, że tak należy zrobić. A potem, już w chacie, spojrzałem na policyjne urządzenie wciąż podłączone do telefonu. Wziąłem do ręki walkie-talkie, włączyłem, słuchałem szumu i w końcu wyłączyłem odbiornik. Te gadżety na nic mi się nie przydadzą. Zdziwiłem się, że Maven nie poprosił mnie o ich zwrot. Musiał zapomnieć. Pewnie siedzi teraz w domu przed telewizorem i puka się w czoło. Cholera jasna, mówi do żony, nie ochrzaniłem McKnighta, a przecież powinien oddać nagrywarkę do telefonu i krótkofalówkę. To własność policji.

Rewolwer leżał nadal na stoliku przy łóżku. Wziąłem go do ręki. Co mi pozostało? Już tylko czekać. Teraz ruch należał do Rose'a.

Usiadłem na chwilę na łóżku; co robisz, wariacie? Chcesz zaraz zasnąć? Wstałem i przycupnąłem na twardym drewnianym krześle przy kuchennym stole. Czas płynął powoli. Zerknąłem na zegarek: daleko do jedenastej. Popatrzyłem w okno, ale zobaczyłem tylko własne odbicie. Wyłączyłem wszystkie światła i wyjrzałem na dwór. Lampa nad drzwiami ledwie świeciła. Widziałem tylko skraj drogi, krzewy, stertę drew i kilka sosen. Dalej we wszystkich kierunkach rozciągał się las. Księżyc skrył się za chmurami.

Cisza jak makiem zasiał. Świerszcze dawno już się pochowały, a żaby zapadły w zimowy sen. Wiatr też ucichł. Nie poruszał najmniejszym listkiem.

Usiadłem znów na krześle... i głowa mi opadła. Uttley miał rację, muszę się przespać. Powinienem być pozwolić mu zostać tu na noc.

A może jednak zadzwonić? Chyba powinienem pogadać z Uttleyem. Telefon. Wystukaj numer.

Idę po telefon.

Zobaczyłem sam siebie, jak podnoszę słuchawkę. Poplamiona krwią! Zobaczyłem krew na moich rękach. I kałuża krwi na podłodze. Krew była wszędzie.

To sen. Obudź się! Nie wolno ci teraz spać. Nie wolno!

Podnoszę głowę. Nie jestem w chacie. Przede mną okno. Wstaję, podchodzę do niego i widzę wielkie podwórko: otaczają je cztery ściany z tysiącem okien. Pośrodku stoi człowiek. Ledwo go widzę, to podwórko jest ogromne. On stoi do mnie plecami. Pochyla się nad czymś.

Odwraca się i patrzy na mnie. Wie, że tu jestem. Wpatruje się we mnie. Widzę, że ostrzy nóż - tak jak robiono to dawniej - pociera go o kamień. Ostrzy nóż i nie spuszcza ze mnie oka.

Biegnę. Wpadam do korytarza. To korytarz w bloku w Detroit. Mijam setki drzwi, w końcu któreś otwieram. Franklin leży na podłodze, cały we krwi. Patrzy na mnie. „Nie zostawiaj mnie tu”, prosi. Ściany są pokryte aluminiową folią.

Zamykam drzwi. Słyszę jeszcze, jak Franklin mnie woła. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Nie mogę biec tak szybko, jak chcę. Korytarz nie ma końca.

Otwieram kolejne drzwi... znajduję Edwina, który leży na białym stole. Jest mokry i opleciony wodorostami. Patrzę na niego i mówię, że mi przykro. Próbuje otworzyć oczy. Ale nie ma oczu. Wyżarły mu je ryby.

Słysząc walenie do drzwi. Edwin chwyta mnie za rękę. Choć jej nie widzi, udaje mu się ją znaleźć. Ciągnie mnie, a ja się wyrywam.

Znów słyszę walenie. Za chwilę drzwi wypadną z futryny. On zaraz tu będzie. Nie mogę się przed nim dłużej ukrywać.

Obudziłem się.

Siedziałem przy kuchennym stole. Słysząc było tylko mój oddech i ciche tykanie zegarka.

A potem walenie do drzwi.

Zerwałem się z krzesła. Rewolwer. Gdzie jest rewolwer?

Znów walenie.

Cholera, broń. Nie wiem, gdzie jest. Nie ma jej na stole, nie ma przy łóżku. Do kurwy nędzy, gdzie mój rewolwer?

Znów walenie.

Jest, pod stołem w kuchni. Trzymałem go w ręku, kiedy zasnąłem. Padam na kolana i go wyciągam. Sprawdzam. Nabity. Wstaję. I idę do drzwi.

Walenie ucichło.

Nasłuchiwałem.

Cisza.

Czekałem. I nic.

Uniosłem broń i przekręciłem klucz w zamku. Uchyliłem je i wyjrzałem w ciemność.

Sylvia podniosła na mnie wzrok.

- Alex.

Miała na sobie ten sam sweter, w którym widziałem ją rano z okna Fultonów. Był suchy, ale nadal nie włożyła płaszcza. Widziałem, że drży, więc chwyciłem ją za ramiona i wciągnąłem do środka.

- Co tu robisz?

Nie odezwała się. Stała i rozglądała się po chacie. Choć spędziliśmy ze sobą tyle czasu, jeszcze tu nie była. Złapałem koc i zarzuciłem jej na ramiona.

- Usiądź - poprosiłem. - Zagotuję wodę na herbatę.

Usiadła przy stole, na krześle, na którym przed chwilą drzemałem.

- Nie powinnaś tu przychodzić - oświadczyłem, stawiając garnek z wodą na kuchence. - Powinnaś być w domu z matką Edwina.

- Nie ma jej - odparła, wbijając wzrok w podłogę.

- Co?

- Wróciła do Grosse Pointe. Stwierdziła, że nie wytrzyma tu ani minuty dłużej.

- Ale co... no jeśli go znajdą?

- Wyślą go tam. Tam będzie pogrzeb.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Stałem i gapiłem się na garnek. W chacie panowała cisza, przerwało ją dopiero bulgotanie wrzątku.

- Gdzie jest Uttley? - zapytałem.

- Odesłałam go do domu. Nie lubię go. Jak w ogóle możesz dla niego pracować? Przypomina mi sprzedawcę z komisju samochodowego.

- Sylvia, do jasnej cholery!

- Co, Alex? - W końcu spojrzała na mnie. - Co?

- Sam nie wiem - odparłem. - Przepraszam.

- Za co mnie przepraszasz?

- Za wszystko. Za wszystko.

Chciała coś powiedzieć, ale tylko pokręciła głową i znów wbiła wzrok w podłogę. Zaparzyłem jej herbatę i postawiłem kubek przed nią na stole.

- Nie ma go - szepnęła. - Naprawdę go nie ma.

- Stało się.

- Tego właśnie pragnęłam. Marzyłam o tym co wieczór.

- Sylvio, nie mów tak.

- To prawda, Alex. Pragnęłam, żeby zniknął na zawsze. I zniknął.

- Ale przecież nie z twojej winy.

- Ja to sprowokowałam. Tak bardzo tego chciałam, że w końcu to marzenie się spełniło. I wiesz, co jest najdziwniejsze? Że nic nie czuję. Gdyby był złym człowiekiem, cieszyłabym się. Gdyby był dobry, czułabym się winna. A ja nie czuję zupełnie nic. Po prostu... Po prostu... Jest mi to obojętne.

- Wciąż jesteś w szoku. Musi minąć trochę czasu.

- A ty będziesz mi pomagał, tak? O to ci chodzi? Teraz, kiedy on nie żyje. Kiedy nie jestem już żoną twojego przyjaciela.

- Nie to chciałem powiedzieć.

- Akurat - prychnęła. Zrzuciła koc z pleców i wstała. - Po co ja tu w ogóle przyszedłam? Co ja tu, do cholery, robię? - Rozejrzała się. - Co za klitka. Nawet moja łazienka jest większa.

- Sylvia, przestań.

- Powinnaś się domyślić, że jest taka mała. Sam ją pewnie zbudowałeś, co? Dziwne, że jeszcze stoi.

- Przestań! - Podszedłem do niej i znów złapałem ją za ramiona. Tym razem mocniej.

- Puść mnie.

Patrzyłem na nią.

- Puść mnie - powtórzyła.

Ale się nie wyrywała. Nie próbowała uciekać.

Stała bez ruchu. O czym myślała? Z jej spojrzenia nie potrafiłem niczego wyczytać.

- Nie powinnaś tu przychodzić - odezwałem się w końcu. - Tu nie jest bezpiecznie.

- Jak to nie jest bezpiecznie? Przecież pilnuje cię policjant.

- Nie.

- Ależ tak - upierała się. - Ukrył się w lesie w nieoznakowanym wozie.

- Nie, Sylvia. Nie ma go już.

- Ależ jest - powtórzyła. - Sama go widziałam.

- O czym ty mówisz? Kiedy go widziałaś?

- Dzisiaj. To znaczy teraz. Kiedy tu podjeżdżałam. Na pewno tam jest.

Nie odrywałem wzroku od jej oczu, włosów, ust. Czułem ciepło jej ciała. Niech to wszyscy diabli, pragnąłem jej bardziej niż kiedykolwiek.

Rozdział 16

OGARNAŁ MNIE STRACH. Nie mogłem nad nim zapanować. Czulem jego zimny dotyk w żołądku, który powoli zaczął podchodzić mi do gardła.

- Sylvio, proszę cię - odezwałem się. - Opowiedz mi dokładnie, co widziałaś. Czy w tym samochodzie ktoś siedział?

- Nie. Widziałam tylko samochód. Nie wiem jaki. Zwykły samochód. Zresztą kiepsko schowany. Połowa wystaje spomiędzy drzew.

- Gdzie? Gdzie dokładnie stoi ten wóz?

- Tu niedaleko - odparła i ruszyła do okna.

- Nie! - Chwyciłem ją za rękę. - Nie podchodź do okna.

- Co się z tobą dzieje?

- Sylvia, to nie policjant. Tam przed chatą nie stoi policjant.

Coś się w niej zmieniło. Czulem, że uchodzi z niej gniew.

- A kto? - zapytała.

- Być może Rose.

- Ten, który do ciebie strzelał?

- Tak.

- Ten, który... - Nie dokończyła.

- Tak podejrzewam.

- Po co tam stoi?

- Nie wiem.

Spojrzała w stronę okna.

- Co zamierzasz zrobić?

- Zadzwoń na policję. Kładź się na podłogę.

- Po co? - zdziwiła się. W jej głosie usłyszałem nutę strachu. Zaciągnąłem ją za kanapę.

- Usiądź tu, proszę.

- Alex, zaczynam się trochę bać.

- Już dzwonię po policję - uspokoilem ją i wziąłem do ręki słuchawkę.

Cisza. Telefon nie działał. Gapiłem się na aparat.

- Nie do wiary.

- Co się stało?

- Przeciął przewód telefoniczny. Przeciął przewód!

- Alex, teraz zaczynam się naprawdę bać!

Nie odezwałem się.

- Alex...

Wziąłem rewolwer ze stołu i wyłączyłem światło w kuchni. Na ścianie wisiała latarka. Złapałem ją i zgasilem lampkę przy łóżku. W chacie zrobiło się ciemno, przez okno wpadał tylko mdły blask żarówki nad drzwiami.

- Alex, co zrobimy?

Uklęknąłem.

- Poczekamy kilka minut, aż oczy przywykną nam do ciemności.

Objęła kolana rękoma.

- Zaraz wracam - powiedziałem.

- Dokąd idziesz? - Chwyła mnie za ramię.

- Zerknę tylko przez okno.

Podczołgałem się i wyjrzałem przez szybę. Żarówka oświetlała polankę przed chatą i pierwszy rząd sosen. Po prawej stronie polanki, na poboczu drogi widać było maskę samochodu. Sylvia nie kłamała. Kiepsko schowany. Każdy mógł go zobaczyć. Ale nie widziałem, czy ktoś w nim siedzi. Po lewej stronie polanki zobaczyłem stertę polan, moją półciężarówkę i czarnego jaguara Sylvii.

Maski obu samochodów były podniesione.

Podczołgałem się z powrotem do Sylvii.

- Czy kiedy przyjechałaś, maska mojego wozu była podniesiona?

- Nie pamiętam. Chyba nie.

- Nie zamykałaś swojego auta, prawda?

- Nie, Alex. O co ci chodzi?

- Podniósł maski obu samochodów - wyjaśniłem. - Pewnie zdjął głowice rozdzielacza albo coś takiego. Żebyśmy nie uciekli.

- I co teraz?

Zastanawiałem się gorączkowo. On czai się gdzieś przy chacie. Wie, że Sylvia jest ze mną. Nie mamy telefonu. Nie mamy samochodów. Inne chaty stoją ponad pół kilometra dalej wzdłuż drogi, którą wozi się drewno. Ale tam również nie ma

telefonów. Telefon jest tylko w chacie Vinniego, prawie kilometr w drugą stronę. Gdybym wymknął się tylnym wyjściem, może bym tam dotarł, ale nie chciałem zostawiać Sylvii samej... ani też ciągnąć jej ze sobą.

- Posiedźmy chwilę w ciszy - powiedziałem. - Zobaczymy, co on zrobi.

- A jeśli spróbuje wejść do chaty?

- To go zastrzelę - odparłem.

- Nie podoba mi się to.

- Ja też się do tego nie palę.

Sylvia oparła głowę o ścianę. Minęła jedna długa minuta, potem druga, i w końcu straciłem poczucie czasu. Byliśmy tylko my dwoje: siedzieliśmy na podłodze za kanapą i nasłuchiwaliliśmy.

W końcu rozległ się jakiś dźwięk: prychnięcie rozrusznika, ryk silnika i stukot - kierowca powinien wymienić tłumik - a potem odgłos samochodu jadącego leśną drogą. Warkot silnika cichł coraz bardziej, aż ucichł całkowicie.

- Chyba odpuścił - stwierdziłem. - Po prostu odjechał.

- Ale dlaczego?

- Bo ja wiem? To wariat.

- Ale dlaczego tak po prostu odjechał?

- Sylvio, to kompletny świr. Nie rozumiem, dlaczego coś robi.

- Jesteś pewien, że to był on?

- Jasne - odparłem. - A kto inny?

- Co teraz?

- Zaczekaj tutaj - poleciłem. Podeszedłem znów do okna i wyjrzałem. Pusto. Jego samochód zniknął. Wyłączyłem światło nad drzwiami. Zapadła całkowita ciemność.

- Alex, dlaczego zgasiłeś żarówkę?

- Chcę sprawdzić nasze samochody. Ale nie przy jej świetle. Poświecę sobie latarką.

- Nie wychodź!

- Sylvio, jeśli uda mi się uruchomić choć jeden samochód, podjadę do drzwi, a wtedy ty wskoczysz i uciekniemy.

Uchyliłem drzwi i wyjrzałem na dwór. Do chaty wpadło chłodne powietrze. Ruszyłem w stronę samochodów z rewolwerem w jednej ręce i latarką w drugiej. Na razie nie włączyłem latarki. Księżyc oświetlał mi drogę.

Dotarłem do półciężarówki i zerknąłem szybko do kabiny. Komórka zniknęła. Zajrzałem pod maskę. Błysnąłem tylko na chwilę latarką: nie zdjął głowicy rozdzielacza, ale porozłączał wszystkie świece. Odłożyłem rewolwer i latarkę i próbowałem podłączyć świece po ciemku. Tylko spokojnie, powtarzałem sobie. Uspokój się i myśl. Jak idą te przewody? Od pierwszej do czwartej po tej stronie. Jedyńka tutaj, dalej dwójka, trójka... chwilę. Na pewno? Cholera. Gdybym chociaż widział, co robię... Włączyłem na sekundę latarkę, rozejrzałem się, wyłączyłem i próbowałem cały ten układ zapamiętać. Czwórka była tutaj. Poczulem stróżkę potu na policzku. Gdzie ten pieprzony przewód? No dobrze, a gdzie piątka? Gdzie, do cholery, jest piątka? Znow włączyłem na sekundę światło.

Jakiś dźwięk! Rzuciłem się na ziemię i zacząłem szamotać się z latarką. W końcu ją wyłączyłem. Leżałem, nasłuchując. Serce waliło mi jak młotem.

To był tylko nietoperz; śmignął mi nad głową. Przeklęty nietoperz.

Wstałem i znow zabrałem się do podłączania przewodów świec. Ręce mi się trzęsły.

No dobra, piątka idzie tutaj. Szóstka, siódemka. W porządku. Czy robię to jak trzeba, do czorta? Czy ten wózek odpali? Teraz ósemka. Jeszcze jeden przewód. Gdzie ona jest? Gdzie jest ta ósemka? Włączyłem na chwilę latarkę. O, tu. Jeszcze tylko podłączyć. I gotowe. Mam nadzieję.

Opuściłem maskę, nawet jej nie docisnąłem. Bylebym widział, gdzie jadę. Wydostaniemy się stąd, dotrzemy do głównej drogi, może zajedziemy do Glasgow Inn, jeśli Jackie nie zamknął jeszcze knajpy, i zadzwonimy po policję. A potem wypijemy drinka albo dwa, a najlepiej pięć.

Otworzyłem drzwi i wsunąłem się za kierownicę. Kluczyki! Gdzie, u diabła, są kluczyki? Odłożyłem latarkę i rewolwer na siedzenie pasażera i przetrząsałem swoje kieszenie. Cholerne kluczyki! Są. Wyciągnąłem je i wymacałem na kółku kluczyk do stacyjki. Po kiego licha nawieszałem sobie tyle tych kluczy? Klucze do auta, klucze do chaty, i wystarczy. Po co mi to całe inne żelastwo?

I wtedy wybuchła szyba. W jednej chwili rozległ się wystrzał, brzęk szkła i krzyk - mój krzyk. Pchnąłem drzwi samochodu i rzuciłem się na ziemię. Dostałem? Krwawię?

Nie oberwałeś, Alex. Wciąż żyjesz. Na razie. Weź się w garść. Próbuje oddychać. Nie mogę oddychać. Oddychaj, do cholery! Rewolwer. Gdzie rewolwer? Uniosłem głowę. Na siedzeniu, zasypany milionem kryształków szkła. Rewolwer i latarka.

Chwyciłem je. Poczulem, jak odłamki szkła wbijają mi się w dłonie. Ale dobrze, masz broń. I latarkę. Teraz tylko oddychaj. Zmusz się do oddychania.

Gdzie on jest? Strzelił w okno od strony pasażera, więc musi być po drugiej stronie wozu. Kryje się w lesie? Dwadzieścia, trzydzieści metrów stąd? Przy sterce polan? A może stoi tuż przy samochodzie i czyha na mnie?

Co robić? Czekać? Uciekać?

Mów. Powiedz coś do niego. Zmusz się!

- Rose! - krzyknąłem. - Rose, jesteś tam?

Cisza.

- Rose, to ty?

Dalej cisza. Pokręciłem głową. Odgłos wystrzału wciąż dźwięczał mi w uszach.

- Rose, do cholery, odezwij się!

Usłyszałem śmiech. Gdzie? Chyba między drzewami. Przesunąłem się na tył samochodu i wyjrzałem. Za ciemno. Schowałem się za auto i włączyłem latarkę. Podniosłem rękę i czekałem na kolejną kulę.

Cisza.

Znów wyjrzałem zza auta, starając się trzymać latarkę jak najdalej od głowy. Jeśli strzeli, niech strzeli w stronę światła. Nigdzie go nie widziałem. Skierowałem snop światła na sosny. Ani śladu.

- Rose, gdzie jesteś? - No przecież musi tam gdzieś być. Między drzewami. - Pokaż się!

Znów śmiech. Tak, spomiędzy drzew.

- Rose, zadzwoniłem na policję! Będą tu lada chwila! Wychodź i rzuć broń!

- Sprytnie, Alex! - Ten głos. Jego głos? To wydarzyło się tak dawno temu. Jak brzmiał jego głos? Przez telefon mówił szeptem. Ciężko było zgadnąć.

- Wiem, że przeciąłeś linię telefoniczną, Rose! Ale mam krótkofalówkę! - Blef, uznałem jednak, że warto zaryzykować. - Policja jest już w drodze!

Nastąpiła długa cisza.

- Nie wydaje mi się, Alex - odezwał się w końcu. - Poddaj się.

- Czego ode mnie chcesz? - Jak z nim pograć? Co można powiedzieć szaleńcowi? - Czego ode mnie chcesz, Rose?

- Żebyś się bał, Alex. Tylko tego chcę. Boisz się?

- Tak - odparłem. Omiatałem snopem światła latarki ścianę drzew. Skąd dochodzi jego głos? Za którym drzewem się chowa? - Tak, boję się.

- Cieszę się, Alex.

- Więc możesz już sobie iść, prawda?

Roześmiał się.

- Alex, mnie tu w ogóle nie ma. Jak mogę być? Przecież siedzę w więzieniu, pamiętasz?

- W porządku, Rose. - Drażni się ze mną. Gniew. Muszę poczuć gniew. Wstać i raz w moim pieprzonym życiu coś w końcu zrobić. Nie będę tu siedział i czekał, aż znowu do mnie strzeli. - Rzuć broń, Rose. Rzuć broń, i wynoś się.

- Co zamierzasz, Alex?

- Zamierzam cię dopaść, Rose. Przysięgam na Boga, że zaraz cię dorwę.

- Bez broni?

Chwileczkę. Dlaczego bez broni? O co chodzi? Co jest grane?

- Mam broń, Rose. A teraz spadaj.

- To nie jest prawdziwa broń, Alex. - Roześmiał się. - Wiem, że to nie jest prawdziwa broń. I co teraz?

Boże, co on gada? Przecież to jakieś brednie. Dlaczego myśli...

Dość. To wariat. Nie próbuj go zrozumieć. Rusz się.

Wstałem. Latarkę trzymałem w lewej ręce, rewolwer w prawej. Złożyłem je w dwuręczny uchwyt, tak jak uczyli mnie w akademii policyjnej lata temu. Snop światła i muszka rewolweru znalazły się teraz w jednej linii. Mogłem strzelać do wszystkiego, co zobaczę.

- Idę po ciebie, Rose. Rzuć broń.

Znów śmiech. Zza którego drzewa?

- Rzuć broń. - Podszedłem bliżej. Chciałem, żeby zaśmiał się jeszcze raz. Coś usłyszałem. Szelest liści, trzasnęła gałązka.

- Rzuć broń, Rose!

Tam. Zza tamtego drzewa.

- Rzuć broń!

Zobaczyłem blond perukę. I pistolet w jego dłoni. Strzeliłem. Cztery razy: pierś, pierś, głowa, pierś.

Zamarłem. Echo wystrzału z mojego rewolweru przebrzmiało w lesie. Ale wciąż dźwięczało mi w głowie. Ręce mi drżały. Czulem smród spalonego prochu.

W końcu usłyszałem samochód. Nie odwróciłem się. Samochód wjechał na polankę, zgniatając oponami trawę. Drzwiczki otworzyły się i zamknęły. Kroki.

- Alex, co się stało?

Podniosłem wzrok. To Uttley.

- Wydawało mi się, że słyszałem strzały - powiedział. - Jechałem właśnie od Fultonów. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale nie mogłem. Pomyślałem więc, że powinienem... - I wtedy zobaczył nogi na ziemi.

Znów kroki. To Sylvia. Wyszła z chaty i stanęła przy mnie.

- To on? - zapytał Uttley. Chyba jej nie zauważył. - Czy to Rose?

Poświeciłem latarką na jego twarz. Strzał w głowę zerwał mu perukę i zdarł płat skóry.

- Nie - odparłem.

- Co?

- Nie wiem, kto to jest - powiedziałem. - Nigdy tego człowieka nie widziałem.

Rozdział 17

SIEDZIAŁEM W TEJ SAMEJ SALI PRZESŁUCHAŃ. Na ścianie wisiała ta sama mapa łowisk. Ktoś próbował zmyć z niej kawę, ale od jeziora Nicolet aż do zatoki Potagannissing wciąż ciągnęła się bladobrazowa smuga.

Uttley zadzwonił po policję ze swojej komórki. Maven przyjechał niedługo po funkcjonariuszach. Przywiózł mnie osobiście na posterunek i kazał relacjonować wydarzenia wieczoru kilka razy. Potem domagał się tego detektyw Allen. Opowiadałem im to samo jeszcze osiem czy dziewięć razy, żeby dobrze wszystko zrozumieli. Uttleya chyba przesłuchiowano w innej sali, a Sylwię w jeszcze innej. Składali zeznania. Miałem nadzieję, że już przez to przebrnęli i teraz leżą w domu w swoich łózkach. Albo jedzą śniadanie. Straciłem poczucie czasu. Nie wiedziałem nawet, czy to noc, czy dzień. W sali nie było zegara. A gdzie mój zegarek? Posiałem go gdzieś czy został w chacie? Mógłbym wstać i rozsunąć żaluzję, ale siedziałem po prostu na krześle, z rękoma na stole, i gapiłem się na mapę.

Kiedy po raz kolejny wszystko opowiadałem, do sali zajrzał umundurowany policjant i powiedział Mavenowi i Allenowi, że ma dla nich ważną wiadomość. Patrzyłem, jak wychodzą: poruszali się sztywno, jak to gliniarze w średnim wieku. Włożyć im kapelusze - i wypisz wymaluj Joe Friday i Bill Gannon. Takie rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy, kiedy jest zmęczony i wytrącony z równowagi.

Nie roztrząsałem tego, co się stało, nie zastanawiałem się, co to dla mnie znaczy, nie myślałem, że zabiłem człowieka, kimkolwiek był. Odkładałem to na później, aż wezmę się w garść.

W końcu znów otworzyły się drzwi. Maven i Allen weszli i usiedli naprzeciwko mnie. Allen wziął głęboki oddech i spojrzał mi prosto w oczy. A Maven wbił wzrok w ścianę za moimi plecami. Wyglądał tak, jakby właśnie próbował urodzić kamień nerkowy.

- Panie McKnight - zaczął Allen. - Czy mówi panu coś nazwisko Raymond Julius?

- Nie.

- Tak się nazywał ten człowiek.

- Ten, którego zastrzeliłem?

- Tak. Nie znał go pan?

- Nie.

- Nic pan o nim nie wie?

- Nie.

- No cóż, za to Raymond Julius najwyraźniej wiedział dużo o panu - stwierdził Allen.

Maven nie przestawał wpatrywać się w ścianę. Nawet na mnie nie zerknął.

- Nie rozumiem - powiedziałem.

- Wygląda na to, że Julius dużo myślał o panu. Śledził pana, obserwował. Pisał o panu.

- Skąd to wiecie?

- W jego mieszkaniu to i owo znaleziono.

- Nadal nie rozumiem. To on pisał listy? To on zabił Binga i Dorneya? I Edwina?

- Wiele na to wskazuje - odparł Allen. - Tak wynika przynajmniej ze znalezionych dowodów. - Rzucił spojrzenie na Mavena, który nadal milczał jak zakłęty. W końcu zaczęło do mnie docierać, o co chodzi. Maven przekonał Allena, że to ja jestem sprawcą. Allen zgodził się zapędzić mnie w kozi róg. A teraz, kiedy prawda wyszła na jaw, Allen był zażenowany. I wyrzucał sobie, że pomagał Mavenowi.

- Jakich dowodów?

Allen wyjął mały notes i przerzucił kilka kartek.

- Ślady krwi. Sprawdzimy je i dowiemy się, czyja to krew. Tłumik do pistoletu kaliber 9 milimetrów, pasujący do broni znalezionej przy Juliusie. Oczywiście i pistolet, i tłumik zbada laboratorium balistyczne. Zobaczymy, czy pasują do nich kule znalezione w ciałach Binga i Dorneya.

- Dziś w nocy nie używał tłumika - zauważyłem.

- Nie - przyznał Allen. - Zostawił go w kasetce z bronią.

- To bez sensu.

- Niekoniecznie. Mieszka pan w środku lasu. Pewnie doszedł do wniosku, że tłumik jest zbędny.

Pokręciłem tylko głową.

- Na biurku stała maszyna do pisania - ciągnął Allen. - Znaleźliśmy też kilka kartek z opisem jego poczynań w ostatnich kilku miesiącach. Coś jakby dziennik. Pamiętnik. Na pierwszy rzut oka czcionka na tych kartkach odpowiada czcionce z listów.

- Był pan tam? Widział pan to wszystko?

- Tak. Dlatego czekał pan na nas dwie godziny. - Rzucił kolejne spojrzenie Mavenowi, a on milczał.

- O czym pisał w tym dzienniku?

- Na razie nie mogę wchodzić w szczegóły. Ale mogę panu powiedzieć, że Julius miał spore problemy z samym sobą. Na biurku znaleźliśmy też kilka wycinków prasowych. Kopie artykułów, które ukazały się w „Detroit News” i „Detroit Free Press” latem 1984 roku.

- Latem 1984? - upewniłem się. - Czy były o...

- Tak, o Maximilianie Rosie. O strzelaninie. I jeden tekst o pańskim powrocie do zdrowia.

- Chyba go pamiętam. Dziennikarz z „News” przyszedł do szpitala.

- Ten artykuł wisiał na ścianie. Tuż przy łóżku.

- No nie, to jakiś obłąd.

- Tak jak mówiłem, panie McKnight, to był bardzo chory człowiek. Najwyraźniej stwierdził, że ma pan szczególną... siłę czy coś podobnego. Uznał pana za kogoś w rodzaju mesjasza.

- Wybrańca - poprawiłem. - Tak pisał w listach.

- Właśnie.

- A co z treścią listów? - zapytałem. - Skąd wiedział, co powiedział mi Rose? Nie mógł tego wiedzieć, chyba że...

- Można to powiązać. W dzienniku wspominał o jakiejś łączności z Rose'em - wyjaśnił Allen.

- Kiedy Rose był w więzieniu? Jaki to rodzaj łączności? Listy? Telefony?

- Na razie nie wiemy - zastrzegł Allen. - Nie pisał konkretnie, tylko coś o tym, że staje się Rose'em, że w jakiś sposób przejmuje jego tożsamość.

- Muszę to zobaczyć - oświadczyłem. - Macie te dokumenty tu na posterunku?

- Nie, panie McKnight. Sam pan wie, jak to się odbywa. Na razie wszystko jest w mieszkaniu ofiary. Trzeba przeprowadzić dokładne badania.

- Zdawało mi się, że uznał pan rozwiązanie tej sprawy za oczywiste.

- Owszem - odparł Allen. - Ale musimy trzymać się naszych procedur.

- Mogę pojechać do niego do domu?

- Nie, panie McKnight. Proszę pozwolić nam nad tym pracować. Obiecuję, że cały materiał panu udostępnimy.

- Nadal nie rozumiem - powiedziałem. - Nawet go nie znam. Skąd w ogóle wiedział o sprawie Rose'a?

- Po prostu pana wybrał - stwierdził Allen. - A wiadomo dlaczego? Wybrał i już. Uczestniczyłem w kilku takich sprawach. Jedną pamiętam doskonale. Facet zajeżdżał komuś drogę na skrzyżowaniu. Okazało się, że ten, któremu zajeżdżał drogę, śledził go do samego domu, dowiedział się, kim jest, zaczął do niego wydzwaniać, wysłać mu listy. Doszło do tego, że prześladowany musiał się przeprowadzić. Ale tamten znowu go odnalazł i w końcu nawet próbował go zabić. Na szczęście w porę go złapaliśmy. O takich ludziach teraz mówimy. Zwykle wystarczy drobiazg, żeby wywołać lawinę. Widzi pana, coś mu zaskakuje w głowie. I nagle musi dowiedzieć się wszystkiego o panu. W pańskim przypadku dowiedział się, że ktoś pana postrzelił, więc sięgnął po archiwalne wycinki z gazet. I stworzył sobie cały mały wszechświat, w którego centrum był właśnie pan.

- Ile to trwało? - zapytałem. - Kiedy się zaczęło?

- Sądząc po zapiskach w dzienniku, najprawdopodobniej pięć, sześć miesięcy temu.

Pokręciłem głową.

- Dlaczego ja?

Maven odchrząknął.

- Może to przez twoją dynamiczną osobowość - odezwał się w końcu. - Może przez niewiarygodny urok osobisty. A może dlatego, że kiedy wchodzisz do pokoju, wszystko zaczyna lśnić.

Allen rzucił mu długie lodowate spojrzenie i zwrócił się do mnie.

- Panie McKnight, Alex. Choć formalnie nie postawiono ci w tej sprawie zarzutów, chcę cię osobiście przeprosić. To wszystko musiało być dla ciebie okropne, a to jak zostałeś potraktowany na tym posterunku, tylko pogorszyło sprawę. Przepraszam, że tak, a nie inaczej się zachowałem.

- Dzięki. - Spojrzałem na Mavena. - Chciałbyś może coś do tego dodać?

Siedział przez chwilę, gryząc wargę.

- Tylko jedno - odezwał się w końcu.

- Zamieniam się w słuch.
- Nie musiało do tego dojść.
- Słuszna uwaga.

- Mam na myśli Fultona. Nie musiał umrzeć. Gdybyś tylko choć przez chwilę współpracował z nami, moglibyśmy wsadzić tego całego Juliusa za kratki, zanim zabił twojego przyjaciela. Oczywiście wtedy ominęłaby cię ta mała kowbojska strzelanina. Żona Fultona nie przyszłaby do ciebie i nie wystraszyłaby się jak diabli, że pod drzwiami stoi zabójca jej męża. A swoją drogą, ciekawe, co robiła w twojej chacie w czasie, kiedy trwają poszukiwania zwłok jej męża? Ale to już zupełnie inna historia.

- Panie Maven - przerwał mu Allen. - Czy to naprawdę konieczne?

- Nie, niekonieczne. Gdyby eks-policjanci, którzy pozwalają na to, by zabito na służbie ich partnera, nie przechodzili sobie tu na emeryturę i nie zatruwali mi życia, wszystko to nie byłoby konieczne.

- Zdecydowanie pan przesadza.

- Spadaj - warknął Maven. - Wracaj za swoje stanowe biurko. Bardzo mi pomogłeś.

Allen wstał i uściskał mi rękę.

- Alex, jeśli będę mógł ci w czymś pomóc, daj mi znać. - Spojrzał z góry na Mavena. - A my jeszcze porozmawiamy.

- Nie mogę się doczekać - zadrwił Maven.

Allen wyszedł, a my obaj siedzieliśmy przy stole i mierzyliśmy się wzrokiem.

- No to i ja mogę sobie iść? - powiedziałem w końcu.

- Możesz mnie pocałować w pomarszczoną białą dupę - odparł.

Wstałem.

- Będzie mi brakować tych pogawędek. Nie wybralibyśmy się kiedyś na ryby?

Wyszedłem z posterunku na ulicę skąpaną w świetle dnia. Przedpołudnie. Słońce trochę grzało, mimo to nie było ciepło.

Chwilę kręciłem się po parkingu, aż w końcu dotarło do mnie, że półciężarówka stoi pod moją chatą, a przez rozbite okno wpada do niej wiatr. Gdybym miał siłę się śmiać, pewnie bym się roześmiał. Wiedziałem jedno: nie wrócę na posterunek i nie poproszę o podwiezienie. Zacząłem więc iść. Nie wiedziałem dokąd, ale sam ruch sprawiał mi przyjemność.

Minąłem budynek sądu i ruszyłem w stronę rzeki, potem szedłem nadbrzeżem. Kiedy dotarłem do parku, zawróciłem w kierunku śluz. Właśnie przepływał wielki

frachtowiec około dwustu metrów długości. Bolały mnie zziębnięte uszy, więc wszedłem po schodach na taras widokowy. Pusty.

Statek wchodził do południowej śluzy. Przepływał tak blisko, że miałem wrażenie, jakbym obserwował poruszający się budynek po drugiej stronie ulicy. Bandera? Trzy poziome pasy - czerwony, biały i czarny, pośrodku złoty ptak. To chyba emblemat Egiptu. Na pokładzie stało dziesięciu śniadych mężczyzn w obcisłych płaszczach. Patrzyli na mnie. Byli tak daleko od domu. Dla nich to pewnie zupełnie nowy, obcy świat. Frachtowcem wyładowanym po brzegi rudą żelaza, wypływali z powrotem na morze - przez Wielkie Jeziora do ujścia Rzeki Świętego Wawrzyńca i dalej na Atlantyk.

Mógłbym wskoczyć na ten statek, pomyślałem. Jest tak blisko. Niech zabierze mnie do Egiptu.

- Alex, wszędzie cię szukam. - Uttley pojawił się nagle obok mnie. - Policjant z posterunku mówił, że wyszedłeś.

- Patrzę sobie na ten statek.

Spojrzał na kanał.

- Co to za bandera?

- Chyba Egiptu.

Pokiwał głową.

- Zadzwoił do mnie detektyw Allen. Wszystko mi opowiedział.

Milczałem.

- Naprawdę nie wiesz, kim był ten Raymond Julius?

- Nie.

Powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Ten statek wyrusza w długą drogę - zauważył. - Jak myślisz, ile dni płynie się stąd do Egiptu?

- Nie mam pojęcia.

- Wiesz, że pierwsza śluza powstała tu w 1797 roku? Zniszczono ją podczas wojny w 1812. Trzeba ją było odbudować.

Wciąż patrzyłem na statek. Zamknięto śluzę i zaczęto obniżać poziom wody - sześć metrów i otworzą drugą śluzę, wtedy wypuszczą go na jezioro Huron.

- W czasie II wojny światowej była to najpilniej strzeżona część kraju. Rząd uznał, że gdyby ktoś chciał nas zbombardować, zacząłby pewnie od tego miejsca.

Przerwy w dostawach żelaza odbiłyby się przecież na produkcji czołgów. Dlatego właśnie zbudowano tu dwie bazy lotnicze.

- Po co mi to wszystko opowiadasz?

- Bo nie wiem, co powiedzieć.

Milczeliśmy przez chwilę. Obserwowaliśmy, jak statek opada wraz z wodą wypływającą ze śluzy.

- Teraz powinno być trochę łatwiej, prawda? - zapytał.

- To znaczy?

- Myślałeś, że to Rose. Choć wszyscy mówili ci, że siedzi cały czas w więzieniu. Musiało cię to doprowadzać do obłądzenia.

- I co się okazuje? Że jakiś facet z jakiegoś powodu postanawia poświęcić życie na śledzenie mnie, obserwowanie, grzebanie w mojej przeszłości. Na litość boską, próbuje stać się moją przeszłością. To się kupy nie trzyma.

- No nie.

- Podobno kontaktował się z Rose'em. Pewnie pisał listy, prawda? Nie można tak po prostu zadzwonić do faceta w więzieniu.

Uttley się zamyślił.

- Mógł też go odwiedzać.

- Racja, ale tak czy inaczej zostałyby po tym jakiś ślad. Czy w więzieniu nie przegląda się poczty do więźniów?

- Przegląda. Jestem pewien, że detektyw Allen się tym zajmie. Albo Maven, jeśli wyzbędzie się uprzedzeń. Allen nie wchodził w szczegóły, ale wywnioskowałem, że nie pożegnaliście się czule z Mavenem.

- A co by było, gdybym jeszcze raz zadzwonił do tego Browninga?

- Do tego klawisza? Znów by cię splawił, a ty znów byś się wściekł. Po co w ogóle do niego dzwonić? Czego chcesz się dowiedzieć? Alex, już po wszystkim. Facet nie żyje.

- Jakoś nie wydaje mi się, że jest po wszystkim.

- Musisz sobie dać trochę czasu. Weź urlop - poradził Uttley. - Wyjedź na kilka dni.

Frachtowiec przepłynął przez drugą śluzę. Teraz widzieliśmy jego rufę. Widziały na niej arabskie napisy, w oczy rzuciło się słowo „Kair”.

- Miałaś rację - stwierdził Uttley. - To rzeczywiście egipska bandera. Chodźmy już stąd.

Odwiózł mnie do domu swoim bmw. Patrzyłem przez okno na sosny. Sosny i znów sosny - aż zaczęło mi się zbierać na wymioty. Całą drogę jechaliśmy w milczeniu, a kiedy weszliśmy do chaty, dziwnie się poczułem. Tu wczoraj działo się to wszystko. Mała chatka. Las. Nic się nie zmieniło. A jednak?

- Chcesz, żebym został? - zapytał. - Może pomóc ci sprzątać?

- Nie, dzięki. Muszę trochę pobyć sam ze sobą.

- Rozumiem. Zadzwoń, jeśli byś czegoś potrzebował.

- Dobrze. - Wysiadłem z samochodu.

- Hej, Alex.

Obejrzałem się.

- To już koniec - powiedział Uttley. - Naprawdę koniec.

- Wiem.

Patrzyłem na odjeżdżające bmw, a potem się odwróciłem. Czas stawić czoło problemom. Półciężarówka wciąż stała z otwartą maską, na siedzeniu wciąż leżały odłamki szkła. Po samochodzie Sylvii zostały tylko ślady opon na trawie.

Po zwłokach też nie było śladu. Leżały tam, w lesie, za stertą drewna. Oczywiście zabrała je policja, ale nie byłem jeszcze gotów pójść w miejsce, gdzie zabiłem człowieka.

Wszedłem do chaty i zacząłem się zastanawiać, czy poczuję się tu jeszcze jak w domu. Przypomniałem sobie czasy w Detroit. Pracę w policji. Mówiono nam wtedy, że jeśli kiedyś będziemy musieli kogoś zabić, choćby w najszluzniejszej sprawie, zawsze w końcu przyjdzie nam za to zapłacić. Godzinę, dzień czy tydzień później nagle uświadomisz sobie, że zabiłeś człowieka. Czekałem, kiedy świadomość tego mnie dopadnie. Ale nic nie czułem.

Podniosłem słuchawkę telefonu. Cisza. Zapomniałem, że Julius przeciął przewód. Będę musiał pojechać do Glasgow Inn, żeby zadzwonić. Najpierw jednak powinienem wyjść z domu i usunąć szkło z samochodu. Chyba że przejdę się na piechotę do knajpy. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie ani jednego, ani drugiego. Chciało mi się spać. Najpierw się trochę zdrzemnę. Jeśli będę mógł. Jeśli będę mógł jeszcze kiedykolwiek zasnąć.

Potrzebowałem tabletek. Jeszcze tylko ten raz. W końcu po tym, co się stało, to usprawiedliwione?

Cholera, może uda mi się zasnąć bez nich. Spróbuję jednak.

Wyciągnąłem się na łóżku. Położyłem głowę na poduszce, spojrzałem na drewniany sufit. I zasnąłem.

Obudziłem się po kilku godzinach, późnym popołudniem. Nic mi się nie śniło. To było coś więcej niż sen, chwilowe całkowite wyłączenie organizmu. Niezłe zgłodniałem.

Wyszedłem z chaty z miotłą, żeby wymieść szkło z półciężarówki. Wybiłem kilka odłamków szyby, które tkwiły w drzwiach. Spróbowałem uruchomić auto. Nie udało mi się.

Podniosłem maskę i popatrzyłem na przewody. I wtedy wszystko wróciło, przypomniałem sobie, co czułem, kiedy próbowałem podłączyć świece, kiedy zastanawiałem się, ile życia mi jeszcze zostało. Szybko skrzyżowałem dwa przewody, podłączyłem je właściwie i znów spróbowałem. Silnik zaskoczył.

Zostawiłem go na chodzie i zacząłem się rozglądać: gdzie moja komórka? Miałem nadzieję, że napastnik rzucił ją po prostu między drzewa. Kiedy doszedłem do miejsca, gdzie go zastrzeliłem, zatrzymałem się i spojrzałem na ziemię. Pokryta była igliwem, leżało na nim kilka szyszek. Mógłbym uklęknąć i szukać krwi, ale tego nie zrobiłem. Stałem i odtwarzałem wszystko ponownie w myślach. Nie wierzył, że mam prawdziwą broń. Czy to dało mi nieuczciwą przewagę? Czy powinienem był oddać strzał ostrzegawczy w powietrze? I co wtedy? On rzuciłby broń? A ja? Czy będę się nad tym zastanawiał do końca życia?

Nie będzie procesu, nie będę mógł usiąść na sali sądowej i posłuchać wyjaśnień. I nigdy się nie dowiem, dlaczego wybrał właśnie mnie.

Od pięciu, sześciu miesięcy. Zdaniem policji tyle to trwało. Co mu zrobiłem? Dlaczego miał taką obsesję na moim punkcie?

Wróciłem do półciężarówki. I się skaleczyłem. Ostry kawałek szkła przeciął mi skórę na palcu. Wyciągnąłem go i spojrzałem na ciekłą strużkę krwi. Nie ma nic równie czerwonego jak krew, nic równie zwyczajnego. Naoglądałem się jej dość w swoim życiu.

W Glasgow Inn zamówiłem stek. Największy, jaki Jackie miał w kuchni, średnio wysmażony, z grilowanymi cebulkami i grzybami, a do tego cztery zimne piwa. Jackie uśmiechnął się pod nosem. Chyba zdawał sobie sprawę, że powoli odzyskuję równowagę psychiczną. Jeszcze nie byłem do końca sobą, ale Jackie wiedział, że to tylko kwestia czasu. Pożyczyłem od niego komórkę i zacząłem wybierać

numer do biura napraw, ale uświadomiłem sobie, że jest już za późno. Jutro zadzwonię, żeby naprawili mi telefon. No i do jakiegoś zakładu, żeby wstawili mi szybę w samochodzie.

Siedziałem kilka minut, stukając palcami w butelkę, po czym znów wziąłem telefon. Odebrała po trzecim sygnale.

- Sylvia. Dzwonię tylko, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- A czemu miałyby nie być w porządku? Jest tak w porządku, że aż lepiej niż idealnie.

Coś nie podobało mi się w jej głosie.

- Jesteś pijana?

- Pijana w sztok. Siedzę po prostu w tym wielkim starym domu na końcu świata, sama jak palec, kompletnie zalana.

- Mam przyjechać?

- A po co?

- Bo nie powinnaś być sama.

- Dlaczego nie powinnam być sama?

- Bo nie. Cholera, Sylvia, wczoraj wieczorem przyjechałaś do mojej chaty. Po co to zrobiłaś?

- Dobre pytanie! Niestety nie umiem na nie odpowiedzieć. Ale to było cudowne. Kolejny kapitalny punkt zwrotny w moim życiu. W końcu poznałam człowieka, który zabił mojego męża. Chociaż nie, właściwie go nie poznałam. Zobaczyłam go na ziemi z odstrzeloną połową głowy.

- Nie chciałaś być sama. Dlatego przyjechałaś do mnie, prawda? Okej. Po tym wszystkim, co się stało, nie ma w tym nic złego.

- Owszem, jest, Alex. Jest w tym coś bardzo złego. Nie wiem co, ale jestem pewna, że kiedy się nad tym zastanowię... Chryste, gdzie się podziała ta butelka?

- Jadę do ciebie.

- Boże, pomóż mi - nagle jej głos zaczął brzmieć trzeźwo. - Jeśli tu przyjedziesz, zabiję cię. Zabiję ciebie albo siebie. Albo nas oboje. I wierz mi, że jestem do tego zdolna. Przyglądałam się ekspertom.

- W porządku, Sylvia. W porządku. Uspokój się.

- Nie uspokajaj mnie. Po prostu mnie zostaw. Rozumiesz? Zostaw mnie, do cholery!

Co mógłbym jeszcze powiedzieć? Zamknąłem oczy i słuchałem jej cichego oddechu.

- Co myśmy zrobili, Alex? - odezwała się w końcu głosem wypranym z wszelkich emocji. - Co myśmy zrobili? - I rozłączyła się.

Siedziałem z telefonem w ręku.

Jackie przyniósł mi kolejne piwo.

Dwie godziny później wróciłem do chaty. Było ciemno. Obszedłem dom kilka razy. Nie mogłem uwierzyć, że nikt mnie już nie obserwuje, że nikt nie czyha na moje życie.

Rewolwer. Nie mam rewolweru. Został na posterunku. Ale to nic. Przecież już go nie potrzebuję, prawda?

Wszedłem do chaty i wziąłem do ręki książkę telefoniczną. Zacząłem w niej szukać Raymonda Juliusa. Nie znalazłem takiego abonenta.

Pięć, sześć miesięcy. Co się stało pięć, sześć miesięcy temu?

Nie rozwikłasz tego dzisiaj, Alex. Lepiej się prześpij. Jutro musisz narąbać drewna, posprzątać. I kupić coś do jedzenia. Na litość boską, musisz zacząć żyć jak człowiek.

Położyłem się. Spałem dwie, trzy godziny. Nagle obudziłem się, usiadłem na łóżku i włączyłem światło. Spojrzałem na zegarek: już po północy.

Pięć, sześć miesięcy temu.

Książka telefoniczna wciąż leżała na stole w kuchni. Kartkowałem ją, aż znalazłem telefon Leona Prudella. Mieszkał w Kinross, małym miasteczku na południe od Soo, niedaleko lotniska. Ubrałem się i wsiadłem do samochodu. Popędziłem do Kinross, czując zimne powietrze wpadające przez wybite okno. Było późno, ale chciałem pogadać z Leonem.

Kinross jest prawie tak małe jak Raj - jedna główna droga i kilka bocznych uliczek. Prudell mieszkał w małym domu obitym deskami, niewiele większym od mojej chaty. Śmierdziało tam zepsutą rybą. Na podwórku wisiała na gałęzi opona.

Zapukałem, odczekałem parę sekund i znów zapukałem. W końcu zapaliła się lampa na werandzie i jakaś kobieta uchyliła drzwi.

- Kto tam? - zapytała.

- Muszę porozmawiać z pani mężem - powiedziałem.

- Nie ma go. A o co chodzi?

Namyślałem się przez chwilę.

- Chcę go zatrudnić - wyjaśniłem. - Słyszałem, że jest prywatnym detektywem.
- Pracował kiedyś jako detektyw - odparła. - Ale już tego nie robi.
- Podobno jest dobry - ciągnąłem. - Na pewno nie weźmie żadnej sprawy?

Zapłacę pięćset dolarów dziennie.

Słyszając to, otworzyła drzwi na całą szerokość. Zobaczyłem wielką, potężną kobietę w czerwonym szlafroku. W duchu dziękowałem Bogu, że tamtego wieczoru to Leon rzucił się na mnie w barze, a nie ona.

- Pracuje na parkingu dla ciężarówek przy autostradzie 75 - powiedziała. - W restauracji.

- Na tym parkingu przy zjeździe na drogę 28?

- Tak, tam.

- Bardzo pani dziękuję.

- Bierze nocne zmiany - wyjaśniła. - Od kiedy wyrzucili go z firmy detektywistycznej.

- Rozumiem.

- Zna pan może niejakiego Alexa McKnighta?

- Chyba nie.

- To przez niego wyrzucili mojego męża. Jak go pan spotka, niech mu pan powie, że jest dupkiem, dobrze?

- Dobrze, proszę pani. Przepraszam, że niepokoiłem panią o tej porze.

- Za pięćset dolców dziennie może mnie pan niepokoić, ile pan chce.

- Dziękuję. Dobranoc.

Wsiadłem do samochodu i wróciłem na autostradę. Parking dla ciężarówek jest kilka kilometrów na północ. Widać go z daleka, na oświetlonym całą noc placu setka ciężarówek albo tankuje, albo stoi, podczas gdy kierowcy jedzą szarlotkę i popijają kawę.

Prudell sprzątał właśnie ze stołu, ubrany w wielki biały fartuch. Kiedy mnie zauważył, odstawił z brzękiem stertę talerzy.

- Proszę, proszę, kogo my tu widzimy - warknął. - Tylko mi nie mów, że i tę robotę chcesz mi zabrać.

- Siadaj, Prudell.

- Proszę bardzo. Zdejmę fartuch, może ci się przydać.

Przy barze stało kilku kierowców, obsługiwanych przez kelnerkę. Druga siedziała przy stoliku. Wszyscy spojrzeli na nas.

- Usiądź wreszcie - powiedziałem.

- Musisz tylko sprzątać ze stołów - ciągnął Prudell. - I raz na godzinę umyć kible. Na pewno sobie poradzisz.

- Prudell - przerwałem mu. Próbowałem nad sobą panować. Naprawdę się starałem. - Jeśli się nie zamkniesz i nie usiądziesz, to cię trzepnę. Rozumiesz? Obiję ci mordę tu w restauracji.

- McKnight, jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiesz...

Złapałem go za lewą rękę i wygiąłem w nadgarstku. Ten chwyt sprawdzał się najlepiej, kiedy ktoś nie chciał wsiąść do radiowozu. Nie wyglądał tak dramatycznie jak wykręcenie ręki na plecach, ale był równie skuteczny. Prudell jęknął cicho i usiadł przy stoliku. Wszyscy się na nas gapili, ale się tym nie przejmowałem.

- Co ci odbiło? - zapytał. - Chcesz mi połamać kości?

Usiadłem obok niego. Ledwo się zmieściłem.

- Posłuchaj mnie bardzo uważnie. Pamiętasz ten wieczór w barze, pierwszy wieczór, kiedy zacząłeś mnie zaczepiać? Wiem, że byłeś nieźle pijany, ale spróbuj sobie przypomnieć, co mi wtedy powiedziałeś.

- O co ci chodzi?

- Powiedziałeś, że zabrałem ci pracę, że teraz pójdziesz z torbami, że masz rodzinę na utrzymaniu, pamiętasz? Użalałeś się nad dziećmi, które nie pojedą do Disney World, nad żoną, bo nie dostanie nowego samochodu, i tak dalej. A potem powiedziałeś coś jeszcze, coś o człowieku, który ci pomaga: że facet nie ma szczęścia i trzyma się jeszcze tylko dlatego, że robi dla ciebie różne drobne fuchy, z poczuciem, że to coś ważnego. Pamiętasz?

- Pamiętam - odparł. - To wszystko prawda. McKnight, spieprzyłeś życie wielu ludziom. Nie tylko mnie.

Minęło pięć miesięcy i kilka dni, od kiedy przejąłem robotę Prudella. Przez kilka miesięcy żywił do mnie urazę, aż w końcu nabrał odwagi, by rzucić mi to w twarz.

- Niech ci będzie - odparłem. - Spieprzyłem wam wszystkim życie. A teraz powiedz mi, jak się nazywał.

- Ten facet, który dla mnie pracował?

- Tak. Jak miał na nazwisko?

- Julius. Raymond Julius.

Rozdział 18

MINĘŁA DŁUGA CHWILA CISZY, zanim dotarło to do mojej świadomości. Prudell walnął mnie łokciem w żebra, ale nie wypuściłem go z boksu. Tylko jeszcze bardziej mnie to rozwścieczyło.

- Zrób to jeszcze raz, a urwę ci łeb - ostrzegłem.

- Nerwy ci puszczają, McKnight. Odczep się ode mnie.

- Gdzie on mieszka? - zapytałem.

- Nie wiem.

- Nie chrzań. Facet dla ciebie pracował.

- Tylko raz widziałem jego dom. To było bardzo dawno temu, zanim ty...

- Tak, tak, zanim wydymałem was obu. Już to przerabialiśmy. Byłeś w jego domu, ale nie wiesz, gdzie? Co, miałeś zawiązane oczy?

- Dom jest w Soo - powiedział Prudell. - Gdzieś w zachodniej części miasta. Nie pamiętam dokładnie gdzie, jasne?

- Rozmawiałeś z nim od tej pory?

- Nie.

Siedziałem dłuższą chwilę i myślałem. W końcu wstałem i oznajmiłem:

- Idziemy!

- O czym ty gadasz? Nigdzie się nie wybieram.

- Wybierasz, wybierasz. Pojedziemy szukać jego domu.

- Za cholere. Przecież jestem w robocie.

- Idź i powiedz szefowi, że musisz zrobić sobie małą przerwę. Nazwij to pilną sprawą rodzinną.

Wydostał się z boksu, poprawił biały fartuch i wziął do ręki talerz.

- Pierdol się - burknął.

Kiedy sprzątał ze stołu, policzyłem w myślach do dziesięciu.

- Prudell. Masz dwie możliwości - oświadczyłem. - Opcja numer jeden. Walnę tobą o każdą ścianę tego lokalu, a potem wyrzucę cię przez okno. Na pewno zostanę

aresztowany, ale już mnie to nie wzrusza. Opcja numer dwa: pomożesz mi znaleźć dom Juliusa, a ja zapłacę ci za to pięćset dolarów.

Popatrzył na mnie.

- Myślisz, że ci uwierzę? Że mi zapłacisz?

- Jesteś prywatnym detektywem, prawda? Uznaj, że zlecam ci sprawę.

- Byłem prywatnym detektywem. A teraz jestem pomocnikiem kelnera.

- Co wybierasz, Prudell?

Odstawił talerze na stół i przez wahadłowe drzwi wszedł do kuchni. Nie miałem pojęcia, czy dzwoni po policję, bierze wielki nóż, czy nawiewa tylnymi drzwiami. W końcu wrócił do sali i zdjął fartuch. Za nim pojawił się, wyraźnie niezadowolony, niski facet, pewnie jego szef.

Nie odzywając się do siebie, poszliśmy na parking. Prudell złościł się, że w mojej półciężarówce nie ma jednej szyby, zwłaszcza że musiał usiąść na szkło, które nie całkiem zdołałem uprzątnąć.

Zapuściłem silnik i wyjechałem z parkingu.

- Pogadajmy - zaproponowałem. - Opowiedz mi o Raymondzie Juliusie.

- Boże, ależ tu zimno - odparł.

Na dworze było jakieś minus jeden, biorąc jednak pod uwagę wychłodzenie spowodowane wiatrem, kiedy jedzie się ponad setką na godzinę półciężarówką bez szyby, odczuwalna temperatura była na pewno jeszcze znacznie niższa. A Prudell nawet nie miał na sobie płaszcza.

- Raymond - powtórzyłem, powoli i uprzejmie. - Julius.

- Co ci mogę powiedzieć? Był trochę pogięty. Idealnie pasował do tych czubków z milicji*. Nienawidził rządu.

- Należał do milicji?

- Nie. Chyba próbował się do niej dostać. Tyle że mu się nie udało. Zresztą wolał być detektywem niż żołnierzem. Albo patriotą, czy jak tam się nazywają.

- Miał broń?

- Tak. Miał. Bez pozwolenia, ale miał.

- Pistolet kaliber 9 milimetrów?

* W Stanach Zjednoczonych istnieje specyficzny rodzaj milicji obywatelskich, paramilitarnych organizacji o bardzo różnym charakterze - w tym również - jak tu antyrządowym, często rasistowskim lub faszystowskim (przyp. tłum.).

- Możliwe.

- Wiedzialby, jak skombinować tłumik?

- No pewnie. Dlaczego pytasz mnie o to wszystko?

- W którą stronę pojedziemy? - zapytałem. - Three Mile Road? Mówiłeś o zachodniej części miasta. Postaraj się być bardziej konkretny.

- Nie wiem, do cholery. Pamiętam, że chyba tutaj się zjeżdżało. Kiedyś musiałem go zabrać, bo samochód mu się popsuł.

- Stary rżech? Bez tłumika?

- Tak, tak mi się wydaje.

Zjechałem z szosy i skręciłem na zachód.

- A teraz gdzie?

- Powiedziałem ci, że nie pamiętam. - Patrzył na drogę, przeczesując palcami włosy. - Myślę, że to było przy kompleksie przemysłowym.

- Jak to się stało, że zaczął dla ciebie pracować?

- Mam wpis na Żółtych Kartkach. Zadzwoił do mnie; chciał się dowiedzieć, czy mógłby dla mnie pracować. Powiedziałem, że nie, ale wciąż wydzwaniał. Codziennie. Mówił, że może robić wszystko, być facetem na posyłki, odbierać telefony. I że bardzo chce zostać prywatnym detektywem, a na początku pracował nawet za darmo.

- Co? Spodziewał się, że w taki sposób zostanie detektywem?

- Tak to sobie wyobrażał. Tłumaczyłem mu, jak to działa. Trzeba dostać stanowe zaświadczenie, uzyskać pozwolenie na broń. To go naprawdę wkurzyło. Jak już powiedziałem, ten facet strasznie nienawidził rządu. Jego zdaniem, tylko przez władze Michigan nie mógł zostać prywatnym detektywem.

- I zgodziłeś się, żeby ten gość dla ciebie pracował?

- Błagał mnie. Powiedział, że to dla niego sprawa życia lub śmierci. No to pomyślałem: do diabła, wezmę go ze sobą na jeden dzień, żeby mi przyniósł lunch czy mnie zastąpił, kiedy pójdę do toalety. Wtedy obserwowałem ratowników, opisywałem ich codzienne czynności. Uznałem, że da sobie spokój, kiedy zorientuje się, jakie to nudziarstwo.

- To było na Drummond Island.

- Tak. Obserwowałem ratowników przez całe trzy dni. Napisałem szczegółowy raport. Staralem się wykonać dla Uttleya dobrą robotę. Ale chyba nie była wystarczająco dobra, co?

Spojrzałem na niego. Patrzył przez okno w zimną noc. Wiatr we wszystkie strony rozwiewał jego niesforne, rude włosy.

- Julius nie żyje - oznajmiłem.

Nic nie odpowiedział. Wciąż tylko patrzył przez okno.

- Słyszysz? On nie żyje.

- Domyśliłem się. - Zerknął na mnie, a potem wbił wzrok w deskę rozdzielczą. - Po tym, jak o nim mówisz.

- Prześladował mnie od miesięcy. Zabił trzech ludzi, w tym Edwina Fultona. Próbował zabić również mnie.

Prudell tylko kiwnął głową.

- Nie jesteś zaskoczony?

Wzruszył ramionami.

- Nie spodziewałbym się po nim czegoś takiego, ale... do diabła, a bo to wiadomo? Pamiętam, że czasami miał taki niesamowity wyraz oczu. Zastanawiałem się, czemu w ogóle pozwalałam mu się przy mnie kręcić.

- Zabiłem go.

Odwrócił się i spojrzał na mnie bez słowa.

- Nie miałem wyboru.

Znów tylko kiwnął głową.

Dojechałem do Czternastej ulicy.

- Tutaj skręcić?

- Chyba tak - odparł. - Wydaje mi się, że tędy jechałem. Pamiętam, że musiałem się rozglądać, żeby znaleźć tę ulicę.

Dojechaliśmy do znaku „Stop”. Mogłem jechać dalej Czternastą albo skręcić na wschód w Ósmą Aleję.

- A teraz gdzie?

- Niech pomyślę. - Siedzieliśmy w samochodzie. Nad nami paliła się samotna lampa uliczna. Kiedy staliśmy, przez wybitą szybę nie wpadał wiatr, było niesamowicie cicho. - Jedź prosto - odezwał się wreszcie. - Sądzę, że to dalej na tej ulicy.

Mijaliśmy małe, ceglane domki zbudowane blisko obok siebie. Większość miała przynajmniej pięćdziesiąt lat. Była to jedna z dawnych dzielnic Soo, powstała w czasach, kiedy zaraz za autostradą znajdowała się baza lotnictwa wojskowego, na

długo przed tym, zanim pojawiły się kasyna. A wraz z nimi turyści. Jechaliśmy w górę Czternastej ulicy, przecinając Siódmą i Szóstą, aż okazało się, że dalej drogi nie ma.

- Już sobie przypomniałem. Ja też dojechałem do końca i musiałem zawrócić. Wróc do Szóstki.

Zrobiłem, jak mówił. Zacząłem tracić orientację w tym labiryncie ulic. W niczym nie przypominało to Nowego Jorku, gdzie numery mają jakiś sens i gdzie ulice biegną w jednym kierunku, a aleje są do nich prostopadłe.

- Dobra. Teraz dojeżdż do Trzynastej i jedź nią aż do końca. - Minęliśmy Piątą, a doprowadziła nas do Czwartej. - Spróbujmy w lewo.

- Wygląda na to, że jeździmy w kółko - zauważyłem.

- Jeżeli chcesz, sam zajmij się nawigacją - odparł.

W miarę jak jechaliśmy coraz dalej na zachód Czwartą Ulicą, domy stawały się coraz mniejsze. Większość z nich miała wszystkie okna i drzwi zasłonięte plastikiem. Zatoka znajdowała się w odległości raptem półtora kilometra. Często hulały nad nią wichury. Nie rozumiałem, jakim cudem te budynki jeszcze stoją.

- Zaczyna wyglądać znajomo - powiedział. Gdy skręciliśmy za róg, zobaczyliśmy tabliczkę z napisem „Dębowa”. - No tak. Pamiętam te nazwy drzew. W okolicy jest więcej ulic z nazwami drzew. Jestem prawie pewien, że jego dom znajduje się na jednej z nich.

Przejechaliśmy całą Jesionową, potem Orzechową i Kasztanową. Prudell wciąż się rozglądał.

- Wiem, że jesteśmy bardzo blisko - oświadczył. - Wiem, że to gdzieś tutaj.

- Byliśmy już na każdej ulicy - odparłem.

Okazał się bardziej chętny do współpracy, niż myślałem, ale mimo wszystko moja cierpliwość się wyczerpywała.

- Nie, jeszcze nie. Gdy tylko zobaczymy jego dom, na pewno go poznam. Miał taką koszmarną elewację. Doskonale ją pamiętam. Wyglądała jak parchaty pies. Przypominała liniejącą sierść. Straszna rudera. Wynajmował go. Narzekał na właściciela, na popsute instalacje. Twierdził, że w zimie rury zamarzały co noc. A sposób, w jaki mówił o właścicielu, rany Boskie. O tym co by mu zrobił...

- Nigdy niczego nie próbował?

- Chyba nie. Mam wrażenie, że bał się nawet z nim porozmawiać.

Myślałem o tym przez chwilę, on tymczasem przyglądał się ulicy. Znajdowaliśmy się w jakimś ciemnym zaułku. So to raczej przyjazne miasto, ale

nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie zechce zrobić wyjątku dla obcej półciężarówki jeżdżącej tam i z powrotem przed jego domem. Byłem pewien, że wszędzie naokoło jest mnóstwo broni, sztucerów z celownikami optycznymi i dubeltówek.

- Może pojechalibyśmy dalej? - zaproponowałem.

- Poczekaj. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, przypominam sobie, że jest ulica, na którą początkowo nie trafiłem. Nawet jej nie zobaczyłem, dopóki się nie cofnąłem. Chyba też miała nazwę związaną z drzewem.

Pojechałem więc z powrotem wzdłuż Kasztanowej. Skręciliśmy w prawo w Jesionową i dotarliśmy do Orzechowej.

- Tym razem jedź nią dalej prosto - powiedział.

- Przecież zaraz się kończy.

- Nie. Tam jest jeszcze jedna ulica, widzisz?

Miał rację. Tej bocznej uliczki o nazwie Hikorowa nie można było zobaczyć, dopóki nie dojechało się do samego końca.

Skręciłem w lewo i natychmiast zobaczyłem radiowóz. Zawróciłem samochód o sto osiemdziesiąt stopni, zupełnie jakbym zamierzał jechać z powrotem.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwił się Prudell. - Jego dom stoi na końcu ulicy.

- A przed nim radiowóz. Nie chcę, żeby mnie zobaczyli.

- To przejedź obok, jakbyś szukał czegoś innego.

- Nie. Mogą poznać moją półciężarówkę. Nie chciałbym się podkładać Mavenowi.

Minąłem kilka domów na Orzechowej i się zatrzymałem.

- I co teraz? - zapytał.

No właśnie, co. W głębi duszy wiedziałem, że jest tylko jedna rzecz, którą mogę zrobić, jeżeli chcę znaleźć odpowiedzi na dręczące mnie pytania, bo Maven na pewno nie pozwoli mi obejrzeć tych papierów: wycinków z gazet, dziennika. Nie znalazłem żadnego sposobu na zmuszenie go, by mi je pokazał. Formalnie wszystko było materiałem dowodowym, który mógł być wykorzystany do zamknięcia akt trzech morderstw.

- Muszę dostać się do środka - powiedziałem.

- Zwariowałaś?

- Muszę. Jeżeli tego nie zrobię, będzie mnie to prześladowało do końca życia.

- Zamierzasz włamać się do opieczętowanego domu. Zamierzasz uszkodzić materiał dowodowy. To przestępstwo.

- Nie obchodzi mnie to.

- Przed samymi drzwiami frontowymi jest policjant.

- Wiem.

Może Dave, pomyślałem, ten sam funkcjonariusz, który miał na oku moją chatę. Ale to nic pewnego; przekonałbym się, gdybym podszedł i zastukał w okno: „Przepraszam, czy jest tu Dave? Mógłbyś mnie wpuścić na minutkę do domu?”

- Jak więc dostaniesz się do środka? - zapytał.

- Kiedy tu byłeś, wchodziłeś do domu?

- Tak, na chwilę.

- Są drzwi kuchenne?

Patrzył na mnie długą chwilę.

- Chyba tak, są.

- To dobrze.

- Naprawdę musisz to zrobić?

- Tak.

- W takim razie idę z tobą - oświadczył.

- Ani mi się waź!

- Nie będę siedział w samochodzie w czasie, kiedy ty będziesz się włamywał. I tak jestem już współwinny. Równie dobrze mogę pójść z tobą.

- Dlaczego miałbyś mi pomagać? - spytałem. - Myślałem, że mnie nienawidzisz.

- Kto mówi o pomaganiu? Po prostu chcę zobaczyć, jak to robisz. Przekonać się, jaki jesteś dobry.

- Uważam, że powinieneś tu zostać.

- W restauracji dałeś mi dwie możliwości wyboru, pamiętasz? A teraz ja ci dam dwie możliwości. Albo pójdziemy razem, albo obudzę tego gliniarza.

Poszliśmy razem. Pozostawiliśmy półciężarówkę tam, gdzie ją zaparkowaliśmy, przeszliśmy lasem na tyły domu. Wziąłem z samochodu parę roboczych rękawic, latarkę na wszelki wypadek i zestaw wytrychów. Zamówiłem je w tym samym tygodniu, w którym dostałem licencję, ale nigdy nie myślałem, że ich użyję. W przeciwnym razie poćwiczyłbym.

Drzwi kuchenne były jakieś dziewięć metrów od lasu. Panowały ciemności, więc nikt nie powinien nas zobaczyć. Domy po obu stronach sprawiały wrażenie opuszczonych. Podkradliśmy się do drzwi i przykucnęliśmy. Na sekundę włączyłem latarkę i szybko się rozejrzałem. W pobliżu stały dwa pojemniki na śmieci i stara

kosiarka do trawy. Elewacja domu była taka, jak opisał ją Prudell - szorstka i kosmata niczym u liniejącego psa. Od framugi do framugi drzwi biegła taśma policyjna.

- Chyba nie chcesz zerwać taśmy - szepnął Prudell.

- Jeżeli będę musiał...

- Poczekaj, włącz na chwilę latarkę.

Kiedy to zrobiłem, wstał, przesunął dłonią po taśmie aż do jej końca, szarpnął - i natychmiast się odkleiła.

- Co za niechlujstwo. Taśma odkleja się od elewacji. Powinni owinąć ją wokół całego domu - oświadczył.

- Postaram się przekazać Mavenowi twoją uwagę.

Zdjąłem rękawiczki, wyciągnąłem z kieszeni zestaw wytrychów i zacząłem majstrować przy drzwiach. Po ustawieniu klucza dynamometrycznego spróbowałem użyć paru wytrychów. Zamek nie ustąpił. Zacząłem podnosić bolce jeden po drugim. Prudell stał obok, pomrukując ze zniecierpliwieniem. Wiatr nasilał się, wiatr, który zrywa się gdzieś w okolicach bieguna północnego, zbiera wilgoć znad jeziora, a potem wali cię w twarz, jak zamrożony jeżozwierz. Klucz dynamometryczny ześlizgnął mi się i musiałem zaczynać wszystko od początku. Jeden bolce. Dwa bolce. Trzy. I znowu drgnęła mi ręka. Górna część drzwi była przeszklona, więc po prostu włożyłem rękawiczkę i się przymierzyłem.

Prudell złapał mnie za rękę.

- Co się z tobą dzieje? - syknął. - Daj mi to.

Odebrał mi wytrychy, ustawił klucz dynamometryczny, a potem trzema szybkimi ruchami wcisnął wytrychami bolce. - Jakim cudem w ogóle zostałeś prywatnym detektywem? - zapytał i otworzył przede mną drzwi.

Wszedłem, a Prudell za mną. Delikatnie zamknął drzwi, popychając je biodrem. Nie chce zostawiać odcisków palców, pomyślałem. Niezły pomysł. Włożyłem drugą rękawiczkę.

- Nie masz rękawiczek chirurgicznych? - spytał.

- Zostawiłem je razem ze stetoskopem.

- Robocze rękawice są za grube, żeby cokolwiek w nich podnieść.

- Nie są za grube, żeby dać ci w zęby, jak się nie zamkniesz.

Podszedłem do frontowego okna i zerknąłem przez żaluzje. Radiowóz wciąż stał przy krawężniku. W środku było ciemno. Wyjąłem latarkę z kieszeni płaszcza i zapaliłem ją, przysłaniając szkiełko reflektora dłonią.

- Nie masz czerwonego filtra? - zapytał.

- Prudell, jak Boga kocham, jeżeli się nie zamkniesz...

- Już ani słowa - obiecał. - Rób, co masz robić. Najwyraźniej to ty jesteś tu wyszkolonym zawodowcem.

Przez chwilę marzyłem, żeby walnąć go w głowę latarką. Spokojnie, Alex. On dobrze gada. Zrób, co masz zrobić, i wynoś się stąd.

Dom był mały. Właściwie ledwo zasługiwał na to, by nazywać go domem. Jedno pomieszczenie służyło za kuchnię, jadalnię i pokój. Łóżko stało za lichym przepierzeniem, które nawet nie sięgało do sufitu. W łazience zmieściłaby się w tylko jedna osoba. W całym mieszkaniu unosił się charakterystyczny odór samotnego faceta. Brudnej pościeli, zbyt długo gotowanego jedzenia, papierosowego dymu.

Na kuchennym kontuarze leżał stos czasopism: na samej górze jeden z detektywistycznych szmatławców: - „okaleczał cheerleaderki, a potem grzebał je w swojej piwnicy” - a pod nim kilka magazynów poświęconych broni i parę tanich broszurek propagandowych. „Federalni sprowadzają chińskie wojska, aby odebrać ci broń”. Te same co zazwyczaj antyrządowe wycieczki wariatów.

Obszedłem pokój i znalazłem szafkę z bronią. Co jak co, ale ten człowiek wiedział, jak dbać o broń. Za szkłem stało pięć karabinów. Czuję zapach oliwy rusznikarskiej. W szklanej gablocie obok szafki leżały trzy rewolwery. Klasyczny służbowy - taki jak mój - 0.357 magnum i jakiś zupełnie mi nieznany. Było też puste miejsce, w którym mógł leżeć pistolet, a obok niego tłumik. Miałem właśnie otworzyć gablotę, ale wstrzymałem się - po co? Już wiedziałem, do jakiego pistoletu był tłumik.

Policja jeszcze niczego nie tknęła. Znałem procedurę. Pewnie jutro sprowadzą zespół. Napstrykają zdjęć, a potem wyjmą sztuka po sztuce. Obsypią proszkiem, żeby zdjąć odciski palców. Nie będą się śpieszyć. W końcu przecież podejrzany nie żyje. Będą robić to wszystko tylko po to, żeby zamknąć akta trzech morderstw. Może nawet ściągną paru młodych funkcjonariuszy i w ramach szkolenia pozwolą rozejrzeć się po domu.

Miałem przykre uczucie, że Raymond Julius otworzy drzwi do łazienki i wejdzie do pokoju. Prudell stał przy drzwiach kuchennych. Nie ruszał się. Trzymał ręce w kieszeniach.

- Wiesz, czego szukasz? - zapytał.

- Tak.

Zobaczyłem je - małe biurko w rogu pokoju. I maszynę do pisania.

Podszedłem i stanąłem nad nią. Był to stary, zdezelowany underwood, dokładnie taki, jak go opisał Allen. Obok leżały dwie tekturowe teczki. Nabrałem głęboko powietrza i wziąłem pierwszą z nich. W roboczych rękawicach trudno mi było ją trzymać, położyłem więc teczkę na biurku i zacząłem przerzucać strona po stronie kopie starych wycinków prasowych z „Detroit News” i „Detroit Free Press” z lipca 1984 roku. Pamiętałem wszystkie te nagłówki: „Szaleniec zabija policjanta, drugi funkcjonariusz walczy o życie”, „Burmistrz Young wychwala policjanta i zarządza kontrolę psychiatrycznych służb medycznych”, „Szaleniec-zabójca policjanta uznany za winnego we wszystkich punktach aktu oskarżenia”.

Zamknąłem tę teczkę i otworzyłem drugą. Natychmiast rozpoznałem czcionkę. To był jego dziennik. Każdy wpis znajdował się na osobnej stronie. Skierowałem cienki promień światła na kartki i zagłębiłem się w tajemnice martwego człowieka.

Rozdział 19

11 czerwca

ALEX MCKNIGHT. Chcę żeby to były pierwsze nakreślone przeze mnie słowa. Kiedy je piszę czuję jak gniew przenika mnie jak prąd o napięciu miliona woltów. Nie widziałem go nigdy a mimo to kiedy zamknę w nocy oczy mogę zobaczyć jego twarz. Nienawidzę jego twarzy nienawidzę jego nazwiska i nienawidzę wszystkiego co się z nim wiąże. Teraz kiedy mi to zrobił myślę o nim przez cały dzień i planuję co ja zrobię jemu jeżeli dostanę taką szansę. Przynajmniej mam teraz czym się zająć. Od tej chwili celem mojego życia jest dowiedzieć się jak najwięcej o Alexie McKnightcie a potem wykorzystać tę wiedzę aby go zniszczyć. Powiem halo nazywam się Raymond Julius. Nie znasz mnie ale sprawiłeś mi mnóstwo bólu i teraz chcę ci się odwdziżyć. Wyobrażam sobie jego minę kiedy to powiem.

2 lipca

Teraz wiem już więcej o Alexie McKnightcie. Dobrze się czuję mając go w swojej mocy. Czuję się tak jakbym trzymał go w swojej dłoni. Muszę tylko zacisnąć pięść by

go zmiażdżyć. Urodził się w 1959 roku w Detroit. Kiedyś był bejsbolistą, a potem policjantem w Detroit. Postrzelił go jakiś Maximilian Rose. Jego partner został zabity a McKnight wciąż ma w sobie jedną kulę. W każdym razie miał ją wtedy kiedy dziennikarze pisali o nim w zebranych przeze mnie wycinkach prasowych. Jest w nich jego zdjęcie na szpitalnym łóżku. A także zdjęcie Maximiliana Rose'a prowadzonego do sądu. Przydarza mi się coś dziwnego. W nocy kiedy zamykam oczy nie widzę już Alexa McKnigha ale Maximiliana Rose'a. Nie wiem dlaczego przecież przez cały czas myślę o McKnighcie. Obserwuję go w jego chacie i w barze do którego ciągle chodzi. Mam tylko jedno zdjęcie Maximiliana Rose'a i nie jest to nawet jego dobra podobizna bo to kopia z gazety. Dlaczego więc co noc widzę jego twarz? Może dlatego że próbował zabić McKnigha. Może jest teraz moim świętym patronem. Może przemówi do mnie i powie dlaczego jest tutaj.

22 sierpnia

Zaniedbałem pisanie. Tak wiele rzeczy się zdarzyło. Skontaktowałem się z Maximilianem Rose'em chociaż teraz nazywam go po prostu Rose. To tak wspaniale brzmi. Po raz pierwszy w moim życiu wszystko ma sens. To co Rose mi pokazał całkowicie odmieniło moje uczucia. Jestem podłączony do czegoś większego ode mnie. Rose sprawił że ujrzałem to wszystko. Przekazał mi tajemnicę Alexa. Jest w nim coś wyjątkowego. Nie wiem jeszcze nawet co to znaczy ale Rose obiecał że powie mi więcej. Nie mogę się doczekać kiedy znów się z nim skomunikuję. Rose to róża to róża to róża.

```

      R
    R  OSE  RO
  OSE  ROSE  SE
ROSE  ROSE  ROSE
ROSEROSEROSE
  ROSE  ROSE
  ROSEROSE
  ROSEROSE
    ROSE
      RO
      SE  E
      ROS
      RO
    R  SE
      OSE
      RO
      SE
      RO
      SE
```

13 września

Uczę się coraz więcej każdego dnia. Zrzucam moje dawne ja jak wąż zrzuca skórę. Widzę przyczynę tego wszystkiego i w jaki sposób pasuję do ogólnego wzoru. Kiedy teraz wychodzę z domu patrzę na ludzi i mogę ocenić czy są dobrzy czy źli spoglądając tylko na ich twarze i słuchając co i jak mówią. Wszędzie gdzie pójść jest tak wielu złych ludzi. Rose mówi że można się tego spodziewać bo teraz Alex jest tutaj. Chyba wkrótce ma się zdarzyć coś wielkiego. Czuję to. Myślę że niebawem Rose przekaże mi coś bardzo ważnego.

9 października

Jestem Rose. Będę to stale powtarzał. Jestem Rose. To dar który otrzymałem od Rose'a. Jego duch przyleciał do mnie z nieba i usiadł na moim ramieniu jak ptak. Teraz ja jestem Rose a Rose jest mną. Już wszystko widzę. Alex jest Wybrańcem. Ośmielam się powiedzieć to głośno. Został wybrany bo ugodziły go trzy kule. To oznacza że przeszła przez niego święta trójca. Trzecia kula wciąż tkwi w nim. Jest to duch wewnątrz niego który rozbrzmiewa na tej samej częstotliwości co duch wewnątrz mnie. Mam pracę do wykonania ważne dzieło. Trzeba je wypełnić zanim ostatnie słowa zostaną zapisane na wieczność.

Czytałem i robiło mi się niedobrze. Nagle od lektury oderwał mnie hałas. Ktoś był przy drzwiach kuchennych. Prudell spojrział na mnie przestraszony i rzucił się na podłogę. Zamarłem, czekając, aż drzwi się otworzą, stanie w nich policjant i zaświeci mi w twarz latarką. Ale się nie otwierały.

Podkradłem się do nich i wyjrzałem przez okno. Wielki szop przewrócił pojemnik na śmieci.

- Spieprzaj stąd - syknąłem. - Wynocha! Zwierzak tylko na mnie popatrzył.

- Spadaj stąd, wielki sukinsynu z tłustą dupą - powiedziałem, uchylając lekko drzwi.

Szop odskoczył od pojemnika i podreptał do lasu. Stałem przez chwilę, czekając, aż moje serce odzyska normalny rytm.

- Myślisz, że gliniarz usłyszał hałas? - zapytał Prudell. Wciąż siedział na podłodze.

- Nie wiem.

Podszedłem do okna na ulicę i zerknąłem przez żaluzje. W radiowozie nic się nie działo.

- Mam nadzieję, że śpi albo niedosłyszy.

Kiedy upewniłem się, że policjant nie idzie do domu, powróciłem do lektury.

1 listopada

Wszystko jest teraz w ruchu. Dzieje się tak szybko. Musiałem usunąć złego człowieka. Mówił złe rzeczy do mężczyzny o imieniu Edwin który jest blisko Alexa. To nie przypadek że w miejscu gdzie ludzie przegrywają swoje dusze w kasynach jest tak wiele zła. Usunięcie tego człowieka sprawiło że poczułem się dobrze. Wreszcie mogłem uczynić coś prawdziwego. Zadzwoiłem do Aleksa bo okazało się że zobaczył co dla niego zrobiłem. Widział to na własne oczy. To na pewno dobry znak i jestem z tego powodu szczęśliwy. Zastanawiam się kiedy powinienem mu powiedzieć kim teraz jestem.

3 listopada

Wszystko dzieje się w szaleńczym tempie ale we mnie panuje całkowity spokój. Usunąłem drugiego złego człowieka który mówił takie same złe rzeczy jak ten pierwszy. Zjeżdżają się z wszystkich krańców świata ale się tym nie martwię. Wiem co musi być zrobione i jak mogę to zrobić. Umieściłem list do Alexa na jego drzwiach żeby go zobaczył. Powiedziałem mu że jestem Rose i przybyłem tu dla niego. Wszystko co zostało obiecane stanie się. Nie wiedziałem że krew jest taka czerwona. Czerwiejsza niż pocałunek i jeszcze bardziej potężna.

6 listopada

Prawie nie mam czasu pisać. Wszystko składa się już w całość tak jak powinno. Mimo że Alex otoczony jest tyłoma murami wiem że każdy szczegół jest częścią planu. Wiem że człowiek o imieniu Edwin który trzymał się blisko niego był Judaszem. Należało go usunąć. Tym razem byłem jeszcze bardziej ostrożny jeśli chodzi o krew. Przekazałem Alexowi kolejny list a w nim nawet moją nową teorię że krew jest potężniejsza niż mikrofałe. I że Edwin jest na dnie jeziora. Nigdy więcej nie stanie nikomu na drodze. Sądzę że już pora iść do Alexa. Muszę się teraz przespać żeby mieć siłę i odwagę na ostateczne zadanie.

7 listopada

Już czas. Jestem tak podniecony że ledwo piszę na maszynie. Nadszedł czas by iść do Alexa i przeprowadzić go przez drzwi. Wiem że musi czuć lęk i nawet ból ale wiem też że ostatecznie wszystko będzie tego warte. Mogę sprawić że zdarzy się to w taki sposób w jaki ma się zdarzyć. Wiem że jego rewolwer nie jest prawdziwym rewolwerem. To tylko iluzja. Ma oszukać złych ludzi i nigdy nie zdoła mnie zranić. Jest to część planu zupełnie jak taniec z dwiema figurami. Ja wykonam swoją figurę a on swoją. A kiedy już się to stanie będziemy zawsze razem.

Przeczytałem ostatnie słowa i zamknąłem teczkę. Chciałem zobaczyć coś, co pomogłoby mi odnaleźć w tym jakiś sens. Prochy, igłę, strzykawkę, coś co tłumaczyłoby to czyste szaleństwo. Niczego nie znalazłem.

- Wynośmy się stąd do diabła - powiedziałem.

- Sprawdź, czy wszystko jest tak, jak było - zażądał Prudell.

- Jest.

- Nie. Ma być dokładnie tak samo. Przedtem teczki leżały jedna na drugiej.

- To bez znaczenia.

- Wiesz, że robią zdjęcia. Zauważą, jeżeli teczki będą przesunięte o kilka centymetrów - upierał się Prudell.

- Po prostu wyjdź stąd. No już.

Nie obchodziło mnie, czy ktoś zauważy, że tu byłem. Niechby nawet teraz tu wpadli i nałożyli mi kajdanki. Byle tylko zabrali mnie stąd w cholerę.

Wypchnąłem go za drzwi kuchenne. Stałem na dworze, oddychając zimnym, nocnym powietrzem, a Prudell starannie mocował na nowo taśmę policyjną.

- Spadajmy - syknąłem cicho. - Powiedziałem, że to bez znaczenia.

- Nie bądź durniem, McKnight. - Postarał się, żeby wszystko było idealnie jak przedtem, a potem wróciliśmy przez las do mojej półciężarówki.

Wsiedliśmy. Zapuściłem silnik i odjechałem najpierw ulicami o nazwach drzew, a potem numerowanymi, aż do autostrady. Żaden z nas się nie odzywał. Tylko wiatr z szumem wpadał przez otwarte okno. Było zimno aż do bólu, ale chciałem, żeby mnie bolało. Chciałem czuć coś rzeczywistego, coś co potrafiłbym zrozumieć.

- I co powiesz? - spytał w końcu Prudell.

Zamyśliłem się. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc po prostu pokręciłem głową. Nie naciskał.

Podjechałem pod jego restaurację. Wysiadł z półciężarówki i poszedł do swojego samochodu.

- Hej. Nie zamierzasz wrócić do roboty? - zapytałem.

- To była chyba moja trzecia absencja tutaj.

- Chcesz powiedzieć, że wylali cię z kolejnej pracy?

- Na tej niezbyt mi zależało.

- No to przynajmniej pozwól, żebym zapłacił ci twoje pięćset dolarów.

- Zapomnij o tym. Nie chcę twoich pieniędzy.

- Cokolwiek to znaczy, jestem ci wdzięczny za pomoc.

Podszedł do okna półciężarówki.

- Cokolwiek to znaczy, przepraszam, że tak cię poturbowałem w tamten wieczór.

- Wtedy w barze? Tej nocy, kiedy dwadzieścia razy usiłowałeś mnie uderzyć i chybiałeś, a potem położyłem cię jednym ciosem?

- Jednym ciosem? Takiego wała! Poślizgnąłem się na żwirze. Chodzi mi o to, że trafiłem cię w twarz kluczami. Musiało cię boleć przez dobrych parę dni.

Roześmiałem się. Dziwne, że mogłem się śmiać.

- Masz rację, Prudell. Rzeczywiście mi dołożyłeś.

- Należało ci się. A od tej pory, nie wchodź mi w drogę. - Kiedy odchodził, wydawało mi się, że na jego twarzy dostrzegłem cień uśmiechu.

Zostawiłem go na parkingu i odjechałem w noc po 1-75, w kierunku domu. Potem szosą 28 do 123 i nią do Raju. W czasie kilku ostatnich dni wyłobiliśmy na tych drogach koleiny, każdego dnia kursując do Soo i z powrotem. A teraz wszystko się skończyło, prawda? Teraz znów zaczniesz normalnie żyć? Obląkany nieudacznik tropi cię, kontaktuje się z szaleńcem, który postrzelił cię czternaście lat temu, myśli - na litość boską - że się w niego wcielił, zabija trzech ludzi, próbuje zabić ciebie, a to ty zabijasz jego. I miałbyś zapomnieć o tym wszystkim i wrócić do rąbania drewna na opał i sprzątania chat?

Jadę. Ciemność. Zapach sosen dolatujący przez okno. Zbliża się jakiś samochód. Mrużę oczy, oślepiiony jaskrawymi reflektorami. Mija mnie.

W jaki sposób skontaktował się z Rose'em? Nie napisał, jak to zrobił.

Drogowskaz do kasyna. Ostatnie miejsce, w którym widziano Edwina żywego. Mógłbym tam pojechać. Zagrać w blackjacka. Wypić drinka. Nie chcę wracać do pustej chaty. Leżeć w niej i patrzeć w sufit.

Teraz strach powinien zniknąć. Rose odsiaduje w więzieniu dożywocie. A ten drugi, który sprawił, że zacząłem wątpić, czy jestem normalny, nie żyje. Trafiłem go cztery razy - pierś, pierś, głowa, pierś. Strach powinien na zawsze zniknąć.

Zobaczyłem światła w Glasgow Inn. Zatrzymać się tam? Nie. Pojechałem dalej. Zwolniłem przy drodze prowadzącej do mojej chaty. Wracaj do domu i spróbuj się przespać, pomyślałem.

Jechałem dalej.

Nie powinna zostawać sama. Przez telefon sprawiała wrażenie takiej zrozpaczonej. Po tym wszystkim, co się stało, nie powinna być sama w tym domu.

Przynajmniej tak to sobie tłumaczyłem.

Dojechałem do Point i skręciłem na zachód. Pomyślałem o śnie pani Fulton. Samochód z wyłączonymi światłami sunie między drzewami. Kierowca obserwuje w nocy dom. Widziała go w swoim śnie. Widziała także krew. To już nawet nie wydaje się tak niesamowite. Po tym, co się wydarzyło, mógłbym uwierzyć we wszystko.

Ujrzałem blask, zanim skręciłem na ich podjazd. Dom był cały rozświetlony. Dziedziniec też - można by na nim grać w bejsbol. Gdy parkowałem samochód, widziałem wyraźnie plażę i taflę wody. Pewnie jakiś marynarz na frachtowcu znajdującym się niedaleko od brzegu patrzył w stronę domu przez lornetkę i zastanawiał się, skąd wzięła się nowa latarnia morska.

Wyłączyłem silnik - i usłyszałem muzykę. A kiedy otworzyłem drzwi domu, zaatakowała moje uszy z całą siłą. Był to jakiś operowy kawałek, śpiewający po włosku sopran osiągał coraz wyższe rejestry.

Gdzie Sylvia?

Stereo znalazłem w gabinecie. Kolumny były wielkie jak lodówki. Dudnienie raniło uszy; chciałem wyłączyć muzykę. Aparatura za dziesięć tysięcy dolarów miała więcej przycisków niż pulpity odrzutowca, ale w końcu znalazłem guzik zasilania i wyłączyłem to cholerstwo. Nagle zapanowała cisza; pokręciłem głową, zastanawiając się, gdzie może być Sylvia. Natychmiast wyobraziłem sobie to, co najgorsze: że wisi w łazience na karniszu zasłony albo leży na łóżku z zaciśniętą w dłoni buteleczką po pigułkach.

I wtedy usłyszałem, że schodzi po schodach.

- Kto wyłączył moją pierdoloną muzykę?

- Nie wiedziałem, że lubisz operę.

Pojawiła się w drzwiach z butelką w ręku. Włosy miała rozczochrane, oczy czerwone i opuchnięte od płaczu albo picia, albo Bóg raczy wiedzieć czego. Wyglądała fantastycznie.

- Co tu robisz? - zapytała.
- Martwiłem się o ciebie.
- Powiedziałam ci, żebyś trzymał się ode mnie z daleka.
- Mimo to przyjechałem.
- Nie powinienes.
- Ile wypiałś?
- Nie twój interes.

Podszedłem do niej i wyjąłem butelkę z jej dłoni. To był szampan.

- Coś świętujesz? - spytałem.
- Zacznę, gdy tylko się wyniesiesz.
- Dlaczego przyszedłś do mojej chaty?

Milczała.

- Bałaś się? Czulaś się samotna?

Spojrzała mi w oczy.

- Masz pojęcie, jak bardzo cię nienawidzę?
- Nie, nie mam. Pokaż mi.

Uderzyła mnie w twarz. Tak jak pani Fulton, ale mocniej. Kiedy znów się zamachnęła, złapałem ją za rękę.

- Puść mnie - syknęła.

Patrzyłem na nią. Stała blisko mnie, czułem jej zapach, ciepło jej ciała.

- Powiedziałam, żebyś mnie puścił.

Nie puściłem.

Rozdział 20

OTWORZYŁEM OCZY. Przez świetlik widziałem ciężkie chmury, jeden płatek śniegu, potem drugi. Spojrzałem na głowę Sylvii na poduszce, odwróconą ode mnie. Nie wiedziałem, czy jeszcze śpi.

Wysunąłem się z łóżka. Stałem i popatrzyłem na nią. Nie poruszyła się. Kiedy zacząłem wkładać spodnie, odezwała się:

- Wychodzisz.

To nie było pytanie.

- Wrócę - odparłem.

Popatrzyła na mnie. Trzymała kołdrę przy samej szyi.

- Mówię poważnie. Wrócę.

Milczała.

- Chyba pada śnieg - zauważyłem. Spojrzała w świetlik.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem. Zabrzmiało to słabo, ale niczego lepszego nie wymyśliłem.

- Nie.

- Wypiłaś mnóstwo szampana - przypomniałem, wkładając koszulę.

Rozejrzałem się po pokoju: gdzie są buty i skarpetki?

Usiadła na łóżku, owijając się kocem.

- Zamierzasz powiedzieć coś jeszcze? Czy znowu chcesz uciec?

Usiadłem koło niej.

- Co znaczy „znowu”? Kiedy wcześniej uciekałem?

- Wciąż to robiłeś. Za każdym razem.

- Dlatego, że Edwin zazwyczaj wracał do domu.

- Już nie wróci. - Nagle znów w jej oczach błysnął płomień.

- Muszę iść - oznajmiłem.

- Oczekujesz, że będę cię błagała, żebyś został?

- Nie. Nie oczekuję niczego.

Bałem się, że zareaguje zimnym milczeniem albo ostro i gwałtownie. Ale ona spojrzała na swoje dłonie.

- Myślisz, że wyszłam za Edwina dla pieniędzy?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Pewnie tak właśnie myślisz. Mówiłam ci, jak go poznałam?

- Nie.

- Miałam kwiaciarnię w Southfield. Sama ją prowadziłam. Chyba chciałam dowieść każdemu, że mogę to robić. Wiesz, rodzinie, znajomym... Nie zdawałam sobie sprawy, jaki to twardy biznes, ale wciągałam się. Powodziło mi się dobrze. Pewnego dnia do sklepu wchodzi Edwin Fulton. Ma na sobie garnitur za pięć tysięcy dolarów. I te wytworne, skórzane buty. Od razu więc pomyślałam: okej, facet zastosuje taktykę, będzie próbował mi zaimponować forszą. Podchodzi do lady i pyta, jaki kwiat będzie dobrze wyglądał w jego butonierce. Wyjaśnia, że zupełnie nie zna się na kolorach, nie wie, jaki będzie dobrze pasował do jego krawata. Miałam róże z Ameryki Środkowej. Naprawdę ładne. I drogie. Mówię mu, proszę, pewnie chce pan coś takiego. Wiesz, co mi odpowiedział?

- No co?

- Że nie, bo wygląda na zbyt drogą. A on nie chce szpanować. I zamiast róży kupuje wielkiego, czerwonego goździka. Za siedemdziesiąt pięć centów.

Uśmiechnąłem się.

- Następnego dnia wraca, kupuje kolejnego goździka. A potem następnego i następnego. Zawsze sprawiał wrażenie, jakby chciał ze mną porozmawiać, ale chyba po prostu się wstydził. Było to dziwaczne, bo bogacze raczej nie są wstydlivi. W każdym razie, kilka dni później przychodzi i zamawia ogromny bukiet! Wszystkie róże, jakie mam w sklepie. Wieki trwało, zanim je zebrałam. Kiedy ostatecznie się z tym uporałam, poprosił mnie, żebym wypisała mu bilecik z życzeniami. Powiedział: „Proszę napisać ten bilecik dla najcudowniejszej kobiety, jaka kiedykolwiek stąpała po tej ziemi”. To dokładnie jego słowa. I oczywiście pomyślałam: o Boże, wydaje mu się, że to oryginalne? Chce, żebym wypisała bilecik, a potem oznajmi, że kwiaty są dla mnie. Jestem wkurzona, bo wyrzuca pieniądze, próbując mi zaimponować, a ja będę musiała mu dziękować, chociaż absolutnie nie mam na to ochoty, ponieważ będę musiała z powrotem porozkładać te kwiaty. Ale wcale tak nie zrobił.

- Nie?

- Nie. Kwiaty były dla jego matki. Miała właśnie urodziny. Zorientował się, że byłam zaskoczona, i zapytał, czy myślałam, że zamierza dać je mnie. Powiedziałam, że szczerze mówiąc, tak, że tak właśnie sądziłam. I wiesz co on na to? Że kiedy ostatecznie zbierze się na odwagę, żeby mnie gdzieś zaprosić, kupi kwiaty w innej kwiaciarni. Dzięki temu, jeżeli się w nim nie zakocham, będzie mógł je odnieść i zażądać zwrotu pieniędzy.

- Niebywale.

Popatrzyła na świetlik.

- Myślisz, że może nas teraz zobaczyć?

- Dobry Boże, nie wiem.

- Powinieneś usłyszeć, co mówił o tobie. Oświadczył mi, że jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miał. Powiedział ci to kiedyś?

- Tak, owszem.

- Mam nadzieję, że może... że może nas zobaczyć.

- Dlaczego?

- Nie wiedział o nas - odparła. - Powinnam mu była powiedzieć. Nie dlatego, żeby go zranić. Po prostu miał prawo znać prawdę.

- Chyba nie zawsze chce się ją znać.

- Nie wierzę w to. Nie lubię, jak coś się mi przydarza i nie wiem dlaczego.

- Ja chyba też. Dlatego właśnie muszę teraz odejść. Muszę dowiedzieć się jeszcze jednej rzeczy.

Przyglądała mi się, kiedy wkładałam płaszcz.

- Powiedz szczerze, chcesz, żebym wrócił czy nie.

- Nie. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Całkiem uczciwe postawienie sprawy.

- Nie możemy ot tak po prostu zacząć od początku. Nie możemy udawać, że nic się nie stało.

- No nie.

Znów spojrzała na świetlik. W jego rogach zaczął zbierać się śnieg. Siedziałem, przyglądając się jej.

- Dziękuję, że byłeś przyjacielem Edwina - powiedziała.

- Raczej nie najlepiej się spisałem.

Uśmiechnęła się. Nie był to najpromienniejszy uśmiech, ale pierwszy, jaki widziałem u niej od miesiący.

- Wybaczylby ci wszystko. Nawet to.

Wyszedłem. Nie pocałowałem jej. Nie dotknąłem. Gdy odjeżdżałem, zastanawiałem się, czy kiedykolwiek to znowu zrobię.

Skręciłem do chaty, wziąłem prysznic, przebrałem się, wypilem kawę. A potem wróciłem do półciężarówki i ruszyłem do Soo. Śnieg sypał coraz mocniej, ale jeszcze nie zalegał na ziemi. Parę płatków wpadło do samochodu przez okno.

Kiedy dotarłem do biura Uttleya, pakował duże kartonowe pudło. Wyglądał znów jak dawniej, gładko ogolony, z zaczesanymi do tyłu włosami. Ładne koszula i krawat.

- O, Alex! Szukałem cię ubiegłej nocy. Pomyślałem, że twój telefon wciąż nie działa, zatrzymałem się więc przy twojej chacie.

- Kiedy to było?

- Chyba koło północy. Nie mogłem spać, więc postanowiłem zobaczyć się z tobą.

- Musiałeś być tuż po moim wyjeździe. Ja też nie mogłem spać, więc pojechałem szukać domu Raymonda Juliusa.

- Raymonda Juliusa? Człowieka, którego...

- Tak, człowieka, którego zabiłem. Okazuje się, że wykonywał pewne prace dla Leona Prudella.

Przerwał pakowanie.

- Pracował dla Prudella? Nie żartujesz?

- Załatwiał dla niego różne sprawy. Czy kiedykolwiek go spotkałeś?

- Nie. Nie pamiętam nawet, że bym słyszał to nazwisko.

- Prudell twierdzi, że kiedy prowadził obserwację ratowników, Julius mu pomagał.

- Och, poczekaj. Przypominam sobie. Mówił, że jakiś facet mu pomaga, przejmuje obserwację, kiedy on idzie do łazienki i takie tam. Ale nie wydaje mi się, żeby wymienił jakieś nazwisko. Pewnie nie słuchałem go zbyt uważnie, bo już wcześniej postanowiłem, że go zwolnię. Ale jak się to ma do twojej sprawy z Rose'em?

- Facet był wkurzony utratą pracy. Uznał, że to ja jestem temu winien. Zaczął mnie śledzić, interesować się moją przeszłością. Znalazł wycinki prasowe. Reszta jest dość zwariowana.

- Dobry Boże - jęknął Uttley. - Wszystko przez to, że wylałem Prudella?

- Nie - odparłem. - Przez to, że ten gość był obłąkany. Nie zrobiłeś niczego niewłaściwego.

- Nie mogę w to uwierzyć. Co za koszmar!

- Niepokoi mnie pewna sprawa. W jaki sposób skontaktował się z Rose'em.

- Czy go odwiedził, czy napisał do niego?

- Tak. W swoim dzienniku zanotował tylko, że skontaktował się z Rose'em. Ale nie wyjaśnił jak.

- Przeczytałeś jego dziennik? Jak ci się to udało?

- Nie chcesz tego wiedzieć.

Podniósł rękę.

- Nic nie mów.

- Po prostu zastanawiam się, w jaki sposób dostał się do Rose'a. Jak dowiedział się o tym wszystkim, o czym pisał w swoich notatkach.

Uttley wzruszył ramionami.

- Trudne pytania, Alex. Dlaczego w ogóle ma to dla ciebie znaczenie?

- Po prostu ta sprawa mnie dręczy. Może powinienem znowu zadzwonić do tego Browninga z więzienia?

- Nic nie wskórasz - odparł. - Wiesz o tym.

- Daj mi jego numer. Spróbuję.

Uttley westchnął i zaczął szukać w papierach. W końcu zapisał numer na kartce.

- Proszę, ale marnujesz czas - stwierdził.

- Pewnie tak - przyznałem. - Co masz w tym pudle? Gdzieś wyjeżdżasz?

- Muszę odpocząć. Ty chyba też.

- Dokąd się wybierasz?

- Jeszcze nie wiem. Gdzieś bardzo daleko stąd. W jakieś ciepłe miejsce. Na jakąś wyspę.

- Dobry pomysł.

- Przez te wszystkie noce, które spędziłem na sofie u Fultonów, zastanawiałem się nad różnymi sprawami. Nie jestem pewien, czy nadal chcę być prawnikiem. W każdym razie nie takim prawnikiem jak dotychczas. Spróbuję zająć się czymś miłym i spokojnym, no wiesz, nieruchomości, takie rzeczy. Po prostu będę siedział na tyłku i odbierał solidne czeki.

- Już tu nie wrócisz, co?

- Chyba nie, Alex. Zbyt wiele się tu stało. Dziwię się, że sam tak nie myślisz.

- A może myślę.

- W każdym razie raczej nie będę już potrzebował twoich usług jako prywatnego detektywa.

- W porządku. Ja też nie jestem przekonany, że chcę być nim nadal.

Kiwnął głową i przełknął ślinę.

- Pomóc ci coś wynieść? - zapytałem.

- Nie, tu jest wszystko, czego potrzebuję. - Poklepał pudło. - Alex, nie bardzo wiem, co jeszcze powiedzieć. W czasie kilku ostatnich tygodni na pewno wiele przeżyłeś. Mam tylko nadzieję, że choć trochę udało mi się cię wesprzeć.

- Oczywiście, że tak.

Wyszedł zza biurka i podał mi rękę. A potem mnie uścisnął - objął mnie i przytulił mocno.

- Dbaj o siebie, Alex.

- Do widzenia, Lane.

Kiedy zamykałem drzwi, spojrzałem na niego przez ramię. Po raz ostatni podniósł kciuk, życząc mi szczęścia.

Pojechałem do miasta, żeby poszukać szklarza. Pierwszy nie miał na składzie szyb do mojej półciężarówki. Drugi i trzeci też. Ostatni, którego odwiedziłem, powiedział, że mogę albo przejechać most i spróbować po kanadyjskiej stronie, albo złożyć zamówienie i prowizorycznie zabezpieczyć okno przezroczystą folią i taśmą klejącą.

Z budki zadzwoniłem do biura napraw, aby dowiedzieć się, co z moim przeciętym przewodem telefonicznym. Jakaś pani powiedziała mi, że spróbują przyjechać do mnie jeszcze dzisiaj, ale nie umiała podać godziny. Wyjaśniłem jej, że sprawa nie jest aż tak pilna, żebym z niecierpliwości czekał na technika. Kiedy się rozłączyłem, wyjąłem kartkę z numerem telefonu Browninga. Patrzyłem na nią długo, a potem schowałem do kieszeni.

Gdy wracałem do Raju, śnieg przestał padać. Ale dzień nadal był zimny, powietrze przenikliwe, a niebo szare jak stal. Pewnie nie zobaczę słońca przez pięć miesięcy. Czyżby Uttley miał rację? Może powinienem wyjechać i nie wracać tu więcej. A nawet wziąć ze sobą Sylvie, jeżeli uda mi się ją przekonać.

Boże, Alex, posłuchaj samego siebie. Tylko siebie posłuchaj.

Zatrzymałem się w Glasgow Inn na późne śniadanie. Jackie zrobił mi swój omlet - z cebulą, papryką, serem, różnymi dodatkami. Było za wcześnie na piwo, ale nie za wcześnie na jego słynną Krwawą Mary. Jedną - albo dwie lub trzy.

Wyjąłem z kieszeni kartkę i na nią popatrzyłem. Jeżeli do niego zadzwonię, pewnie odłoży słuchawkę. Znowu schowałem kartkę.

Kiedy wróciłem do chaty, człowiek od napraw stał na drabinie. Powinienem przeprosić firmę za brak zaufania.

- Co u diabła stało się z tym przewodem? - zapytał. - Wygląda, jakby ktoś przeciął go nożem.

- To długa historia - odparłem i wszedłem do chaty, zanim zdążył poprosić, abym mu ją opowiedział.

Kiedy skończył, zastukał do drzwi.

- Zrobione. Opłata będzie w następnym rachunku - poinformował.

Podziękowałem mu i podniosłem słuchawkę, żeby upewnić się, czy jest sygnał. Nawet o tym nie myśląc, wybrałem numer Browninga. Nie musiałem patrzeć na kartkę. Tak długo przyglądałem się numerowi, że go zapamiętałem.

Usłyszałem buczenie. Niech to diabli, pomyślałem. Jeżeli nawet nic nie zdziałał, przynajmniej przeproszę, że na niego nawrzeszczałem.

- Więzienie, Browning przy telefonie.

- Panie Browning, tu Alex McKnight.

- Ach tak, słucham, panie McKnight.

- Przede wszystkim chciałbym bardzo przeprosić za to, jak z panem rozmawiałem. Byłem wtedy w ogromnym stresie, a nie powinienem wyładowywać się na pana. Wiem, że postępował pan zgodnie z przepisami.

- Nie ma sprawy.

- Jedno się wyjaśniło. To nie był Rose.

- Oczywiście. Przez cały czas siedział tu w celi.

- Właśnie. Ale okazało się, że ktoś się z nim kontaktował. Jestem po prostu ciekaw, w jaki sposób. Na pewno rejestruje pan odwiedziny i listy. Musicie też czytać korespondencję, prawda?

- Czytamy.

- Proszę posłuchać, panie Browning. Wiem, że oficjalnie nie mam żadnych powodów, aby pana o to prosić. Ale po prostu ze względu na moje zdrowie psychiczne, niech mi pan powie, czy mógłbym otrzymać od pana pewną ważną dla mnie

informację? Chciałbym się dowiedzieć, czy kontaktował się z Rose'em człowiek o nazwisku Raymond Julius?

- A czemu sam go pan o to nie zapyta?

- Słucham?

- Dziś rano dzwoniłem do pana Uttleya. Nie zastałem go w biurze, zostawiłem mu więc wiadomość.

- Pojechał na wakacje - wyjaśniłem. - Dlaczego pan do niego dzwonił?

- Aby go poinformować, że Maximilian Rose zgodził się z panem spotkać.

Stałem ze słuchawką w ręku.

- Panie McKnight? Jest pan tam?

- Tak. Kiedy mogę się z nim zobaczyć?

- Jak panu wygodnie. Proszę mi wierzyć, nigdzie się nie wybiera.

- Przyjadę dzisiaj.

- Wydawało mi się, że jest pan na Upper Peninsula. To chyba jakieś sześć, siedem godzin jazdy?

- Wyruszam natychmiast.

- Godziny odwiedzin kończą się o trzeciej. Nie zdąży pan.

- Panie Browning, proszę! - Nie mogłem znieść myśli o czekaniu. Miałem dość bezsennych nocy. - Musi być jakiś sposób, aby pozwolił mi pan dziś z nim się spotkać. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo to ważne.

- Panie McKnight, wie pan, że prawdziwy z pana wrzód na dupie?

- Czy to znaczy, że pozwoli mi pan zobaczyć się z nim jeszcze dzisiaj?

- Niech się pan tylko nie zabije po drodze, słyszy mnie pan? Obowiązuje ograniczenie prędkości do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Już wyjeżdżam.

- Niech pan zapyta o mnie strażników przy bramie. W przeciwnym razie nie wpuszczą pana.

Odłożyłem słuchawkę i pobiegłem do półciężarówki. Do Lower Peninsula dotarłem w niecałą godzinę; pozostało mi jeszcze około czterystu kilometrów. Pędziłem dalej niemal cały czas z prędkością stu trzydziestu. Gdyby przy stu czterdziestu pięciu moja półciężarówka nie zaczynała grzechotać, jakby chciała się rozpaść, pewnie jechałbym jeszcze szybciej.

Nie miałem ani minuty do stracenia. Odpowiedzi, rozwiązania, dowód na to, że nie oszalałem. Wszystko tam na mnie czekało.

Rozdział 21

WIĘZIENIE STANOWE MICHIGAN POŁUDNIOWEGO, znane też jako Więzienie Stanowe Jackson, znajduje się dziewięćdziesiąt sześć kilometrów na zachód od Detroit, za Ann Arbor, w samym środku stanu; w okolicy pasą się krowy i rośnie zboże. Więzienie jest miastem samym w sobie - to rozległy szary kompleks budynków z betonu, otoczony drutem kolczastym. Wiedziałem, że ma kilka skrzydeł o różnym stopniu zabezpieczenia. Skierowano mnie do strefy o bardziej zastrzeżonej ochronie.

Jechałem ponad pięć i pół godziny, zatrzymując się tylko raz, żeby zatankować i skorzystać z toalety. Ochlapałem twarz zimną wodą, wsiadłem do półciężarówki i ruszyłem dalej. Dzięki plastikowi w oknie do środka nie wpadało chłodne powietrze, ale ta prowizoryczna szyba właściwie nie tłumiała hałasu. Kiedy w końcu skręciłem z autostrady koło Jackson, wciąż brzęczało mi w uszach.

Przy bramie powołałem się na Browninga. Strażnik spojrzął do papierów umocowanych klipsem do podkładki, poprosił o okazanie prawa jazdy i wpuścił mnie. Zaparkowałem w części dla odwiedzających i poszedłem do poczekalni. Stało w niej, rzędami, ze sto krzeseł. Kafelki na podłodze, szafki przy jednej ze ścian, na drugiej szklana gablota z eksponatami. Miałem całe pomieszczenie do swojej dyspozycji, bo urzędowe godziny odwiedzin się skończyły. Podałem nazwisko strażnikowi siedzącemu za szybą kuloodporną. Zdjął ze ściany jedną z podkładek z dokumentami - wisiało ich tam ze dwadzieścia. Pewnie gdzieś w mieście Jackson ktoś zarabiał niezłe pieniądze na produkowaniu tych podkładek. Strażnik spojrzął w papiery i poprosił, żebym poczekał.

Podszedłem do gabloty i zajrzałem do środka. Umieszczono w niej wyłącznie nagrody strzeleckie, przyznawane strażnikom za najlepsze wyniki - trofea za każdy rok, gromadzone od co najmniej trzydziestu lat. Ciekawy chwyt psychologiczny - taka ekspozycja dla osób przychodzących odwiedzić więźniów.

Po kilku minutach usłyszałem brzęczyk. Do poczekalni wszedł potężny, ostrzyżony na jeża mężczyzna. Wyglądał jak instruktor musztry.

- Browning - przedstawił się.

Uścisnąłem mu dłoń.

- Proszę tędy.

Wyprowadził mnie tymi samymi drzwiami. Podeszliśmy do następnego strażnika za szybą. Znów podkładki na ścianach.

- Niech pan idzie za mną - powiedział Browning, przechodząc przez bramkę z wykrywaczem metalu.

- Detektor zareaguje - uprzedziłem. Zrobiłem kilka kroków i usłyszałem pisk.

Strażnik otworzył drzwi i podał mi małą plastikową tackę, taką samą, jak na lotniskach.

- Niech pan położy tu wszystko. Zegarek, klucze...

- Mam w sobie kulę - wyjaśniłem. - Tutaj. - Wskazałem na serce. Browning i strażnik popatrzyli na siebie, po czym klawisz wyjął ręczny wykrywacz i pomachał nim koło mnie. Detektor zawył, kiedy przesunął nim przed moją piersią. Browning podrapał się po brodzie.

- To Rose pana postrzelił?

- Tak.

- I jest pan pewien, że chce go zobaczyć?

- Muszę.

- Proszę tędy.

Poprowadził mnie korytarzem. Wiedziałem, że są dwa rodzaje rozmównic. Rozmównice dla rodzin - z sofami i krzesłami, więc można usiąść razem z więźniem, a nawet go dotknąć, pod warunkiem, że nie zrobi się nic więcej. Gdyby zabrać strażników, pomieszczenie wygląda zupełnie jak salonik. Teraz jednak, kiedy je mijaliśmy, było puste - inne. Browning zaprowadził mnie do takiego, jakie sobie wyobrażamy. Przecież oglądamy je na filmach. Ściana z grubego szkła, dwa telefony. Zostawił mnie samego. Krzesło z drugiej strony było puste.

Czekałem kilka minut, myśląc o tym, co się wydarzy. Przez cały czas, kiedy jechałem tutaj, zastanawiałem się, o co go zapytam, na jakie pytania muszę otrzymać odpowiedź. Prawdę mówiąc, nie wracałem pamięcią do tamtego dnia w Detroit, kiedy mnie postrzelił. Ale kiedy włączył się wykrywacz metalu, wszystko odżyło. Mam zobaczyć człowieka, który trafił mnie trzema kulami i zabił mojego partnera. Czternaście lat później mam znowu zobaczyć jego twarz.

Usłyszałem, jak zamykają się ciężkie drzwi. Patrzyłem, jak strażnik przechodzi za szybą, a za nim mężczyzna w więziennych ciuchach. Usiadł na krześle i nawet na

mnie nie spojrział. Miał długie włosy i długą brodę, gęsto przetykane siwizną. Był chudy. Sprawiał wrażenie tak kruchego, że można by go złamać jak ołówek. W końcu popatrzył na mnie.

To był on.

Znałem te oczy. Wszystko inne się zmieniło, ale oczy pozostały takie same. Poznałbym je wszędzie. Nawet w innej sytuacji. Mówiłem sobie: zapomnij o więzieniu, o tym, że spodziewałeś się go zobaczyć. Daj mu strój kuriera, każ mu go włożyć i wyślij pod swoje drzwi. Gdy tylko zobaczyłbym jego oczy, wiedziałbym, że to on.

Siedział i patrzył na mnie tak jak wtedy, kiedy mnie postrzelił. Znowu dopadł mnie strach. Wiedziałem, że jestem bezpieczny, a mimo to nie mogłem powstrzymać fizycznej reakcji na jego widok.

Zwalczyłem lęk, starając się skupić na tym, po co tu przyjechałem. Wziąłem słuchawkę i poczekałem, aż zrobi to samo. Gdy przyłożył ją do ucha, odchrząknąłem i zapytałem:

- Pamiętasz mnie?

Tylko popatrzył na mnie przez szybę.

- Jestem policjantem z Detroit. Postrzeliłeś mnie.

- Tak? - Głos miał bezbarwny. Ledwie przypominał ludzki. Równie dobrze mógłby wydobywać się z maszyny.

- Zabiłeś mojego partnera.

- Mów dalej.

- To było dawno temu. I właściwie nie dlatego tu jestem.

- Wiem, dlaczego tu jesteś.

- Wiesz?

- Tak. Chcesz informacji.

- Skąd to wiesz?

- Jestem tu długo. Stałem się pod wieloma względami mądrym człowiekiem.

Zmuszałem się, żeby na niego patrzeć. Twarz miał wymizerowaną. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, jak węże Meduzy. Sprawiało to, że jego oczy wydawały się tym bardziej przerażające.

- Znasz kogoś, kto nazywa się Raymond Julius? - zapytałem. Spojrział na mnie, jakby mnie nie usłyszał.

- Mądrość jest cennym kruszczem - powiedział. - A informacja rudą, z której mądrość się, jakie to słowo... wytapia?

- Znasz tego człowieka?

- Czy to właściwe słowo? Wytapia?

- Raymond Julius. Znasz go?

- Wy wszyscy chcecie informacji, prawda?

- Kto? Jacy wy wszyscy?

- Wy wszyscy. Prawnicy, psychologzy, naukowcy. Wszyscy chcecie informacji, aby stać się mądrymi. Wszyscy myślicie, że wyłudzicie je ode mnie.

Zrobiłem głęboki wdech.

- Nie jestem prawnikiem, psychologiem ani naukowcem. I nie przyjechałem aż tutaj, aby wytapiać jakąś mądrość, rozumiesz? Czy możesz porozmawiać ze mną przez chwilę po ludzku?

- Kiedy odkryto mnie po raz pierwszy, powiedziałem pewne rzeczy. Było dwóch policjantów. Pamiętam ich. Przyszli do mojego mieszkania.

- Och, na litość boską. Wyjaśniłem ci, że to ja byłem jednym z tych policjantów.

- Potem mnie schwytali i chcieli zmusić do mówienia. Jeden facet miał podobno reprezentować mnie w czasie procesu. Próbował zmusić mnie, abym się przyznał, że jestem szalony.

- Rose, słyszysz mnie? Powiedziałem, że to ja byłem jednym z tych policjantów. Pogroził mi palcem i zachichotał. Zabrzmiało to jak grzechot łańcuchów.

- Bardzo sprytne. Rozumiem, dlaczego cię przysłali. Nawet jesteś do niego podobny. Wspaniały podstęp. Muszę cię pochwalić.

- Rose, byłem tam. Postrzeliłeś mnie, pamiętasz? Postrzeliłeś nas obu.

- Tak, postrzeliłem was obu. To znaczy, ich obu. Widzisz, znowu usiłowałeś mnie oszukać.

Ścisnąłem słuchawkę. To nie miało sensu.

- Okej, wygrałeś - oznajmiłem. - Jesteś dla mnie za bystry. Najwyraźniej wiele tu wytapiałeś.

- Nigdy mnie nie zmusisz, żebym ci powiedział. Nigdy nie ujawniam mojego planu.

- Oczywiście, że nie. Niech Bóg broni!

- Jestem silny. Z każdą godziną staję się silniejszy.

- Widzę. Wyglądasz wspaniale. Ćwiczysz na siłowni?

- Szydzisz ze mnie.

- Straciłeś trochę na wadze. Ile teraz ważysz, jakieś czterdzieści kilo?

- Ośmielasz się ze mnie szydzić.

- Tak, Rose. Ośmielam się z ciebie szydzić. Chcesz wiedzieć, dlaczego? Bo jesteś pierdolonym, zafajdanym pojechańcem. Opowiedzieć ci o człowieku, którego zabiłeś? O jego żonie i dzieciach?

- Przysłali cię tutaj, prawda?

- Miał dwie córeczki, Rose. Dwie małe córeczki.

- Wiem, że cię tu przysłali.

- Musiały pójść na pogrzeb tatusia, Rose. Dwie małe dziewczynki stały koło dołu w ziemi, bo ty zabiłeś ich tatusia.

- Przekaż im, że nie można mnie kupić. Powiedz, że moje informacje nie są na sprzedaż.

- A przy okazji, jak ci się podoba w więzieniu? - zapytałem. - Wygląda na to, że macie tu nadreprezentację jednej płci, prawda? Założę się, że zdobyłeś sobie wielu przyjaciół.

- Mogę stąd wyjść, kiedy tylko zechcę.

- To dlaczego tego nie zrobisz? Dlaczego nie wyjdiesz już zaraz? Wpadniemy gdzieś na piwo.

- Postanowiłem zostać jakiś czas.

- No jasne. Musi ci się tu podobać. Na pewno traktują cię tu super miło. Ile razy cię zgwałcili, od kiedy tu jesteś?

Po raz pierwszy od chwili, gdy usiadł, odwrócił wzrok.

- Ile razy? Podaj mi przybliżoną liczbę. Sto? Dwieście? Znowu spojrzał na mnie, drapiąc się w brodę.

- Gdzie to robią, Rose? Pod prysznicem? Ile razy zgwałcili cię pod prysznicem?

- Jesteś głupcem. - W jego głosie zabrzmiała nagle ostrzejsza nuta.

- Mają na to specjalne określenie, prawda? Bać się aligatorów. Tak mówią, kiedy boisz się wziąć prysznic, bo wiesz, że znowu cię zgwałcą.

- Wszyscy jesteście głupcami.

- Opowiedz mi o Raymondzie Juliusie.

- Nie znam tego nazwiska.

- Ależ znasz. Rozmawiałeś z nim. Albo pisałeś do niego listy.

- Interesujące nazwisko. Podoba mi się.

- Jak to było? Rozmawiałeś z nim czy pisałeś listy?
- To nazwisko ładnie brzmi.
- Odwiedzał cię?
- Wiele osób mnie odwiedza.
- Tak..., założę się, że codziennie pod bramą ustawia się kolejka.
- Mam wielu przyjaciół. Przychodzą, aby się ze mną zobaczyć i zasięgnąć mojej rady.

- Jakiej rady? Jak zostać pierdolonym pojebem?
- Przybywają do mnie z całego świata.
- Dwie córeczki, Rose. Dwie małe dziewczynki. Zabiłeś ich ojca.
- Zabiłem ich obu - oświadczył.
- Jakich obu?
- Zastrzeliłem ich obu. Obaj umarli.
- Kto umarł?
- Policjanci. Obaj umarli. Usunąłem ich.
- Hej, Rose, zobacz. - Przysunąłem się bliżej szyby. - Popatrz na mnie. Nie umarłem.

- Usunąłem ich obu.
- Nie umarłem, Rose. Nie usunąłeś mnie.
- Umarli. Usunąłem ich.
- Byłem na procesie, pamiętasz? Pomogłem cię wsadzić.
- Bawi mnie to - oświadczył. - Naprawdę bawi. Powinieneś częściej tu przychodzić.

- Posłuchaj, nie obchodzi mnie, czy uważasz, że... - Urwałem. Chwileczkę. Coś tu nie pasuje. Facet mówi, że mnie zabił. Uważa, że jestem martwy. A skoro nawet nie dopuszcza myśli, że żyję, to nie mógł wcisnąć Juliusowi całego tego gówna o tym, że jestem Wybrańcem.

Chyba że po prostu próbuje zrobić ze mnie durnia. Chyba że gra ze mną w te swoje gierki.

- Zapytam cię jeszcze raz. Czy człowiek o nazwisku Raymond Julius kontaktował się z tobą, czy nie?
- Czemu musisz to wiedzieć?
- Mniejsza o to czemu. Po prostu mi powiedz.
- Rzeczywiście wyglądasz jak tamten policjant. Podobieństwo jest uderzające.

Rzuciłem się w stronę szyby.

- Powiedz mi, do cholery!

Rose przechylił się do tyłu w krześle i je przewrócił. Słuchawka wypadła mu z dłoni. Dziko wrzasnął, a na jego twarzy pojawiło się absolutne przerażenie. Strażnik musiał założyć mu dźwignię na rękę i go wyprowadzić. Słyszałem jego wycie, kiedy wleczono go do celi. Drzwi zamknęły się z metalicznym łoskotem i zapadła cisza.

Siedziałem długo w rozmównicy. Nigdy nie widziałem takiego przerażenia. Przez ułamek sekundy niemal zrobiło mi się go żal. Ale potem pomyślałem o Franklinie i jego bliskich i natychmiast mi przeszło.

Wyszedłem z rozmównicy. Browning czekał na mnie.

- Dotknął pan jego czułego punktu - stwierdził. - Będą musieli dać mu środek uspokajający.

- Przepraszam.

- Niech się pan nie przejmuje.

- W takim razie zapytam teraz pana.

- Nie ma nic złego w zadawaniu pytań.

- Czy w czasie ostatnich sześciu miesięcy Rose kontaktował się z jakimś Raymondem Juliusem? Listy albo wizyty?

Westchnął ciężko i spojrzał w głąb korytarza.

- Proszę tędy - powiedział.

- Gdzie idziemy?

- Do wyjścia.

- W porządku. Poddaję się.

Poprowadził mnie przez poczekalnię do drzwi. Oczekiwałem uścisku dłoni i słów „do widzenia”, ale otrzymałem coś więcej.

- Nie słyszał pan tego ode mnie - powiedział. - W czasie ostatnich pięciu lat Rose nie miał kontaktu z nikim z zewnątrz.

- Żadnego? Jest pan pewien?

- Żadnego. Nie było listów. Spotkań z prawnikiem. Żadnych wizyt od kontroli psychiatrycznej przed pięcioma laty. Z dokumentów wynika, że nawet wtedy po prostu siedział i słowem się nie odezwał. Tak to wygląda. Mam nadzieję, że wyjaśnił pan sobie wszystko. Życzę bezpiecznej podróży powrotnej.

Podał mi rękę i odszedł.

Wsiadłem do samochodu i przejechałem przez bramę. Widziałem we wstecznym lusterku, jak więzienie się oddala. Gdy dotarłem do autostrady, włączyłem radio i po minucie je wyłączyłem. Musiałem w ciszy się zastanowić.

No dobra, a więc Julius nigdy nie rozmawiał z Rose'em. Co z tego wynika? Może wszystko działo się w jego głowie. Przeczytał wycinki i wyobraził sobie, że Rose mówi do niego, kiedy bierze prysznic albo kiedy śpi, albo diabli wiedzą kiedy jeszcze.

Skąd więc wiedział o mikrofalach i wybrańcu? Wiedział, bo był czubkiem. Rose jest czubkiem i Julius był czubkiem, a oni tak właśnie myślą. Łączy ich paranoja, strach przed techniką. Rose i Julius byli nastroszeni na tę samą stację.

A całą resztę, Alex, po prostu sobie wyobrażasz. Jeżeli będziesz dalej tak robił, odbije ci tak jak im. Musisz więc znaleźć sposób, żeby raz na zawsze się od tego odciąć. Ross odsiaduje dożywocie. Julius poszedł do piachu. To koniec. Koniec.

Znów włączyłem radio i przygotowałem się psychicznie do długiej jazdy. Tym razem nie musiałem się spieszyć. Postanowiłem, że po prostu będę jechał, dopóki nie zgłodnieję albo poczuję się zmęczony. Zatrzymam się, zjem obiad, może wynajmę na noc pokój. Oderwanie się od tego wszystkiego na pewno dobrze mi zrobi.

Kiedy dotarłem do Lansing, słońce zaczęło zachodzić. Poczulem, że jestem już odrobinę mniej spięty. Tylko odrobinę.

W Alma znowu zobaczyłem wirujące w powietrzu białe płatki. Zima nadejdzie szybko, jak zawsze. Wkrótce domy pokryje półmetrowa warstwa śniegu. Niewiele się wtedy poluje, czasem na króliki i kojoty. Chaty wynajmują najczęściej miłośnicy skuterów śnieżnych i wędkarze łowiący w przerębłach. Śluzy będą zamknięte, zatokę i rzekę skuje tak gruby lód, że można po nim, jeżeli ktoś ma ochotę, przejść aż do Kanady.

Zatrzymałem się na obiad w Houghton Lake, znalazłem małą knajpkę, w której podawano świeże sandacze. Myślałem o Sylvii, o tym, co się z nami stanie. Powiedziała, że nie wie, czy będziemy mogli zacząć od nowa. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście będziemy mogli, czy też poczucie winy i ból powrócą, by zniszczyć wszystko. Ale kiedy szedłem do półciężarówki i wciągałem w płuca mroźne powietrze, poczułem się lepiej. Drugi oddech, nazwijcie to, jak chcecie. Dawniej, kiedy grałem w bejsbol, pod koniec lata mieliśmy mnóstwo rozgrywanych jednego dnia podwójnych meczów przeciwko tej samej drużynie. Zazwyczaj wymienia się łapaczy, ale parę razy zdarzyło się, że musiałem grać w obu meczach. Cały dzień jest się za bazą, przyjmuje się postawę do odebrania piłki, podrywa się, by ją odrzucić, ponownie przyjmuje

postawę - i to wszystko dobre trzysta razy. Jednocześnie trzeba pilnować, żeby miotacz nie tracił głowy, trzymać biegaczy na bazy, przyjmować faulowe piłki na maskę. W połowie drugiego meczu byłem tak wykończony, że koledzy musieli pomagać mi wstać z ławki, żebym mógł odpiąć nagolenniki.

Ale kiedy dzień był dobry, w czasie paru ostatnich zmian odnajdowałem w sobie coś ekstra, jakieś rezerwy siły; nie miałem pojęcia, że we mnie drzemią. Kiedyś w Columbus, w moim najlepszym dniu jako bejsbolisty, w ósmej zmianie zbiłem kradnącego bazę, a potem, w dziewiątej musiałem blokować bazę domową przed potężnym bejsmenem. Pędził prosto na mnie. Złapałem piłkę tuż przed tym, jak na mnie wpadł. Kiedy doszedłem do siebie, najpierw sprawdziłem, czy ją jeszcze trzymam, a potem, w następnej kolejności, czy moja głowa pozostała na swoim miejscu. Sędzia go wyrzucił i wygraliśmy mecz.

Przyjemnie było wspominać tamte dni - dla odmiany coś innego.

Aż nagle koło Gaylord znowu mnie to dopadło, znowu pomyślałem o Juliusie. I o tym, co się stało, co widziałem, co usłyszałem. Nie mogłem już dłużej odsuwać tego od siebie. Po raz pierwszy przestałem to roztrząsać i teraz, kiedy spojrzałem na to jakby z dystansu, zacząłem dostrzegać szczegóły, na które do tej pory nie zwróciłem uwagi.

Kiedy dotarłem do Mackinac, wszystko już zrozumiałem. Elementy układanki zaczęły pasować do siebie.

I się wściekłem.

Jesteś durniem, Alex. Jesteś cholernym durniem. Dlaczego potrzebowałeś aż tyle czasu, by to rozwikłać?

Na moście na Upper Peninsula miałem na liczniku sto piętnaście na godzinę. Nagle miałem dokąd jechać.

Rozdział 22

ODNALEZIENIE JEGO DOMU NIE BYŁO TRUDNE. Nie tak, jak wtedy, gdy ciągałem Prudella po całym mieście. Adres był w książce telefonicznej.

Sympatyczna dzielnica, na wzgórzu, koło college'u. Dom dość skromny - mały, piętrowy, imitacja budynku w stylu Tudorów z niewielkim dziedzińcem. Na podjeździe stał samochód.

Jedenasta w nocy. Widziałem jednak, że świeci się światło. Pomyślałem, że to dobrze. Nie chciałbym go budzić. To bardzo niestosowne.

Zaparkowałem półciężarówkę na ulicy, tak, by nie zablokować jego samochodu na podjeździe. To także byłoby bardzo niestosowne.

Podszedłem do drzwi frontowych. Miałem właśnie zadzwonić, ale najpierw spróbowałem przekręcić gałkę. Otwarte. Wspaniale. Wszedłem do środka.

Najpierw był mały korytarz z posadzką. Dalej salon. W kominku palił się ogień. Przeszedłem na tyły domu. Do gabinetu. Mnóstwo książek na półkach.

Siedział za biurkiem, przeglądając stos broszurek turystycznych.

- Alex! - zawołał. - Mój Boże, przestraszyłeś mnie!

- Dobry wieczór, Lane. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam.

Uttley wziął jedną z broszurek.

- Właśnie próbowałem się zdecydować, gdzie wybrać się na wakacje. Wyjeżdżam jutro rano.

Jeżeli mój widok go zaskoczył, bardzo dobrze to ukrywał.

- Wspaniale - powiedziałem.

- Alex, dobrze się czujesz? Co się dzieje?

- Nie wstawaj. Usiądę sobie tutaj i zadam ci parę pytań. - Przynalęm krzesło do jego biurka.

- Nie rozumiem. Jakie pytania?

- Sam nie wiem, od czego zacząć, na jakie pytanie chciałbym najpierw usłyszeć odpowiedź.

- Co się dzieje, Alex? Co tu robisz?

- Okej, mam jedno dobre na początek. Takie na przełamanie lodów, jeżeli sobie tego życzysz. Gdzie jest Edwin?

- Na dnie jeziora. Przecież wiesz.

- Powinienem był tak uważać, owszem. Podobnie jak policja. I Sylvia. I cały świat.

- Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

- Ta noc w jego domu. I obiad, wtedy wciąż powtarzał, jakie to wspaniałe uczucie zaczynać wszystko od nowa. Chyba rzeczywiście tak myślał, co?

- Alex, o czym ty mówisz?

- Następne pytanie. W jaki sposób skłoniłeś Raymonda Juliusa, żeby zabił tamtych dwóch bukmacherów? Wiem, ty potrafisz być przekonujący...

- Co się z tobą na litość boską dzieje?

- I jak mu przede wszystkim wmówiłeś, że mój rewolwer nie jest prawdziwy?

Uttley siedział, patrzył na mnie i kręcił głową, jakby miał do czynienia z wariatem.

- A w ogóle, kiedy się ta cała sprawa zaczęła? - spytałem. - Czy wtedy, kiedy poprosiłeś mnie, żebym został twoim prywatnym detektywem? Czy już na samym początku zastawiłeś na mnie pułapkę?

- Musisz iść do lekarza. Wiele ostatnio przeszedłeś. Najwyraźniej odbiło się to na twoim zdrowiu.

- Jeszcze inne pytanie. Na to naprawdę powinieneś mi odpowiedzieć. Czy zabiłbyś mnie, gdybyś musiał?

Przestał kręcić głową. Po prostu siedział i gapił się na mnie.

- Tej nocy, kiedy wysłałeś Juliusa, miał mnie tylko przestraszyć, prawda? Tak właśnie mu powiedziałaś? Zostaw tłumik w domu, narób hałasu? Nie martw się, jego rewolwer nie jest prawdziwy? Szedłeś tuż za nim, prawda? Nie byłeś w domu Fultonów. Nie dzwoniłeś do mnie. Szedłeś tuż za nim i pojawiłeś się, kiedy uznałeś, że już po wszystkim. I chyba sprawy potoczyły się po twojej myśli. Ale co by było, gdyby stało się inaczej? Gdybym tylko go ranił? Albo go rozbroił? A jeżeli przypadkiem by mnie zabił? Żaden problem. Po prostu byś go zastrzelił. I powiedział policji, że próbowałeś mnie uratować. Ale jeżeli obaj bylibyśmy żywi, w chwili kiedy się pojawiłeś, co wtedy? Zabiłbyś nas obu? Jestem pewien, że miałeś przy sobie swoją beretkę.

Otworzył szufladę biurka i wyjął pistolet.

- O niej mówisz?

- Właśnie.

- Proszę, połóż swój rewolwer na stole.

- Nie mam go. Zapomniałeś? Jest na policji.

- Myślisz, że jestem głupi, Alex? Musisz mieć inny.

- Nie. Po co mi on? Nie jestem dla ciebie zagrożeniem. A ty nie jesteś zagrożeniem dla mnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że nie możesz mnie teraz zabić. Sam byś się pograżył. Musiałbyś pozbyć się mojego trupa albo wymyślić jakąś absurdalną historię, że ci groziłem albo coś w tym rodzaju. Ostatecznie wszystko by się posypało. I przekonałbyś się, że pani Fulton nie byłaby z tego zadowolona.

Kiedy tylko wymieniłem jej nazwisko, zorientowałem się, że trafiłem w czuły punkt. Widziałem to w jego spojrzeniu.

- A dlaczego ty nie jesteś dla mnie zagrożeniem? - zapytał.

- Bo nie mogę cię tknąć. Nikogo nie zabiłeś. Co mam powiedzieć? Aresztujcie Lane'a Uttleya, ponieważ to on, według mnie, namówił Raymonda Juliusa do popełnienia tych zbrodni? A przy okazji, Edwin wcale nie jest martwy, prawda? Wszystko to było mistyfikacją i za tym także stoi pani Fulton? Chcesz, bym drążył dalej?

Obserwowałem go, jak się zastanawia.

- Nie przyszedłem, żeby cię zatrzymać - dodałem. - Nie mam magnetofonu, policja nie czeka przed domem. Nie zamierzam stawać ci na drodze.

- W takim razie czego chcesz?

- Żebyś mi powiedział, dlaczego to zrobiliście. Czemu wpakowaliście mnie w to wszystko?

Patrzyłem, jak przekłada pistolet z ręki do ręki. Wiedziałem, że chce mi o tym opowiedzieć. Uttley to prawnik do szpiku kości. A prawnicy lubią mówić. Zwłaszcza o tym, jacy są cwani.

- Ponieważ byłeś właściwym człowiekiem do tej roboty - odparł. - Ale wiedz jedno, nie ja wpadłem na ten pomysł.

- Opowiedz mi, jak to wyglądało. Opowiedz od samego początku. Jesteś mi to winien.

- Wszystko zaczyna się od problemów Edwina z hazardem. Tyle pewnie sam wiesz. Ale nie wiesz, jak wielkie są te problemy. Wisi tym facetom dobre pół miliona.

- To nie tak wiele. Nie dla Fultona.

- Tak to wygląda dziś. W przeszłości zrobił inne wielkie długi. Spłacił je wszystkie. Wyciągał pieniądze z Fundacji Fultonów. Kiedy jego matka to odkryła, zagroziła, że jeżeli nie przestanie grać, odetnie mu dostęp do pieniędzy. Próbował, ale nałóg był silniejszy. Zaczęła go naciskać i spełniła swoją groźbę. Dług się powiększał, więc Edwin stawiał coraz poważniejsze sumy, żeby się odegrać. Bukmacherzy się zbuntowali. Chcieli szmal co tydzień, tylko na obsługę długu. Oczywiście wszyscy są ze sobą powiązani. To jedna wielka sieć.

- Jasne. Po co więc było zabijać dwóch bukmacherów? To tylko figuranci. Dług po prostu przejąłby ktoś inny.

- To właśnie usiłowałem wytłumaczyć pani Fulton. Powiedziałem jej, że to będzie jak Hydra, no wiesz, ten potwór, którego musiał zabić Herkules. Odcina się jedną głowę, a wyrastają dwie nowe. Ale nie dała się przekonać. Po trosze chodziło chyba o to, że nie chciała już dłużej płacić tym facetom. Zaczęli dzwonić do domu, grozić. Znaleźli prywatny numer pani Fulton i wydzwaniali do niej. Sądzę, że właśnie dlatego podjęła taką decyzję. Chciała, żeby umarli. A pani Fulton zawsze dostaje to, czego chce.

- Trzeba więc było wynająć cyngla - burknąłem. - Tak, jak robią to bogacze.

- Nie. To jej nie pasowało. Powiedziała, że jeśli kogoś wynajmiemy, ten człowiek będzie miał na nią haka. Będzie ją szantażować. Tak właśnie ona postrzega ludzi. Że każdy chce coś jej wyrwać. Po tym wszystkim, co przeszła, kto może mieć o to do niej pretensje? Tak więc szukała sposobu na pozbycie się bukmacherów. Jeżeli to możliwe, na uwolnienie Edwina od hazardu. I życzyła sobie, żeby to było zrobione czysto. Bez żadnych punktów zaczepienia.

- Edwin wiedział o tym wszystkim?

- Początkowo nie. Pozostawiła to mnie. Pracował dla mnie Prudell, a dla niego Raymond Julius. Gość był psychiczny. Kilka razy zaczepiał mnie i mówił, że chciałby zostać moim prywatnym detektywem. Twierdził, że Prudell nie dorasta mu do pięt. Powiedział, że chętnie zrobi wszystko, co trzeba. To mi dało do myślenia. Zacząłem więc zadawać mu pytania. Co takiego mógłby robić? Coś niebezpiecznego? Czy zająłby się jakąś naprawdę brudną robotą? Odpowiedział, że im brudniejsza, tym lepiej. Pochwalił się też, ile to on ma broni, i to bez pozwolenia. Zapytałem, dlaczego nie

postarał się o nie, a on zaczął bredzić o federalnych, międzynarodowym spisku w celu stworzenia jednego rządu światowego i odebrania wszystkim broni. No wiesz, zaserwowałam mi te porąbane teorie spiskowe maniaków broni. Spróbowałam więc trochę go podpuścić, żeby zobaczyć jego reakcję. Powiedziałem mu, że jestem powiązany z podziemiem, które usiłuje walczyć z tym międzynarodowym spiskiem, i że może będziemy potrzebowali kogoś, kto wykonałby dla nas pewne ważne, tajne zadanie.

- Chyba sobie ze mnie żartujesz - rzuciłem.

- Wiem, to wydaje się absurdalne. Ale ten facet złapał się tego obydwoma rękami. Powiedziałem o tym pani Fulton. Że można by to wykorzystać. Zapaliła się do pomysłu. Chciała, żeby zrealizować go jak najszybciej. Niech Julius zabije obu bukmacherów, a potem ktoś zabije Juliusa. Problem polegał jednak na tym, że chciała, abym to ja go zabił. A ja... nie mogłem tego zrobić. W takim razie, niech weźmie to na siebie Prudell, oświadczyła. Ale zorganizuj to czysto. Prudell nie może się zorientować, co się dzieje. Załatw wszystko tak, aby wyglądało, że Julius z jakiegoś powodu go zaatakował, i on musiał go zabić. Tyle że takie rozwiązanie też było bez sensu. Nie zaufałbym Prudellowi, nawet gdyby miał zatłuc świstaka łopata.

- I wtedy padło na mnie?

- Pani Fulton wiedziała o tobie. Edwin wciąż o tobie mówił. Chciała poznać szczegóły, opowiedział więc jej wszystko. Że byłeś policjantem, że zostałeś postrzelony. Szczególnie zainteresowała ją ta właśnie sprawa. Zaczęła drażnić. Zażądała, abym zdobył dla niej wycinki prasowe. Zrobiłem to. Przeczytała wszystkie i oznajmiła, że idealnie się nadajesz, bo wiesz, co to strach. Że można to wykorzystać. Wiedziała z własnego doświadczenia, że strach nigdy człowieka nie opuszcza.

- A więc to ty od samego początku wszystko zaplanowałeś. Zanim jeszcze mnie zatrudniłeś. Zanim zapytałeś mnie, czy nie zechciałbym zostać prywatnym detektywem.

- Tak - potwierdził. Musiał wyczuć gniew w moim głosie. Bawił się pistoletem, jakby przypominając mi, że wciąż ma mnie na muszce. - Ale pamiętaj, że absolutnie nie był to mój pomysł.

- A jakże. Byłeś w tej grze tylko bezradnym pionkiem. I co zdarzyło się potem? Namówiłeś Juliusa, żeby zabił Tony'ego Binga, i zaaranżowałeś sytuację tak, żebym przyjechał i to zobaczył? Po co?

- Domagała się tego pani Fulton. Powiedziała, że musisz to zobaczyć. Że należy podsycić twój strach. Ona rzeczywiście jest niesamowicie zafascynowana strachem, Alex. Na pewno to zauważyłeś.

- Owszem, mieliśmy milutką rozmowę o strachu.

- Powiedziałem Juliusowi, że działalność bukmacherska Binga to tylko cieniutka nić siatki. Mafia, rząd federalny, europejski Wspólny Rynek są ze sobą powiązane. I choć Tony Bing to płotka, musimy od czegoś zacząć. Sam wiesz, wszyscy toczą swoje boje, w całym kraju. To będzie sygnał dla sieci, ale trzeba mu nadać dramatyczny charakter. Mnóstwo krwi. Coś, czego nie da się zapomnieć. Oczywiście, chodziło o to, żeby ten obraz wyrył się w twojej pamięci, Alex.

- A jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Edwin?

- Edwin był umówiony tej nocy z Bingiem. Miał pięć tysięcy, czyli tygodniową działkę, która zdjęłaby mu go z karku. Pojechał do motelu, a potem do ciebie zadzwonił. Proste.

- A więc wiedział, co się dzieje.

- Wiedział, że masz mu pomóc rozwiązać jego problem, nic poza tym. I że ostatecznie nic ci się nie stanie. Ale czy wtedy znał do końca swoją rolę? Według mnie, on wierzył, że zabicie dwóch bukmacherów załatwi sprawę. A jeżeli nie wiedział, przynajmniej starał się w to uwierzyć.

- I parę dni później Julius zabił drugiego bukmachera.

- Tak. Moim zdaniem facet naprawdę to polubił. Bałem się, że zacznie zabijać ludzi na własną rękę, po prostu dlatego, że tak bardzo mu się to spodobało.

- Głos w telefonie. To byłeś ty? - zapytałem.

- Tak. Nikt nie potrafi rozpoznać szeptu. - Zaczął mówić niskim, ochrypłym głosem, takim, jaki słyszałem w telefonie. - Alex, wiesz, kto mówi?

- Listy też napisałeś.

- Jasne. Na starej maszynie do pisania, którą znalazłem na wyprzedaży. Napisałem na niej listy i dziennik. Miałem klucze do mieszkania Juliusa. Powiedziałem mu, że wszystko to jest elementem działalności w podziemiu. Potrzebowałem tych kluczy, żeby móc wejść do jego domu, gdyby go schwytano.

- A więc dwóch bukmacherów nie żyje. I oczywiście nie rozwiązuje to waszego problemu - stwierdziłem.

- Właśnie. Uprzedzałem ją. Było wielu innych, gotowych przejąć dług. I okazali się jeszcze gorsi. Zwłoki Dorneya nawet jeszcze nie ostygły, a już zaczęli dzwonić do

Edwina. Dlatego uważam, że traciliśmy czas. Ale pani Fulton była szczęśliwa. Jak Boga kocham, sprawiała wrażenie nowo narodzonej. I nagle wszystko zrozumiałem. Cała sprawa z porwaniem jej, kiedy była dziewczynką, przypominała jej sposób rozwiązywania takich problemów. Strach przed złymi facetami albo w ogóle przed mężczyznami. Dlatego musiała tu być. Nie żeby miała hopla na punkcie sprawowania kontroli. Ona musi być blisko tego, co się dzieje. Chciała być blisko ciebie, Alex. Żebyś był w jej domu. Początkowo zamierzaliśmy ściągnąć do niego Juliusa, żebyś mógł go tam zabić.

- Ale przeszkodziła wam policja, prawda?

- Tak. Nie pomyśleliśmy, że każą ci zostać w chacie i postawią policjanta, żeby cię pilnował. A potem Maven uznał, że możesz być zamieszany w zabójstwa. Naprawdę nie chcieliśmy, żeby tak się stało. Uwierz mi, Alex.

- Wasza troska o moją osobę jest wręcz wzruszająca.

- Mówię serio. To nikomu nic nie dało. Zacząłem tracić głowę. Julius wydzwaniał do mnie co godzina, pytał, kogo teraz ma zabić. Dzwoniła do mnie pani Fulton; chciała dowiedzieć się, czy już wymyśliłem, dokąd wywieziemy Edwina i kto zabije Juliusa. A Edwinowi nie spodobała się sztuczka ze zniknięciem. Próbował się wycofać. Gdyby nie jego matka raczej nie udałoby się nam tego wszystkiego zrealizować.

- A teraz jest bardzo daleko stąd?

- Nawet nie wiem gdzie. To tak, jak w programie ochrony świadków. Dostaje się nową tożsamość. Może przeprowadza się operację plastyczną. Tyle że na to trzeba kasy. A co powiedziała pani Fulton? Jest zadowolona, że może w każdej chwili go wydziedziczyć.

- A więc kiedy Edwin zniknął, a gliniarz już nie obserwował mojej chaty, w końcu dostaliście szansę zakończenia całej sprawy, prawda? I co wtedy zrobiłeś? Powiedziałeś Juliusowi, że również należę do spisku?

- Tak. Ale tym razem chcieliśmy tylko cię wystraszyć. Kazałem mu zdjąć tłumik, narobić hałasu i naprawdę tobą wstrząsnąć. Bo, jak mu wyjaśniłem, zorientowałem się, że w rzeczywistości szpiegujesz mnie. I jego też. Musieliśmy cię przestraszyć tak, żeby doszło to do Brukseli.

- Brukseli? - zdziwiłem się. - W Belgii?

- Tak, bo tam jest centrala. Nie wiedziałeś? Zapytaj każdego maniaka broni. Wszyscy członkowie międzynarodowego spisku składają tajne meldunki w Brukseli.

- A to dopiero! Myślałem, że zajmują się tylko robieniem gofrów.

- Ci faceci wierzą w takie rzeczy. Mówię ci, to zdumiewające. W każdym razie powiedziałem mu, że mam plan, jak cię naprawdę wystraszyć. On musi tylko włożyć perukę blond i udawać, że jest tym Rose'em, który cię postrzelił. Kimś, kto powinien nadal siedzieć w więzieniu.

- A jak go przekonałeś, że mój rewolwer nie jest prawdziwy?

- Nic prostszego. Od momentu, kiedy cię postrzelono, boisz się broni. Nawet nie możesz jej dotknąć. To naprawdę go wkurzyło. Miałeś być jednym z tych, którzy chcą odebrać mu jego karabiny i rewolwery, a jaki z ciebie mężczyzna? Nosisz tylko atrapę, na wypadek, gdybyś musiał zablefować.

Zdusilem śmiech.

- Wystawiłeś go. Nie miał szansy

- Chyba nie - przyznał. - Wszystko odbyło się tak, jak zaplanowałem. To znaczy dokładnie tak, jak zaplanowała pani Fulton. W samoobronie. Jesteś wolny. Nie ma żadnych punktów zaczepienia.

- A ty miałeś go na oku. Pewnie pojechałeś prosto do jego domu, podrzuciłeś maszynę do pisania, wycinki prasowe i podrobiony dziennik, w którym przedstawiłeś całą historię, jak mnie tropił i stawał się Rose'em. A potem pojechałeś za nim do mojej chaty. I kiedy było już po wszystkim, pojawiłeś się. Z pistoletem. A gdyby coś poszło nie tak, musiałbyś go użyć. Mam rację?

Odwrócił wzrok, a potem znowu spojrział na mnie.

- Pani Fulton powiedziała mi, że jeżeli sprawy nie potoczą się po jej myśli, będę musiał kogoś zabić. Jeśli przypadkiem on zabije ciebie, będę musiał zabić jego. A jeżeli obaj zostanieie przy życiu, będę musiał zabić jego i pewnie ciebie, w zależności od rozwoju sytuacji. Próbowałem wymyślić sposób, jak go zabić, Alex. Wiesz, podjechać i zastrzelić go, tak jakbym uznał, że coś ci grozi. Nie chciałem cię zabić. Nie mógłbym tego zrobić. Musisz mi uwierzyć.

Siedziałem i przetrawiałem jego słowa. Przez długą chwilę panowała cisza. Jego pistolet wciąż mierzył w moją pierś. W kominku nagle trzasnęło polano.

Wreszcie Uttley odchrząknął.

- Jak się zorientowałeś?

- Dziennik. Wszystko było nie tak. Ten facet niby miał obsesję na moim punkcie. Można by pomyśleć, że każdego dnia powinien pisać o mnie całe strony. A gdyby rzeczywiście skontaktował się z Rose'em, że podałby mnóstwo związanych z

tym szczegółów. Prześlizgnąłeś się po tym. Ale to ma sens. Wiedziałeś, że można by to sprawdzić. I przekonać się, że z nim nie rozmawiał. I co z tego? Śledczy uznaliby, że po prostu to sobie wymyślił. Zresztą ja też to podejrzewałem. Mimo że w tych notatkach było wiele rzeczy, o których wiedzieliśmy tylko Rose lub ja. Albo tak przynajmniej mi się wydawało. Kiedy się dziś z nim spotkałem, zaczął mówić o tym, jak powiedział coś, czego powiedzieć nie powinien. Pomyślałem, że chodziło mu o mnie i Franklina. Teraz jednak uważam, że musiał powiedzieć jakieś cholernie paskudne rzeczy swojemu obrońcy. Nie wątpię, że bez problemów dowiedziałeś się, kto to był. Łatwo udać kogoś innego i wymyślić jakieś wytłumaczenie, dlaczego chcesz wiedzieć, co powiedział. Co to było? Podajeś się za dziennikarza? Adwokata pracującego nad podobną sprawą?

- Ciepło, ciepło. Byłem wydawcą czasopisma prawniczego. Musiałem tylko sprowokować go do mówienia. Wiesz, jacy są prawnicy.

- I to, że tamtej nocy nie powiedziałaś nic przez telefon. Wiedziałeś, że rozmowy są nagrywane. I ten fragment w liście... napisałeś, że jest u mnie policjant. Kiedy teraz patrzę na to z perspektywy, wszystko nabiera sensu.

- Chyba tak.

- A kiedy szukałem Edwina, uparłeś się, żeby mi pomóc, pamiętasz? Byłem gotów zrezygnować, ty jednak nalegałeś, żebym jechał dalej. Nie zdawałem sobie wówczas z tego sprawy, ale prowadziłeś mnie prosto do tej łodzi. Wiedziałeś, że ktoś musi ją znaleźć, zanim deszcz zmyje krew. A przy okazji, skąd ją wziąłeś? Skaleczyłeś Edwina?

- Nie. Miałem w torbie całe pół litra. Bogaci ludzie lubią przechowywać swoją krew, no wiesz, na wypadek, gdyby potrzebna była transfuzja. Nie chcą, by przetaczano im czyjąś krew.

- A jaka z tego korzyść dla ciebie, Uttley? Dlaczego to zrobiłeś? Niech zgadnę. Będiesz pracował teraz w Grosse Point, prawda? Dostaniesz jakąś ciepłą posadkę w Fundacji Fultona?

- Coś w tym rodzaju. Nie będę już uganiał się za karetkami pogotowia po tym uroczym, lodowatym pustkowiu.

- A ja będę sobie żył z tymi cudownymi wspomnieniami, prawda? Dwa tygodnie koszmaru, i znów kogoś zabijam?

- Dostaniesz coś więcej. Bądź co bądź, zasłużyłeś na jakąś rekompensatę.

- Co, zamierzasz mi zapłacić?

- Nie - odparł. - Masz Sylwię.

- O czym ty gadasz?

- Daj spokój, Alex. Wszyscy wiemy, co się dzieje. Tylko pomyśl: już nie jest mężatką. Edwin nie żyje. Ona należy do ciebie.

- Chyba masz rację. No dobrze. Pozwolę ci się spakować. - Wstałem. Lufa pistoletu przesunęła się w ślad za mną. - Wolałbym, żebyś odłożył broń. Zaczyna mi działać na nerwy.

- Zamierzasz tak po prostu odejść?

- A co innego mogę zrobić? Jak już powiedziałem, świetnie to rozegrałeś. Wiem, co się zdarzyło, ale niczego nie potrafię dowieść. A więc co mi pozostaje? Tylko pójść sobie.

Chyba go zatkało. Pewnie po raz pierwszy w życiu.

- Okej - powiedział po chwili. - To takie nasze „żegnaj”.

- Nie, niezupełnie. Jeszcze się spotkamy.

- To nie jest dobry pomysł. Jak się przekonałeś, pani Fulton umie postawić na swoim. Jeżeli zorientuje się, że coś wyniuchałeś, może zacząć myśleć o tobie jako o pozostawionym śladzie. A dobrze wiesz, jak nie cierpi pozostawiać śladów.

- Tak. I właśnie dlatego nigdy jej nie powiesz o tej naszej krótkiej pogawędce. Ponieważ także i ty staniesz się śladem. Prawdę mówiąc, nie wiadomo, czy już nim nie jesteś. - Przerwałem, niech się zastanowi. - A tymczasem mam zamiar się wycofać, przeczekać. Przekonać się, jak się czuję po tym, co przeżyłem. Może po prostu machnę na to ręką. A może będzie mnie to coraz bardziej denerwowało. I tak się wkurzę, że pewnego dnia postanowię cię znaleźć, bez względu na cenę, bez względu na to, co pani Fulton może mi zrobić. Może pewnego dnia otworzysz drzwi i zobaczysz mnie.

Wycelował we mnie pistolet.

- Wiesz, co się czuje, kiedy ktoś cię postrzeli, Lane? Kiedy kawałek metalu przesyje twoje ciało? Nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Najpierw nie boli. Gdybym chciał cię postrzelić tak, jak Rose postrzelił mnie, leżałbyś tu na podłodze i zastanawiał się, co się stało.

Trzymał berettę w obu dłoniach. Aż zobaczyłbyś własną krew. Wtedy byś już wiedział. Ręce mu się trzęsły.

Wyszedłem z pokoju.

- Do widzenia, Lane - rzuciłem przez ramię. - Miłych wakacji.

Wróciłem do domu. Znalazłem flakonik pod tylną ścianką apteczki. Wysypałem wszystkie pastylki do sedesu i spuściłem wodę.

Strach zniknął. Wreszcie się go pozbyłem. Nie niszcząc go, ale przekazując komu innemu.

Ochlapałem twarz zimną wodą i spojrzałem w lustro. Co teraz?

Powinienem pojechać do Sylvii. Jeszcze dzisiaj. Natychmiast. Przekonać się, czy mimo wszystko możemy zacząć od nowa. Ale nie powiem jej, co się stało. Niech myśli, że Edwin nie żyje.

Albo, do diabła, może powiem jej wszystko. Edwin przecież żyje. Zrobili z nas obojga durniów. Jak ona na to zareaguje? A gdybyśmy tak oboje postarali się go odnaleźć? Sylvia Fulton na tropie. Rozmowa o strachu.

Nie wiedziałem, co robić. Popatrzyłem na zegarek: dopiero tuż po północy. Ciągle jeszcze mógłbym wpaść do Glasgow Inn. Sprawdzić, czy jest tam stara paczka, sprawdzić czy wciąż umieją grać w pokera. Wypić parę zimnych piw, pomyśleć o tym wszystkim. Spokojnie. Bez pośpiechu. W końcu to będzie długa zima.

Jeżeli naprawdę jesteś prywatnym detektywem, powiedziałem do swojego odbicia w lustrze, potrafisz ich odnaleźć. Pozwól Edwinowi myśleć, że gdziekolwiek jest, naprawdę rozpoczął nowe życie. Pozwól też pani Fulton myśleć, że i ona wygrała swoją partię. Niech Uttley ma długą zimę pełną niespokojnych nocy. Pozwól mu śnić o krwi.

A potem na wiosnę, kiedy świat się odrodzi i myśliwi zaczną wracać do chat, zaczniesz ich tropić.

Zaznacz to w kalendarzu, zaraz za sezonem polowań na króliki, bażanty i kuropatwy. Utwórz nową kategorię dla bogaczy i ich prawników z limitem zdobyczy - trzy sztuki.

Podziękowania

Pragnę podziękować mieszkańcom hrabstwa Chippewa w stanie Michigan za ich gościnność i cierpliwość okazywane takim jak ja przybyszom z południa. Informacja dla osób, które tam nie były: jeżeli kiedykolwiek będziecie jechali z Soo (Sault Ste. Marie) do Raju, nie martwcie się, że samochód może utknąć w śniegu. Nie chcę przez to powiedzieć, że to się nie zdarza. W okresie od listopada do marca prawdopodobnie się to zdarzy, ale pierwsza przejeżdżająca osoba wam pomoże. Możecie być tego pewni, ponieważ tacy właśnie ludzie tam mieszkają. Dlatego też, jeżeli jakaś pochodząca stamtąd postać powieści zachowuje się w sposób niehonorowy, proszę mi wierzyć, to jedynie produkt mojej zbyt bujnej wyobraźni.

Dziękuję także mojej grupie pisarskiej - Billowi Kellerowi, Frankowi Hayesowi, Vernece Seagero, Douglasowi Smythowi, Kevinowi McEneaneyowi i Laurze Fontaine. Bez nich nadal obiecywałbym sobie, że pewnego dnia znowu zacznę pisać. Dziękuję Liz Staples i Taylorowi Brugmanowi za poświęcony mi czas i przekazaną wiedzę. Chuckowi Sumnerowi i Alfredowi Schwabowi za zachętę. Ruthe Furie, Bobowi Randisi i Janowi Grape'owi z Private Eye Writers of America. Niezrównanej Ruth Cavin, Marice Rohn i wszystkim pozostałym w St. Martin's Press.

Muszę podziękować za pomoc Cheryl Wheeler z Private Security and Investigative Section of the Michigan State Police, Larry'emu Queipo, byłemu szefowi policji z Kingston w stanie Nowy Jork, i doktorowi Glennowi Hamiltonowi z Department of Emergency Medicine na Uniwersytecie Stanowym im. Braci Wright. A przede wszystkim, dziękuję ci, Julio, żono i najlepszy przyjacielu. I tobie Nick - jesteś i zawsze będziesz moim wspaniałym synkiem.